KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 12/86 1954



• «La Culture» • Revue mensuelle •

BUDUJEMY DOM

GEN. DE GAULLE:
FRAGMENTY PAMIĘTNIKÓW

LAERTES: **LIST Z POLSKI**

SPIS RZECZY:

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień-Décembre 1954

INSTYTUT  LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Fernand TOURRET, urodzony 22 listopada 1899 roku w Saint Romain-la-Motte (Loire), dziennikarz i essayista. Około 1927 opuszcza przemysł, w którym zatrudniony był jako inżynier, aby prowadzić studia etnograficzne i socjologiczne. Autor licznych rozpraw na temat rozwoju techniki.

◆

Z inicjatywy redakcji ,,Kultury'' i redakcji miesięcznika ,,Preuves'' odbędzie się we wtorek 21 grudnia br. o godz. 20,45 w lokalu Kongresu Wolności Kultury w Paryżu, zebranie dyskusyjne na temat: ,,*L'Artiste et la création en Pologne d'aujourd'hui*'' (Artysta i twórczość w dzisiejszej Polsce).

Zebraniu przewodniczyć będzie Jean Cassou, francuski pisarz i krytyk sztuki, dyrektor paryskiego ,,Musée d'Art Moderne''.

Przemawiać będą: Józef Czapski, Czesław Miłosz, Andrzej Panufnik i Konstanty Regamey.

W następnym, podwójnym numerze ,,Kultury'' (styczeń-luty 1955) *rozpoczynamy druk nowej powieści CZESŁAWA MIŁOSZA pod tytułem :*

D O L I N A   I S S Y.

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, Paris (XVIIIe)

DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

Marian Popławski (Anglia)	500 frs
Zdzisław Peszkowski, Orchard Lake (USA)	3.500 "
Dr Henryk Fajerman, Paryż	1.000 "
T. S. (Kanada)	15.000 "
Andrzej Wasung, Londyn	1.200 "
W. A. Wawrukiewicz, mjr. USAF, Frankfurt	3.500 "
J. Dziewanowski, Halstead (Anglia)	2.500 "
Krystyna Krakowska, Montreal	1.000 "
Franciszek Krakowski, Montreal	1.000 "
Elżbieta Krakowska, Montreal	1.000 "
Magda Krakowska, Montreal	1.000 "
Aleksander Janta-Połczyński, Buffalo	1.000 "
Zofia Bądzyńska, Paryż	1.000 "
Hanna Chylińska, Tilbury (Kanada)	3.500 "
Jadwiga Markiewicz, Montreal	3.500 "
Lucjan Wojciechowski, Wellandport (Kanada)	3.500 "
Andrzej Kozłowski, Paryż	5.000 "
Edward Müller, Bern	2.000 "
S. L. B., Chicago	5.075 "
Związek Polskich Ziem Zachodnich, Oddział w Toronto	23.450 "
Romana Bromke, Montreal	2.000 "
Prof. Wacław Lednicki, Berkeley, California	3.500 "
Jadwiga i Wacław Jędrzejewiczowie, Wellesley, Mass (USA)	3.500 "
S. A. Radwański, Kumasi, Gold Coast	5.000 "
Michał Brochwicz, Paryż	1.000 "
Kazimierz Buterlewicz, New Britain (USA)	1.000 "
Dola i Jan Błaszczyna, Woodhawen, N. Y.	2.100 "
Jadwiga Sulatycka, Port Alfred (Kanada)	3.500 "
Maria Majewska, Toronto	1.750 "
Leonard Sommerfeld, Toronto	3.500 "
W. i E. Salamońscy, Philadelphia	2.100 "
D. Le Henaff, Tananariva, Madagascar	1.000 "
Stanisława Szczotka, Brooklyn, N. Y. (USA)	2.500 "
Jeanne Hersch, Genewa	10.000 "
M. i J. Z., Londyn	1.000 "

Tomasz Janta-Połczyński, Bruksela	10.000 "
J. Skibiński, Toledo, Ohio (USA)	1.750 "
Polish Canadian Society, Edmonton, Alta (Canada)	3.500 "
Roman Królikowski, Nairobi, Kenya	2.000 "
U., Agadir (Maroko)	1.000 "
Dr M. Szabuniewicz, Jadotville, Congo Belge	3.000 "
Bolesław Rodowicz, New York	1.500 "
J. Kamieński, Toronto	1.000 "
Anonimowo (Anglia)	1.000 "
Felicja Turynowa, Urbana, Ill. (USA)	1.000 "
R. A. K. (Afryka Południowa)	2.000 "
Z. J. Majewski, Pretoria (Afryka Południowa)	2.500 "
A. Werner (Anglia)	1.000 "
Danuta Bieńkowska, Londyn	1.000 "
Kazimierz Abrahamik, Asnières (Seine)	1.000 "
Dr Jan Herman, Bruksela	2.000 "
Inż. Zbigniew Szpikowski, Toronto	3.500 "
Stanisław Krauz, Meinz (Niemcy)	1.000 "
Edmund F. Lorenz, Washington	1.000 "
Stefania Kałużniacka, Detroit	700 "
Wanda Darcy, Burlington (Kanada)	1.000 "
Kazimierz Furdyna, Chicago	1.000 "
Prof. Wacław Lednicki, Berkeley, California	3.500 "
Bolesław Rodowicz, New York	1.500 "
Danuta Bieńkowska, Londyn	1.000 "
Kornel Leszczyński, Amsterdam, N.Y. (USA)	1.400 "
Antoni Kurdziel, Niagara Falls (USA)	3.500 "
Elżbieta Walfisz, Bruksela	1.000 "
Gen. Z. Przyjałkowski, Stockholm	1.000 "
Norbert Żaba, Stockholm	1.000 "
M. K. Dziewanowski, Boston (USA)	1.000 "
Czesław Kalina, Montreal	1.750 "
Ireneusz Popławski, Montreal	350 "
Z. Waruszyński, Montreal	350 "
„Cegiełkę" imienia prof. Fr. Olipry ufundowali członkowie „Kółka Historyczno-Literackiego" w Stockholmie, nadsyłając	2.000 "

DZIĘKUJEMY.

Epoka atomowa

WIEK ZŁOTY CZY APOKALIPSA?

Produkcja energii dającej się użytkować drogą rozbicia atomu jest od roku 1951 faktem dokonanym. Rozprowadzenie i zastosowanie tej energii, pomnożenie i rozbudowanie atomowych centrali energetycznych może spowodować wielkie przesunięcia w technicznym arsenale ludzkości, przesunięcia, które nie pozostaną bez wpływu na życie społeczne.

Tym niemniej nie należy brać zbyt dosłownie komunikatów, przesadnych artykułów w prasie, nawet i komentarzy co uczeńszych specjalistów, a cóż dopiero puszczać wodze fantazjom, zbyt pochopnie wskrzeszającym nadzieje na bliski ,,wiek złoty''.

Zostawmy lepiej wszelkie zapowiedzi ,,stopienia lodów bieguna'' lub ,klimatyzacji pustyń'' redaktorom rozmaitych ,,powieści naukowych''. Mają oni zresztą na tyle pojęcie o geofizyce, aby zdać sobie sprawę jak opłakane w skutkach mogłyby się okazać podobne przedsięwzięcia.

Astronautyka za to — i to się wydaje znacznie realniejszym pomysłem — znajdzie z pewnością w stosie atomowym siłę napędową, zdolną wyrwać jej rakiety ze strefy przyciągania ziemskiego. I to liczyć się jeszcze należy z faktem, że naszemu księżycowi gotów przybyć sztuczny satelita do kompanii.

CZY ENERGIA ATOMOWA POCIĄGNIE ZA SOBĄ REWOLUCJĘ W TECHNICE?

Jakież są jednak zmiany faktyczne, możliwe do przewidzenia na krótką metę, które energia atomowa przyniesie światu? Istnieje obecne tendencja wśród filozofów (oraz lubiących się przelicytowywać polityków), aby dzielić drogę ewolucji ludzkości na ery odrębnych cywilizacji, zależnie od form przemysłu, które wywarły pewien określony wpływ na życie społeczne, organizację polityczną, sposób myślenia, a nawet sztukę ludów, mających je w zastosowaniu. Schematy te, odbitki wiecznie od-

radzającego się mitu o erach ludzkości, przyswojone przez materialistyczną filozofię czasów obecnych, tak bardzo przylgnęły do naszego mechanicznego sposobu myślenia, że oto przyobiecano nam ,,erę atomową''. Jedna wątpliwość : będzie to dobra czy zła era? Ci, którzy spodziewają się, że dobra, zapowiadają już ,,przewrót w technice'', podobny temu jaki przyniosło zastosowanie pary czy elektryczności.

Zaznaczmy przede wszystkim, że i tu mamy do czynienia z tanią i popularną wersją pojęć, którym brak ścisłości. Historia techniki jest pod tym względem znacznie bardziej powściągliwsza od historii ,,cywilizacyj''.

Trzeba było szczególnych badań, jakie przeprowadził Lefèvre des Noettes, aby wykazać znaczenie trzech prawdziwych ,,przewrotów technicznych'', które miały miejsce pierwszy w czasach prehistorycznych, pod koniec epoki neolitycznej, na skutek oswojenia zwierząt pociągowych i roboczych, a drugi w XIII wieku (na zachodzie Europy) dzięki rozpowszechnieniu młynów wodnych, które umożliwiły rozwój produkcji żelaza w sztabach i płytach.

Ta druga rewolucja przemysłowa pozwala nam na dokładniejsze umieszczenie w czasie trzeciej, która zaszła w wieku XVIII-ym. Spowodowała ją maszyna parowa, dostarczając energii ośrodkom przemysłowym, dla których od tej pory głównym zagadnieniem przestał być surowiec, łatwy już do rozprowadzenia po całym technicznie zorganizowanym obszarze, ale odpowiednia ilość siły roboczej, potrzebnej dla uruchomienia fabryki.

Zapowiadano na wiek XX-ty nowy przewrót techniczny na skutek upowszechnienia energii elektrycznej. Ten spalił na panewce. Nic nie sprawdziło się z tego, co nam obiecywano na polu techniki : powrót do rękodzielnictwa, praca chałupnicza, przeniesienie się przemysłu na wieś, zmechanizowanie robót rolnych, stworzenie nowych ośrodków przemysłowych, itd. Upowszechnienie elektryczności zmieniło warunki życia człowieka, ale na społecznej strukturze przemysłu nie odbiło się wcale. Już pierwsza z tych zapowiedzi wystarczy, aby wykazać iluzoryczność pozostałych: elektryczność miała być źródłem energii — tanim. Tymczasem, gdy przyszło co do czego, okazuje się, że jest bardzo droga.

Przesyłanie prądu elektrycznego na odległość jest bowiem bardzo kosztownym przedsięwzięciem. Wydajność zmniejsza się szybko gdy odległość przekracza 500 kilometrów. Zastosowanie transformatorów o prądzie zmiennym wysokiego napięcia (200 tysięcy wolt) na liniach transmisyjnych na dalekie odległości pozwoliło wprawdzie zmniejszyć średnicę kabli, ale na miejsce tego przyszła konieczność skrupulatnej izolacji, co znów zmusza do zawieszania przewodów na wysokości wielu metrów od ziemi i użycia potężnych pilonów metalowych. Francja i Anglia ze swoimi liniami na 600 kilometrów stoją zdaje się u granic, poza którymi przekazywanie elektryczności przestaje się obecnie opła-

cać. Równie drogo wypada dzisiaj dostarczenie węgla poszczególnym ośrodkom, co zaopatrzenie ich w elektryczność przewodami wysokiego napięcia. Ten paradoks zaambarasowałby elektryków z lat 1910.

Tutaj to właśnie zastosowanie siłowni atomowych może okazać się pod pewnym względem korzystne: zakwalifikują one wreszcie muzeum utopijnych pomysłów — projekty przewodów wysokiego napięcia, przewidywanych (mimo wszystko) na odległości od trzech do pięciu tysięcy kilometrów, które w wyobraźni inżynierów z 1910 miały zasnuć świat napowietrzną siecią. Kruchość podobnych sieci, ryzyko przeróżnych wypadków tak wewnętrznych jak zewnętrznych, kazały odłożyć na bok tego rodzaju plany.

Należy zachować zresztą dużą rezerwę w stosunku do statystycznie udawadnianych wniosków rozmaitych projektodawców. Kalkulacje ich nie zawsze są bezinteresowne i często służą za pokrycie dla niektórych ,,wielkich robót'', przynoszących korzyść nie tyle spożywcy, co technikom, zatrudnionym w tej branży.

Tym niemniej liczyć się należy z faktem, że w krajach wysoko uprzemysłowionych zapotrzebowanie na energię podwaja się co dwadzieścia lat. W tym rytmie wszystkie kraje, nawet te, które dzisiaj z łatwością pokrywają swe potrzeby, wpadną w deficyt w roku 1960.

Oczywiście rozbicie atomu mogłoby przywrócić energii cieplnej wyższość, którą częściowo zabrała jej energia wodna, a zarazem uwydatnić w szczególny sposób niezależność tej formy produkcji, podczas gdy druga stale jest związana z warunkami geograficznymi.

Wadą siłowni cieplnej jest to, że nieustanie potrzebuje paliwa. Do naładowania stosów atomowych na trzy do sześciu miesięcy wystarczy ilość ,,paliwa'' nie przekraczająca paru ton, to znaczy łatwa do przetransportowania gdziekolwiek.

Tym niemniej zastosowanie energii atomowej jako siły dodatkowej (lub nawet zastępczej, czy głównej) zależne jest od bardzo skomplikowanego układu warunków, które ulegają zmianie w zależności od kontynentu czy kraju. Należałoby rozpatrzeć wszystkie możliwości pod wszystkimi możliwymi kątami, a dopiero potem przystąpić do szkicowania w przybliżeniu jej przyszłości.

HISTORIA JEDNEGO METALU : URAN.

Historia uranu, głównego źródła energii atomowej, zasługuje, by na nią rzucić okiem. Wyróżnia się ona osobliwością spośród wszystkich innych epizodów podboju świata mineralnego. Technologia i socjologia znajdą w niej wątek do nowych wniosków, nie pozbawionych humoru.

Poszukiwanie, odkrycie, stosowanie innych metali odbywa-

ło się w historii drogą zwykłą i ciągłą, bez wyskoków. Chronologia takiego na przykład żelaza, od chwili gdy odkryto jego właściwości, pod koniec epoki bronzu, nie ma prawie luki: nigdy nie zaprzestano używać go i doskonalić metod wytapiania, wachlarz jego użyteczności w rozmaitych dziedzinach stale rośnie. Mniej więcej tak samo przedstawia się sprawa wszystkich surowców, których technika wciąż się ulepsza i którymi nikt nie gardzi, chyba, że odkryte zostanie jakieś nowe, lepsze ciało zastępcze.

Z uranem inna historia. Od początku do końca jest on wybrykiem w podboju świata minerałów. Pierwsze jego złoża odkryto w czeskim Jachimowie, o parę kilometrów od Saksonii. Góry Harcu, rozsiadłe po obu stronach granicy Niemiec i Czech, stanowią skomplikowaną całość geologiczną, obfitującą w przeróżne żyły kruszcowe. Od XII wieku kopano tam cynę, ołów i srebro. Później natrafiono na kobalt i metale ziem rzadkich. Ale od średniowiecza aż po czasy ostatnie Saksonia i Czechy eksploatowały głównie cynę i srebro, które stanowiły wielkie bogactwo tych krajów. Bita moneta Cesarstwa pochodziła z Jachimowa, stąd nazwa jej *Joachimsthaler*, uproszczona na *thaler*, talar. Anglicy ochrzcili tym mianem wszystkie monety cesarskie i hiszpańskie, będące w obiegu w ich posiadłościach kolonialnych. Przekręcony talar stał się dolarem i ustalił swą wartość według piastra, zawierającego duży procent srebra. W 1782 stał się oficjalną walutą Stanów Zjednoczonych.

Spośród rozmaitych składników kruszcowych rudy z Jachimowa, Klaproth, w końcu XVIII wieku, wyodrębnił pewien tlenek i nazwał go ,,Uranem''. Tlenek ten objawił właściwości ceramiczne: barwił szkliwo na kolor żółto-zielonkawy. Od tamtej pory znalazł on zastosowanie przy wyrobie szkieł czeskich i saskiej porcelany. W 1842 Peligot wydobywa czysty metal z tlenku uranu. Jak dotąd nic nadzwyczajnego. Historia XIX wieku roi się od podobnych odkryć. Tablica pierwiastków wzbogaciła się w ciągu stu lat o blisko 60 nowych ciał, których zastosowanie, jeżeli w ogóle może być o nim mowa, doszło do skutku dopiero ostatnio.

Uran jednak wszedł od razu w zakres zainteresowań aż trzech kategorii techników: hutników szklarskich — dla swych właściwości barwniczych, fotografów — dla pewnych naświetleń oraz elektryków. W ślad za Pluckerem (1860) szukali oni bowiem sposobu wytwarzania zimnego światła za pomocą wyładowania elektrycznego w rozrzedzonym gazie. Zauważyli oni, że w rurkach Pluckera wydmuchanych ze szkła uranowego, gaz świeci szczególnym blaskiem (co znalazło najpierw zastosowanie w teatrze i fizyce rozrywkowej).

Sądzone było, aby dopiero Henri Becquerel wykazał, że sole uranowe wysyłają promienie podobne do promieni Roentgena (1896), dość silne by prześwietlić kliszę fotograficzną zawiniętą w czarny papier. Od tej chwili doświadczenia z uranem mnożą się, aż po sensacyjne odkrycie Piotra i Marii Curie-Skłodow-

skiej (1898), którzy odkryli nowe, rzadkie ciało : rad. Uszedł on uwagi chemików, będąc we wszystkich fazach doświadczalnych nierozłączny z uranem, co mu nie przeszkodziło być milion razy bardziej aktywnym od niego. Znana jest oszałamiająca kariera tego metalu dzięki jego własnościom leczniczym.

Kopalnie Jachimowa, z których wygarnięto srebro, tworzyły wiekowe zwaliska blendy; nazywano ją *Pechblende*, ,,blenda smolista'' (*), ,,pechowa''... Odpadki te zawierały, jak się okazało, metal tysiąc razy cenniejszy od złota. Uran znowu poszedł na śmietnik. Ubawić się można, czytając w pewnej encyklopedii technicznej (wydanej w roku 1941, a więc dziś jeszcze będącej w użytku inżynierów i stanowiącej skądinąd obraz aktualnego stanu techniki) to sugestywne zdanie :

,,Uran w stanie metalicznym jest bezużyteczny : nie ma żadnego zastosowania w stanie czystym''.

W każdym razie fizycy nie zapomnieli tak całkowicie o uranie; w ich oczach miał on specjalny urok, gdyż na tablicy ciał prostych zajmuje miejsce szczególne, będąc 92-gim i ostatnim z pierwiastków naturalnych.

OD PRODUKCJI DO UŻYTECZNOŚCI

Pierwszy stos energetyczny skonstruował profesor Fermi, w Chicago w roku 1942. Był to stos grafitowy o mocy teoretycznej 200 watów, która zużytkowana praktycznie, wystarczyłaby do oświetlenia dwu lub trzech lamp sygnalizacyjnych, Twórcy jego chodziło tylko o wykazanie w sposób oczywisty i przekonywujący, że rozbicie atomu może być ciągłym źródłem energii. Aparaty kontrolne wykazały istnienie tej możliwości jeśli chodzi o zwykły uran. Po udanym doświadczeniu aparat został rozebrany. Drugim stosem użytkowym był C.P.2, skonstruowany w roku 1943 — wciąż na podstawie zwykłego uranu i grafitu. Miał on moc 2.000 watów. Na nim poczyniono pierwsze doświadczenia z przegrodami ochronnymi. Następny z kolei to stos z Oak-Ridge o 2.000 kilowatach. Miał on na celu produkcję plutonu, potrzebnego do zbrojeń atomowych i dlatego brak o nim danych. Następują dwa inne stosy tego rodzaju, które — podobnie jak poprzednie — nie zużytkowywały wytworzonej energii cieplnej, lecz ją rozpraszały. Przynajmniej jeden z nich zasługuje na wzmiankę : stos z Hanford, gdyż chłodzenie go za pomocą wód Columbii podniosło temperaturę w dole rzeki o wiele stopni, co wskazuje jak olbrzymie są ilości ciepła, wytwarzanego tą drogą.

Chronologicznie powstają C.P.3 w Chicago, eksperymentalny o mocy 30 kilowatów; stos z Los Alamos, zwany ,,Kocioł'' (maj 1944), który pierwszy zastosował płynne i półpłynne roztwory soli uranowych w miejsce zwykłego uranu (siarczany i azotany

(*) Tłumaczenie Marii Skłodowskiej.

uranowe w 15% U.233); drugi stos w Los Alamos „Klementyna" (1946), na którym próbowano chłodzenie za pomocą rtęci; stos w Brookhaven (1950) z uranem zwykłym, dający 30.000 kilowatów. Ten ostatni był wstępną próbą, mającą na widoku zastosowanie w przemyśle. Była nawet mowa o zużytkowaniu wytwarzanej energii, gdyż chłodzenie przez wentylację wytwarzało stały prąd powietrza o temperaturze 330° F.

Od tej chwili doświadczenia przyjęły charakter wyraźnie utylitarny. Dotychczas istniejące fabryki plutonu pokrywały potrzeby zbrojeniowe, zaś nowopowstałe stosy atomowe miały już tylko na celu opracowanie warunków dostarczania energii cieplnej, co okazało się rzeczą osiągalną.

Należy jeszcze wymienić „Experimental breeder reactor" (E.B.R.). Został on wykończony w roku 1951 staraniem Komisji Energi Atomowej w Idaho. Nie tylko że pierwszy wyprodukował faktycznie elektryczność w ilościach nadających się do użytku, lecz przede wszystkim pozwolił na bliższe określenie warunków technicznych i ekonomicznych tego rodzaju produkcji energii. E.B.R. to już stos nie fizyków a inżynierów.

Na nim właśnie przestudiowano proces zwany „Breeding" (odnawianie paliwa), który polega na tym aby przy rozszczepieniu uranu 235 wytworzyć — poza potrzebnym ciepłem — takie ilości neutronów, by uran 238 przemienić w pluton, a tor w uran 233. Istota odnawiania paliwa polega na tym, że proces rozszczepiania uranu 235 przemienia uran 238 lub też tor, znajdujący się w stosie, w materiał nowy, również podlegający rozszczepieniu, tak, że w rezultacie ilość materiału rozszczepialnego jest większa po zakończeniu procesu niż była przed nim. Ale dokładniej rzecz biorąc stos ten ma tę zaletę, że posługuje się wprost uranem i naturalnym torem. Rolę chłodzenia spełniły ciekłe metale (sód i potas), które przy wyjściu miały temperaturę 662° F. i zdolne były zapewnić ogrzewanie zwykłego kotła o wysokim ciśnieniu. Turboprądnica, będąca końcowym etapem urządzenia, miała moc 230 kilowatów. Koszt całości wynosił 3 miliony dolarów.

AMERYKA SPOSOBI SIĘ DO PRODUKCJI PRZEMYSŁOWEJ

Niesłychanie wysoki koszt tak małej ilości energii nie jest w stanie zahamować postępu technicznego. Produkcja energii atomowej — jaka by nie była jej cena — już dzisiaj przedstawia dostateczne zalety techniczne, aby użyto jej do określonych celów. Przede wszystkim pozwala ona ograniczoną ilością paliwa produkować wielkie ilości energii przez długi czas. Oto dlaczego następne badania zajęły się przystosowaniem jej do okrętów podwodnych, których czas zanurzenia i samodzielność zawsze były ograniczone przymusem odnowienia zapasów paliwa.

„Nautilus", wynik usilnej pracy admirała Hyman Ricko-

vera, spuszczony na wody 21 stycznia 1954 roku, ma starszego brata imieniem S.T.R. z Idaho, który ,,pływał'' na lądzie przez prawie rok, na próbę. Jak się wydaje będzie on miał i liczne potomstwo. Posługuje się uranem w stanie stałym (wzbogaconym w uran 233), zwykłą wodą w charakterze zwalniacza neutronów i elementu wymiany cieplnej, turbiną do napędu śruby okrętu i elektrycznością jako elementem rozdzielczym i przenoszenia energii. Stos, jego ochraniacze oraz maszyny kolejnej przemiany energii stanową olbrzymi balast, ale przecież usunięcie ołowianych akumulatorów i zbiorników płynnego paliwa wynagrodzi to z nawiązką tak pod względem obciążenia jak i objętościowo. Zlikwidowanie motorów cieplnych i akumulatorów pozwoli w pierwszym rzędzie na pełnowartościowe wykorzystanie okrętu.

To już nie będzie okręt mogący zanurzyć się pod wodę — ale prawdziwy *okręt podwodny,* który wcale nie musi wypływać na powierzchnię dla odnowienia zapasów, ani pod powierzchnię, by funkcjonować przy użyciu aparatu wydechowego ,,Schnorckla''.

Promień zasięgu całkowicie zanurzonego ,,Nautilusa'' sięga, jak mówią, wielu tysięcy mil morskich. Rysem typowo amerykańskim jest, by koordynować, jak tylko się da, badania techniki cywilnej z potrzebami wojskowymi. To wynik doświadczenia 1919 roku. Nie jest to na nasze europejskie podobieństwo, ideał państwa pacyfistycznego i zbrojnego zarazem, ale państwa, które potrafi w możliwie najkrótszym czasie, przy użyciu najmniejszego wysiłku, unikając wewnętrznych zaburzeń, dokonać samorzutnie przestawienia przemysłu z produkcji wojennej na pokojową i odwrotnie.

W tym podwójnym celu ,,Nautilus'' wykorzystuje psychozę ochrony morskiej, którą podniosły do ostateczności okręty podwodne ,,niewiadomego pochodzenia'', nawiedzające stale od dziesięciu lat okolice wybrzeży atlantyckich, a nawet wody, które zwykło się nazywać zwodniczo : ,,wodami terytorialnymi''.

Chęć pokojowego zastosowania energii atomowej, jasno wyrażona w słynnym orędzu prezydenta Eisenhowera z 8 grudnia 1953 roku, jeszcze wyraźniej przejawia się w praktyce przez podanie do wiadomości publicznej metod doświadczalnych, szeroko komentowanych przez naukowe i techniczne czasopisma, a także przez udzielenie przemysłowi prywatnemu licencji na przeprowadzanie doświadczeń nad produkcją energii. Państwo zapewniło sobie wystarczającą ochronę tak przez magazynowanie uranu, jak przez surowe odizolowanie ośrodków, w których rozszczepienie atomu traktowane jest wyłącznie z punktu widzenia wybuchu atomowego.

POTENCJAŁ ENERGETYCZNY STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Nie podobna (byłoby to zresztą zbyteczne) wymienić wszystkich osiągnięć o charakterze czysto przemysłowym, dokonanych w Stanach od lata 1953. Pool międzynarodowy, proponowany przez prezydenta Eisenhowera, poprzedzony został poolem wewnętrznym, stanowiącym układ między Państwem (reprezentowanym przez swoje władze federalne), uniwersytetami (które zachowały charakter prywatny) i licznymi towarzystwami przemysłowymi. Przemysł prywatny zdążył już stworzyć na własną rękę nie tylko stacje doświadczalne, ale prawie wszystkie elementy składowe wielkich siłowni atomowych.

Tym niemniej Państwo zachowuje sobie prawo kontroli nad zapasami uranu i wydzielania go dopiero wtedy, gdy będzie miało pewność, że się nie ulotni (jak to już miało miejsce dzięki organizacjom szpiegowskim) na rzecz jego ewentualnych wrogów.

W 1941 zapas uranu metalicznego Stanów nie sięgał 50 gramów. Wtedy była to, jak mówiliśmy, ciekawostka pracowni fizycznej. W 1942 roku, odkąd bomba atomowa została oficjalnie oddana na warsztat i potrzebne fundusze przydzielone, produkcja metalu osiągnęła rytm 500 funtów dziennie. Cyfrę tę dawno zostawiono w tyle. Zapas uranu Stanów Zjednoczonych, jaką by nie był tajemnicą otoczony, można szacować na setki ton. Siłownie atomowe mogą rozbudowywać się w dowolnym tempie, w każdym razie dostawa ,,paliwa'' zapewniona im jest na przeszło dziesięć lat...

KONTROLA, REGULACJA, AUTOMATYZM, OCHRONA.

Wytwarzanie, potęgowanie, użytek, zastosowanie jakiejkolwiek energii wymaga, by nad nią panować.

Już maszyna hydrauliczna, która była pierwszą w historii formą oswojonej energii , poza zwierzęcą, pociągnęła za sobą konieczność kontroli i regulacji. Sposoby były proste : prąd wody, zawsze ograniczony, zależał od rozmiaru przewodów; dzwonki ostrzegały w razie wadliwego funkcjonowania.

Maszyna parowa zażądała ściślejszej kontroli i zmyślniejszej regulacji. Dzięki niej powstały nasze pierwsze aparaty pomiarowe z podziałką i regulator odśrodkowy. Hydrauliczne i parowe maszyny o wielkiej szybkości przyniosły konieczność kontroli samoczynnej (około 1860). Były to jednak tylko środki pomocnicze, a ryzyko było ograniczone, dające się zażegnać systemem klap i bezpieczników. Nic podobnego teraz, z energią atomową.

Urządzenia kontrolne, ochronne i regulujące wysuwają się na plan pierwszy i stanowią najważniejszą część masy, ciężaru, objętości, jakości technicznej i wartości pieniężnej całości. Nie chodzi już o to, aby na czas pracy maszyny uniknąć niebezpie-

czeństwa, bardzo zresztą ograniczonego w przestrzeni, grożącego paru osobom w pobliżu oraz instalacji. Niebezpieczeństwo jest groźne, powszechne, bezustanne.

Stos atomowy otaczają najrozmaitsze grube przegrody. Niektóre zdolne są wpłynąć na sam proces wewnętrzny, inne stanowią barierę dla zabłąkanych promieni. Woda ciężka lub inny rodzaj zwalniacza, grafit, pancerz stalowy, woda bieżąca, żelazobeton i wiele innych surowców jest w użyciu.

Stosu strzegą zewsząd wskaźniki i aparaty kontrolne, które z jednej strony przekazują swoje obserwacje do biura kontroli, a z drugiej samoczynnie włączają system zwalniaczy, płyt, odchylaczy. Jednym ze sposobów takiego samoczynnego działania jest mechaniczne wsunięcie prętów kadmu czy gadolinu, zdolnych pochłonąć neutrony, których nadmiernie szybkie wyzwalanie stanowi najczęstsze niebezpieczeństwo. Owe metale zwalniające zastępują obecnie parafinę, która, topiąc się w niskiej temperaturze, może służyć jedynie jako dodatkowa warstwa ochronna.

Wszystkie manipulacje kierowane są na odległość, tak wymiana ładunków uranu, punkt najważniejszy, który decyduje o mechanicznej strukturze całości, jak każdego najmniejszego fragmentu urządzenia, narażonego na wpływ promieniowania. Pomysłowość techników stanęła tu w obliczu najbardziej skomplikowanych problemów. Nie chodzi już tylko o fizyków, lecz o zwykłych mechaników. Rozwiązanie tych problemów postawionych technice jest tak cenną rzeczą, że sekret tyczy nie tylko części energetycznych stosów, lecz także stosowanych przy nich mechanizmów. Pozwolono wspaniałomyślnie zwiedzać biura kontrolne i z daleka, przez judasza z więziennej celi, oglądać ,,święte świętych'', bardzo zresztą zasłonięte. Ale nigdy nie pokazano przyrządów mechanicznych. Technologia doskonali się skokami, poprzez sekrety tymczasowe, odsłaniane stopniowo, skoro unieważnią je nowe wynalazki. Władze cywilne są w tym względzie równie tajemnicze i powściągliwe co władze wojskowe, zakład przemysłowy nie różni się od małego rzemieślnika: każdemu chodzi o zachowanie wyłączności nad ,,zdobyczą'' tyle czasu ile trwa jej rentowność.

Resztki promieniotwórczych ,,popiołów'', roztworów i płyny zakażone promieniotwórczością, gromadząc się szybko, stały się wielce kłopotliwe. Był projekt, by zwrócić je ziemi, spuszczając w głąb opuszczonych kopalń. To rozwiązanie wydaje się jedynie prowizoryczne. W takim Knolls (U.S.A.) objętość uciążliwych odpadków i produktów, wynosi ponad 8.000 metrów sześciennych na rok. Trzeba było zorganizować specjalny system odprowadzania, którego etapy przedstawiają się następująco: 1) odparowanie, zgęszczenie w zamkniętych zbiornikach stalowych, oraz częściowa dystylacja, która pozwala niewinnej wodzie po kontroli wrócić do rzek; 2) odpadki stałe i promieniotwórcze błota zgęszczone, zamknięte w blokach-zbiornikach z żelazobetonu, zatapia się daleko od brzegów, na głębokości ponad 1.000 metrów. Zaznaczmy, że rybacy amerykańscy już założyli protest

przeciwko pozbywaniu się odpadków atomowych tą drogą i że bardzo serio rozpatrywany jest projekt ewakuowania ich na glob sąsiedni rakietą międzyplanetarną. Strach przed odpadkami ogarnął wszystkich i zbiorowe petycje, którymi już dziś zasypywane są parlamenty, przyczynią się z pewnością do ograniczenia wielu inicjatyw inżynierskich. Już dziś założyć można, że niebezpieczeństwa, związane z niedostatecznym nadzorem maszyn i te, większe jeszcze z usuwaniem odpadków, mocno ograniczą posługiwanie się energią atomową. Nawet najbardziej liberalny rząd nie będzie mógł z lekkim sercem odstąpić prawa produkcji ni użytku każdemu. To zaś, w większym jeszcze stopniu niż koszt maszyn, zmusi techników do wyznaczenia siłowniom dolnej granicy (7.000 HP parowozu atomowego jak się wydaje), oraz górnej, która podzieli największe siłownie na części po 100.000 kilowatów każda. Jakie by nie były środki ostrożności, zapowiadane przez Lockhead Company przy opracowywaniu konstrukcji atomowego samolotu stratosferycznego, bezpieczeństwo załogi wydaje się niepewne, bezpieczeństwo tych, co pozostaną na ziemi, zagrożone.

Osobowy samochód atomowy podpada pod kategorię romantycznej ,,Wiedzy dla wszystkich''.

ENERGIA ATOMOWA W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH

U.S.A. — Stany Zjednoczone produkowały w 1952 roku energetyczną równowartość 1.300 milionów ton węgla; konsumowaną prawie całkowicie — z czego 400 miliardów kilowatów pochodzenia hydraulicznego. Rocznie wypada więc prawie dziewięć ton na głowę, największy przydział na świecie. Kraj ten może żyć jeszcze dziesięć lat na stopie samowystarczalności energetycznej, póki trwa dowóz płynnego paliwa, którego sobie zapewnił monopol. Widzieliśmy, że kraj ten jest wielkim pionierem produkcji energii atomowej. Obecnie pięć różnych typów przemysłowych stosów atomowych jest tam w przygotowaniu, od 5.000 do 80.000 kilowatów każdy. Są to stosy stałe, bądź o wielkiej mocy, jak centrala w Pittsburgu, o mocy (przed 1957) 60.000 kilowatów teoretycznych (w rzeczywistości przewidziana jest na ponad 100.000 kilowatów); bądź stałe o mocy średniej (wiele z nich przewidziano na zachodzie); bądź też elementy ruchome, stosowane jako siła pociągowa na dalekie odległości (parowozy, okręty itd.).

Państwo amerykańskie, które utrzymuje swoim kosztem wiele prac doświadczalnych, poświęca i w tym roku 2.425 milionów dolarów na sprzęt atomowy. Energia wyprodukowana przez czynne siłownie nie wejdzie w obieg ogólny przed upływem wielu lat. Na razie pracuje ona w zamkniętym obwodzie, skierowana na użytek wewnętrzny laboratoriów atomowych. Najbardziej fantastyczne cyfry krążą na temat ceny kosztu energii, wyprodukowanej przemysłowo. Oczywiście twierdzenie, że równa jest

ona cenie węgla i elektryczności jest gołosłowne. Jaka by nie była zniżka cen idąca w ślad za uprzemysłowieniem wydobywania uranu (przytaczano cyfrę 100 dolarów za funt) nie zmieni to postaci rzeczy, że siłownia atomowa jako taka pozostaje rzeczą drogą, bardzo drogą. Koszt jej nie rośnie jednak proporcjonalnie do rozmiarów; trzeba liczyć 15 milionów dolarów na siłownię o 10.000 kilowatach, a tylko 60 milionów dolarów na siłownię o 100.000 kilowatach: funt węgla wydziela 4.000 kalorii i spala się w ciągu minuty, zaś funt U.235 wydziela 10.400 milionów kalorii a jego ,,spalanie się'' trwa trzy miesiące. Wykazaliśmy jednak, jak drogie są dodatki. Ameryka, tak uparcie dążąca do odnowienia przemysłu, jest z drugiej strony krajem w którym energia elektryczna rozprowadzana jest po najniższej cenie : 30 tysięcy franków za kilowat cieplny, przy 65.000 franków w Anglii i 45.000 w Niemczech. Kilowat energii elektrycznej, wyprodukowany zwykłymi środkami (wodnym lub cieplnym) wypada po 1.60, mało co więcej od taryfy norweskiej, najniższej na świecie, 1.40. Rozwój energii atomowej jest w pierwszym rzędzie dowodem, że Ameryka pragnie oszczędzać swoje zapasy paliwa. Kilowat energii atomowej wypadnie (jak mówią) po 2.50 frs w roku 1960. Około 1980 roku, kiedy energia atomowa zostanie rozwinięta i całkowicie oddana do dyspozycji ogólnej, stanowić będzie ona 12% ogólnego rozdziału elektryczności.

Wielka Brytania. — Dzięki swoim dominiom oraz starym kopalniom kornwalijskim (obecnie jeszcze w stanie rozpoznawczym — przyp. red.) Wielka Brytania jest jednym z poważnych producentów uranu. Odczuwa ona tym bardziej potrzebę dodatkowego zastrzyku energii, że jej zapasy węgla wyczerpują się w przyśpieszonym tempie. Od trzech lat wydatki na energię atomową wynoszą 50 milionów funtów rocznie. Obecnie buduje się dwie siłownie atomowe (Dounreay i Carthness), które, gdy tylko będą gotowe, zostaną włączone do sieci wysokiego napięcia, idącej od Szkocji po Walię. Jest to z pewnością kraj, który najmniej będzie zważał na wewnętrzną cenę produkowanej energii. Jak wszystkie kraje wysoko uprzemysłowione, Anglia zmuszona jest wysyłać zagranicę (i do swoich dominiów) produkty wysokiej jakości. Otóż w przemyśle za jakość trzeba płacić wielką ilością energii. Około 1965 r. Anglii grozi deficyt energetyczny wynoszący 20 milionów ton węgla rocznie. Jedynie siłownie atomowe mogłyby go wyrównać, a ich wydajność na ten okres przewidywana jest na pięć milionów kilowatów; cyfra ogromna.

Rosja. — Oczywiście, brak informacji, jak dalece Rosja bogata jest w uran. Założyć można, że wydobyciem z kopalń i produkcją metalu dorównuje Stanom Zjednoczonym. W 1917 roku znane były jedynie kopalnie na Uralu. Mamy pośrednią podstawę do przypuszczeń, że złoża Rosji azjatyckiej są liczne i bogate : muzea mineralogiczne Europy posiadają wiele próbek uranitu, odkrytych na Syberii. Ponieważ przed rokiem 1917 prób-

ki te nie miały innej wartości, tylko jako okazy przyrodnicze, geologowie i badacze rosyjscy z końca XIX wieku, dostarczali je Zachodowi bez żadnych zastrzeżeń. Pochodzenie ich nie jest określone zbyt dokładnie; wiadomo jednak, że złoża ich rozciągają się między krajem zabajkalskim a Turkiestanem. Niektóre z nich mają najwyższą, procentową zawartość spośród tych jakie znamy na świecie.

Podobno czynne są trzy siłownie atomowe, a około dziesięciu innych w przygotowaniu. Rosja posiada wyraźną przewagę nad wszystkimi innymi krajami, jeśli chodzi o produkcję atomową, nie kłopocząc się, dzięki swemu ustrojowi społecznemu i ekonomicznemu, o koszt instalacji, które nawet przy najbardziej świadomej rozrzutności projektów zawsze jednak krępują kraje ,,kapitalistyczne,'' i ,,liberalne''. Rozsianie siłowni atomowych po Azji oraz możliwość budowania ich w pobliżu kopalń podniesie techniczny i wojenny potencjał Rosji sowieckiej do nieobliczalnych granic. Realizacja wszystkich tych planów wymaga co najmniej trzech lub czterech lat.

Francja. — Francja już teraz cierpi na deficyt energetyczny. Niedobory swoje pokrywa sprowadzając z zagranicy jedną trzecią zapotrzebowań pod postacią paliwa. Średnia produkcji energii, która wynosi pięć ton węgla na głowę, jest słaba, a cena jej przewyższa trzykrotnie cenę w U.S.A. Wzamian tego jest ona już dziś poważnym producentem uranu. Złoża z Morvan, Owernii, okolic Limoges i Madagaskaru dostarczyły dużych zapasów uranowych. Sabaudia, Bretania, Langwedocja, Poitou, Alger, posiadają żyły uranodajne nadające się do eksploatacji. We Francji są w przygotowaniu dwa stosy przemysłowe. Tutaj, bardziej niż gdzie indziej z pewnością wszystko zależy od ekonomicznej rentowności przedsięwzięcia.

OGÓLNE PERSPEKTYWY

Z dotychczasowych rozważań, z których staraliśmy się uczynić studium bezstronne, wolne od wszelkich wpływów uczucia czy wyobraźni, można wyciągnąć wnioski ogólne i wykreślić perspektywy dalszego rozwoju energii atomowej.

Wymieniano z naciskiem zastosowanie jej w krajach niedorozwiniętych ekonomicznie. W ogólnej klasyfikacji, przyjętej obecnie, stopień w hierarchii ekonomicznej poszczególnych narodów zależy od ilości produkcji przemysłowej, która równa się mniej więcej ilości produkcji energetycznej. Przez niedorozwinięcie nie należy więc rozumieć niedostatecznego przydziału dóbr naturalnych, tylko niedobór zaksięgowanej produkcji. Chociaż podział ten jest nader dowolny, przyjmijmy go i przyjrzyjmy mu się bliżej.

Kraje wysoko rozwinięte technicznie były tymi, w których posłużono się energią atomową w pierwszym rzucie. Na długo zachowają one jeżeli nie przywilej wyłącznych posiadaczy, to

w każdym razie prawo pierwszeństwa, a już na pewno rolę dostawców siłowni atomowych, tak jak dzisiaj są dostawcami kotłów wysokiego ciśnienia, turbin i transformatorów. Energia atomowa zależy, jak widzieliśmy, nie tylko od wykorzystania pewnego surowca, lecz także od wprowadzenia w ruch licznych procesów technologicznych, naukowych i przemysłowych, które nie mogą być zaimprowizowane w krajach, w których ich brakło do tej pory.

Ponieważ kraje przemysłowo rozwinięte stoją już teraz w obliczu deficytu energetycznego, a ich zapotrzebowanie na energię nie słabnie, zrozumiałe, że jakie by nie były zamówienia z zewnątrz i wymogi eksportu, w pierwszym rzędzie obrócą na własny użytek ten dodatek energetyczny.

Tym niemniej deficyt energetyczny krajów wysoko uprzemysłowionych nie jest taki jak to sobie wyobrażamy. Na wykresach statystycznych sytuację przedstawia się tragiczniej, niż w praktyce. Rozwój produkcji energetycznej zwolni siłą rzeczy swe tempo, gdyż źródła ekonomiczne prawie wszędzie włączone są już do użytku.

Od dziesięciu lat w krajach wysoko uprzemysłowionych wzrost spożycia elektryczności zwalnia tempo, a nacisk kładziony jest raczej na oszczędność i lepsze zastosowanie tej energii, odwrotnie niż w krajach, gdzie przemysł jest dopiero w stadium rozwoju (przykład : wzrost roczny 4% w Szwajcarii a 25% w Maroku). Ale średnia 5% wzrostu spożycia w krajach uprzemysłowionych utrzyma się zapewne jeszcze dość długo i świadczy o takim popycie, że inwestycje energetyczne muszą być podwajane co dwadzieścia lat. Jedyna spośród wszystkich krajów Norwegia posiada obecnie nadwyżkę i zdolna jest eksportować energię hydro-elektryczną.

Spomiędzy krajów niedorozwiniętych należy jeszcze wyróżnić te, które już zaczęły eksploatować bogactwa naturalne, ale cierpią na brak energii (z braku paliwa i możliwości hydraulicznych), oraz kraje młode, o bogactwach źle wykorzystanych, niezbadanych jeszcze i leżących odłogiem na skutek niedostatku środków transportowych lub rąk roboczych. Pierwsze znajdą w instalacji siłowni atomowych cenny dodatek energii; te zaś, których zasoby naturalne są wielkie, lecz niewykorzystane, będą mogły zdobyć w ten sposób niezależność techniczną, o której nie mogły marzyć do tej pory. Myśl, że w ciągu prawie półwiecza Anglia trzymała dziesięć narodów w szachu przez dostawy swojego węgla, które mogła dowolnie wstrzymywać, działa na wyobraźnię. Kraje produkujące i eksportujące siłownie atomowe, nawet jeżeli pozostaną przymusowymi dostawcami krajów biednych, nigdy nie będą mogły wywierać takiego nacisku na losy swoich klientów.

Siłownie atomowe, rozmieszczone w odległości od sześciuset do tysiąca kilometrów, pozostawią obszary wewnętrzne, w obrębie których (poniżej pięciuset kilometrów) przesyłanie elektryczności jeszcze się opłaca.

Takim sposobem, jak już tego widziano przykłady, niektóre okolice bogate w możliwości, przeskoczą od razu w fazę elektro-atomową, nie zaznawszy nigdy okresów pary, węgla i hydrauliki, chyba że w ograniczonym promieniu. Obietnice elektro-techniki nie były, być może, całkowicie iluzoryczne. Zapowiadany przewrót techniczny spóźniłby się po prostu o pół wieku.

Zaznaczmy, że inne jeszcze formy zasobów energetycznych mogą pewnego dnia okazać się praktyczne przez zastosowanie nowych wynalazków lub udoskonalenie istniejących : energia słoneczna (od 10.000 do 13.000 kilowatów na hektar na zwrotnikach), wykorzystanie wiatraków (wiatraki wszędzie zanikają oprócz Danii i Rosji), energia cieplna ziemi i morza oraz energia kinetyczna morza.

Przewidzieć można inne jeszcze ważne zmiany, spowodowane wprowadzeniem energii atomowej, które wpłynąć mogą natychmiast na bieg stosunków pomiędzy krajami rozwiniętymi i rozszerzą wpływy krajów uprzemysłowionych; sprowadzi je nowa organizacja transportu.

Statek motorowy i parowóz znajdują się na martwym punkcie swego rozwoju. Ich system budowy jest tamą dla większego użycia energii napędowej. Marzenie o Lewiatanie mórz, zaniechane po licznych próbach prestiżowych, odżyje, wraz z projektami statków wieloczłonowych, posuwających się ruchem ślizgającym się lub toczącym, którym będzie można dodać potrzebne śruby w nieograniczonej ilości.

W toku są już prace nad parowozem atomowym o mocy 7.000 HP, to znaczy podwajającym normę wielkich silników pociągowych. Ale czyż nie wprowadzi ona ze sobą konieczności poszerzenia torów w dwójnasób (o czym już była mowa od 1920 roku przy wielkich parowozach elektrycznych). Ciekawe jest, że obecna, znormalizowana szerokość torów nie wypłynęła bynajmniej z racjonalnych obliczeń, ale dziedziczy z tradycji angielskiej XVII wieku, która ustaliła odległość między kołami dyliżansów użyteczności publicznej...

Samolot atomowy jest rzeczą możliwą. Studia nad nim są w toku. Pewne, że będzie on podlegał szczególnie ostrym przepisom. Niebezpieczeństwa, jakie by pociągnął za sobą jego wybuch albo upadek są tak wielkie, że trudno przewidzieć, jaką ma przyszłość przed sobą.

Tak więc należy zwrócić konkretne nadzieje na dwa punkty szczególne : dostawę energii wytwarzanej na miejscu i potężnej na małą odległość, oraz rozwój środków transportowych.

URAN W ŚWIECIE

Pojawiło się wiele map złóż uranowych świata. Są one niekompletne nie tylko ze względu na olbrzymie połacie jeszcze niezbadane w Azji, Afryce, Ameryce Południowej i na kontynen-

cie australijskim, ale i na to, że nie biorą one oczywiście pod uwagę złóż głębokich, których nie można wykryć za pomocą środków będących obecnie do dyspozycji; ani też bogactw podmorskich, których sposoby badania i eksploatacji, jeszcze w powijakach, pozwalają żywić duże nadzieje.

Na podstawie złóż kopalnianych będących w eksploatacji (lub których zawartość mogła być oszacowana) zasoby światowe, możliwe do wykorzystania mają wartość energetyczną przewyższającą dwadzieścia razy obecny zapas węgla. Wydaje się, że to ilość olbrzymia, a jednak konieczna jest wielka oszczędność w posługiwaniu się tym ,,paliwem'', którego nie podobna marnować, jak to się działo z węglem. Kontrola zapasów narodowych (i światowych) staje się palącą koniecznością. Dawne kopalnie z Jachimowa czeskiego są pod kontrolą sowiecką. Kopalnie kanadyjskie pod kontrolą anglo-amerykańską. Mówiąc ogólnie, uran towarzyszy wielu metalom ziem rzadkich w zwyczajnych złożach. Zmieszany jest także ze złotem, srebrem, cyną i platyną. Francja i Portugalia posiadają go w wielu miejscach (pod postacią autunitu). Ameryka północna i południowa eksploatują już około dwudziestu złóż *karnotytu* (wanadian uranu). Na Madagaskarze i w Australii *betatyt* (tytanian uranu) podchodzi pod powierzchnię ziemi w wielu miejscach. Inne minerały, samarskin, euksenit, trafiają się w Azji i w Ameryce. Zapasy wojskowe rosną teraz równolegle do zapasów przemysłowych. Jeżeli chodzi o kolejność krajów, produkujących już obecnie czysty uran, są nimi : Kanada, U.S.A., Rosja, Anglia, Belgia, Francja i Ameryka Południowa.

Niezbędni towarzysze uranu przy produkcji atomowej, jak tytan, woda ciężka, grafit, kadm, bor, wydają się być w posiadaniu każdego kraju. Fabryki pomocnicze, których domagają się bardzo dokładne metody oczyszczania, są instalowane. Fizykochemia w dalszym ciągu ma ogromne znaczenie w pracach przygotowawczych. W 1952 roku zatwierdzono w Stanach dwieście patentów, mających związek z energią atomową : 10% zaledwie wchodziło w zakres fizyki czystej, 28% w zakres fizyko-chemii przygotowawczej, a 12% opracowywało urządzenia elektro-mechaniczne. Chodzi teraz o to, aby produkcja zaczęła się opłacać. Narody nierozwinięte ekonomicznie, dla których produkcja energetyczna jest ,,bez ceny'' ze względu na rozmaite potrzeby państwowe, będą zapewne pierwszymi klientami narodów wysoko uprzemysłowionych, które zachowają dla siebie wszelkie przemysły przygotowawcze, a klientowi dostarczą gotową już maszynę. Stany Zjednoczone i Anglia przygotowują już ekipy wyspecjalizowanych inżynierów na eksport razem z siłowniami atomowymi.

Z PUNKTU WIDZENIA SYRIUSZA

Cechą właściwą człowiekowi, jako istocie wpływającej zbiorowo na naturę, jest opór stawiany czasowi, odmowa poddania

się ewolucji. Wszystkie inne stworzenia żywe podlegają całkowicie warunkom chwili, a jeśli żyją w czasie, nie wpływają na jego bieg. Człowiek jedyny pragnie go zmieniać, a jego działalność sprowadza na ziemię przemiany, które zwalniają lub przyspieszają życie natury.

Tak więc człowiek przyspieszył proces parowania, karczując przestrzenie, a czasami stabilizował go znowu, poprzez zalesienie. Ale zazwyczaj technika w skutkach swoich cofa ewolucję geologiczną obnażając substancje osiadłe w najgłębszych warstwach ziemi, dzięki ukryciu których mogła właśnie nastąpić era czwartorzędu, to znaczy mógł pojawić się człowiek.

Poszukiwanie i uwalnianie ciał promieniotwórczych jest najnowszym objawem tej nieświadomej dążności zbiorowej człowieka. Poprzedziło ją masowe uwolnienie i rozproszenie w powietrzu węglowodorów. Wszędzie człowiek zawraca pod prąd, na przekór warunkom, które pozwoliły roślinności rozwinąć się pod koniec epoki pierworzędnej, a zwierzętom opuścić wody. Stwierdzenie to niepokoi, niepokoi nie tylko na dziś, ale także na daleką przyszłość człowieka, który jak gdyby się uparł aby zniszczyć warunki konieczne do życia własnego i życia roślin i zwierząt — biernych a niezbędnych towarzyszy jego ziemskiej wędrówki.

Fernand TOURRET

(*Tłumaczyła Zofia ROMANOWICZ*)

Wspomnienia Generała de Gaulle'a

Francuska literatura wzbogaciła się o jedną kapitalną książkę, którą dość trudno sklasyfikować. Pamiętniki czy podręcznik dla polityków w okresach porażki? To ostatnie chyba góruje w dziele tego jedynego w swoim rodzaju człowieka.

Historycy będą mieli w przyszłości wielki kłopot z generałem de Gaulle'em. Gdzie go ustawić? Jak go określić? Czy był to wielki wódz? Czy wielki mąż stanu? Jak na to odpowiedzieć? Wódz? Teoretyk broni pancernej niewiele miał okazji do wykazania w polu swych talentów wojskowych. Raz tylko kierował akcją bojową w terenie, dowodząc, jako świeżo mianowany generał, naprędce skleconą 4-tą dywizją pancerną pod Abbeville. Wprawdzie z boju tego de Gaulle wyszedł zwycięsko, ale zamały to był incydent w nieszczęsnej kampanii czerwcowej, aby z niego móc wyciągnąć ostateczne wnioski.

Byłże to mąż stanu? Czytając ,,Mémoires de guerre'' de Gaulle'a ma się ochotę na to odpowiedzieć pozytywnie. Znajdujemy bowiem w tej niezwykłej książce powiedzenia, które charakteryzują umysł męża stanu i które zapewne będą kiedyś ozdobą jakiejś przyszłej antologii literatury politycznej. Ale był to mąż stanu dość osobliwy: rządził spreżyście i skutecznie w sytuacji gdzie nie było właściwie czym rządzić: na obczyźnie, a zawiódł to znaczy nie zrealizował a raczej nie zaczął nawet realizować swego programu politycznego w okresie, kiedy obiekt rządzenia miał pod ręką a mianowicie po powrocie do kraju, jako jeden ze zwycięzców Drugiej Wojny Światowej, wódz nowonarodzonej armii francuskiej, szef rządu, popieranego przez olbrzymią większość ludności. W chwili, kiedy pierwsze poważniejsze trudności zaczęły się ujawniać, de Gaulle, ten odważny i naprawdę nieustraszony de Gaulle wycofał się z areny, ogłosiwszy dziwny komunikat, że odchodzi, albowiem zadanie swoje spełnił. A tymczasem nie tylko zadanie to nie było spełnione, nie tylko powojenna reorganizacja Francji nie była faktem dokonanym,

ale nawet ramy konstytucyjne tych dokonań nie były gotowe. Generał de Gaulle odszedł i nie powrócił, pomimo, że żaden Francuz nie cieszył się, w pierwszych latach powojennych, takim autorytetem moralnym i politycznym, jak ten twórca legionów, ten zachodni Piłsudski, z którym porównanie po prostu, siłą rzeczy się narzuca.

Jak to wytłumaczyć? Zdaje mi się, że nie rozwiążemy tej zagadki, jeżeli nie sprecyzujemy różnicy istniejącej pomiędzy pojęciem męża stanu i pojęciem człowieka rządu. Mąż stanu uosabia przede wszystkim wartości intelektualne i moralne, z większym akcentem na te ostatnie, podstawowe zalety charakteru, na bezinteresowność w wyższym, nie osobistym znaczeniu, na siłę ducha, na wiarę w naród i w siebie, na mocne przekonanie, że się jest wyrazicielem głębokich, instynktownych prądów swego narodu, że w płaszczyźnie historycznej ważny jest nie ,,sukces'', lecz honor ojczyzny.

Człowiekiem rządu natomiast jest ten, który posiada zdolność częściowego (albowiem kompletnego nie ma) realizowania *w praktyce* teoretycznych zamysłów i dążeń męża stanu. Człowiekiem rządu jest ten, który w jakikolwiek sposób, lepszy czy gorszy, przy użyciu jakichkolwiek środków, choćby nawet mniej sympatycznych, potrafi pogodzić nakaz ducha z oporem materii, potrafi urzeczywistnić częściowo i niedoskonale, ale urzeczywistnić i wcielić w życie niektóre choćby imperatywy męża stanu. Te dwa, bardzo różne talenty, czasem potrafią współżyć w tej samej osobowości, wykorzystując zasadniczą dwoistość natury ludzkiej. Otrzymujemy wtedy doskonały wzór wodza i kierownika, człowieka myśli i człowieka czynu, nieustępliwego w koncepcji, kompromisowego w akcji, ale zawsze pewnego siebie i swoich środków, wiedzącego od razu, przed deliberacją, poniekąd przedrozumowo, kiedy trzeba ustępować siłom zewnętrznym, a kiedy należy być twardym i nieubłaganym.

W generale de Gaulle dominował wyraźnie pierwszy, intelektualno-moralny pierwiastek i temu należy zawdzięczać ogromne rezultaty jego działalności podczas wojny.

Generał de Gaulle jest więcej człowiekiem myśli niż czynu. Jako filozof i moralista, głęboko przekonany o swojej prawdzie, generał de Gaulle nie lubi ustępować. Jako Francuz, przepojony tradycją historyczną swego narodu, wierzy w nieprzedawnione prawa ojczyzny, w jej zdolność do czynów pożytecznych i bohaterskich, na miarę tych które zdobyły dla Francji miejsce przodujące w Europie.

Pojawiwszy się w Londynie po niebywałej porażce, literalnie z niczym, prócz swego mózgu i serca, osamotniony w pierwszej chwili nawet wśród swoich ziomków, generał de Gaulle nie czuje się bynajmniej onieśmielony, nie odczuwa żadnego kompleksu niższości i od razu zaczyna rozmawiać z władcami Zachodu jako równy z równymi, nie zdradzając żadnej tendencji nie tylko do schlebiania tym ludziom od których on i jego ruch zależą, ale przeciwnie z głęboką decyzją bronienia swoich pozycji do ostat-

niego, z gotowością stawianie od razu na kartę wszystkiego, swojej własnej pozycji i losów swej organizacji. Słabemu nie wolno być kompromisowym, oto jego hasło i w tym tkwi genialność jego myśli i odwaga jego poczynań.

Nigdzie to głębokie przekonanie o nieustępliwości, jako kardynalnej cnocie „biednych'' nie występuje tak wyraźnie jak w rozmowie z Churchillem z okazji Madagaskaru, jednym z tak licznych jego konfliktów z premierem brytyjskim. Mowa zeszła na temat Roosevelta i jego niechętnej postawy względem de Gaulle'a :

« Ne brusquez rien ! dit M. Churchill. Voyez comment, tour à tour, je plie et me relève !

« Vous le pouvez, observai-je, parce que vous êtes assis sur un Etat solide, une nation rassemblée, un Empire uni, de grandes armées. Mais moi ! Où sont mes moyens ? Pourtant, j'ai, vous le savez, la charge des intérêts et du destin de la France. C'est trop lourd et je suis trop pauvre pour que je puisse me courber. » (str. 209) (*).

W tych słowach jest cały de Gaulle i jego wielkość. Ta wyniosła postawa wobec możnych tego świata nie znalazła w Londynie naśladowców.

W niczym jednak nie uwydatnia się tak wyraźnie myśl polityczna de Gaulle'a jak w stosunku do samego problemu kontynuacji wojny.

« Poursuivre la guerre ? Oui, certes ! Mais pour quel but et dans quelles limites ? Beaucoup, lors même qu'ils approuvaient l'entreprise, ne voulaient pas qu'elle fût autre chose qu'un concours donné, par une poignée de Français, à l'Empire britannique demeuré debout et en ligne. Pas un instant, je n'envisageai la tentative sur ce plan là. Pour moi, ce qu'il s'agissait de servir, c'était la nation et l'Etat.

Je pensais, en effet, que c'en serait fini de l'honneur, de l'unité, de l'indépendance, s'il devait être entendu que, dans cette guerre mondiale, seule la France aurait capitulée et qu'elle en serait restée là. Car, dans ce cas, quelle que dût être l'issue du conflit, que le pays, décidément vaincu, fût un jour débarrassé de l'envahisseur par les armes étrangères ou qu'il demeurât asservi, le dégoût qu'il aurait de lui-même et celui qu'il inspirerait aux autres empoisonneraient son âme et sa vie pour de longues générations. Quant à l'immédiat, au nom de quoi mener quelques uns de ses fils à un combat qui ne serait plus le sien ? A quoi bon fournir d'auxiliaires les forces d'une autre puissance ?

(*) Tłumaczenie tego fragmentu znajduje się na stronie 33 i 34.

Non ! pour que l'effort en valût la peine, il fallait aboutir à remettre dans la guerre, non point seulement des Français, mais la France. » (**).

W tych śpiżowych słowach tkwi filozofia de Gaulle. Nie wystarczy się bić, trzeba *wojować w szeregach swego narodu*, choćby naród ten był reprezentowany przez garstkę ,,szaleńców'', przez jakąś ,,pierwszą brygadę'', nie mającą żadnego znaczenia w ogólnej ,,buchalterii'' wojny, ale będącą zalążkiem, kadrą lub komórką biologiczną z której później znowu wyrośnie naród w całej swej okazałości. Stąd nieustępliwość de Gaulle'a we wszystkich sprawach ,,symbolicznych'' tam, gdzie chodziło o sztandar pod którym Francuzi mają walczyć.

W tej swojej ,,nieustępliwości'' de Gaulle był dość osamotniony. Liczba Francuzów zagranicą, chcących się bić z Niemcami, była dość znaczna, ale stosunkowo niewielu było takich, którzy zaraz, od początku szli do legionów de Gaulle.

Kiedy powstał w Nowym Jorku wygnańczy tygodnik francuski ,,Pour la Victoire'', w jego drugim numerze pojawił się artykuł pod tytułem : ,,List otwarty Polaka do przyjaciół Francuzów'', w którym to artykule niżej podpisany nawoływał swoich przyjaciół Francuzów, by zaciągali się nie do armii amerykańskej lub brytyjskiej, ale właśnie pod sztandary de Gaulle'a, albowiem w nim i tylko w nim tliła się iskierka wielkiego płomienia francuskiego.

I nie było to rzeczą przypadku, że tę pierwszą ,,odezwę rekrutacyjną'' de Gaulle'a, napisał Polak, albowiem tylko Polak instynktownie pojmował, że w garstce ludzi bijących się za ojczyznę na obczyźnie może się przechowywać dusza narodu. Francuzi są narodem szczęśliwym, których Historia nie przyzwyczaiła do rządów na obcym gruncie a jeszcze mniej do ,,Komitetów Narodowych'' istotnie naród reprezentujących. Nic dziwnego, że masa wygnańcza francuska w pierwszej chwili nie zrozumiała misji tego niezwykłego de Gaulle'a.

(**) (Prowadzić dalej wojnę ? Tak, z pewnością ! Ale w jakim celu i do jakich granic ? Wielu z tych, którzy nawet ten zamiar pochwalali, chcieli aby był on jedynie pomocą udzieloną przez garstkę Francuzów walczącemu Imperium Brytyjskiemu. Ani przez chwilę nie patrzałem na to w ten sposób. Dla mnie, należało wyłącznie służyć narodowi i Państwu.

Myślałem w istocie, że jeżeli w tej wojnie światowej tylko Francja skapituluje i na tym poprzestanie, to należy zapomnieć o honorze, jedności i niepodległości. W takim bowiem wypadku, bez względu na to jaki byłby wynik konfliktu : czy kraj całkowicie pokonany byłby pewnego dnia uwolniony od najeźdźcy przez obce armie, czy też pozostałby w niewoli — odraza, jaką miałby dla siebie i jaką wywoływałby u innych, zatrułaby jego duszę i jego życie na długie pokolenia. Ale jeśli idzie o chwilę dzisiejszą — w imię czego ma kraj poświęcać garstkę swoich synów walce, która nie jest już jego walką ? W jakim celu dostarczać innemu mocarstwu sił pomocniczych ? Nie ! Aby wysiłek wart był trudu należy doprowadzić do tego, aby wprowadzić na nowo w wojnę nie tylko Francuzów, ale Francję.)

Niewielu Francuzów pojęło od razu, że Pétain, mający wszystkie zewnętrzne cechy rządu, nie jest prawowitym rządem francuskim, nie jest w ogóle rządem, jest co najwyżej ,,administracją'' wykonywującą codzienne, nieodzowne zresztą funkcje społeczne, ale nie jest *rządem,* albowiem pozbawiony jest zasadniczej cechy każdego rządu, *wolności w określaniu swoich celów i głównych środków do ich osiągnięcia.* W masie swojej Francuzi myśleli, że Pétain jest *złym, zwyrodniałym* rządem. Jeden tylko de Gaulle wiedział, że Pétain w ogóle nie jest *rządem,* że *rządem* jest on, de Gaulle, słaby i nagi rozbitek, wyrzucony przez falę wojenną na brzegi angielskie. W tej wierze de Gaulle'a w swoją misję, w swoje przeznaczenie tkwi jego znaczenie dzejowe.

Gdyby samorzutne wzięcie na siebie tej misji przez prawie nieznanego generała brygady wymagało jakiegoś usprawiedliwienia, pierwszy tom ,,Wspomnień Wojennych'' de Gaulle'a byłby znakomitym aktem obrończym. Ale tutaj czyny mówią za siebie i każdy już teraz wie, że dzieje tej ,,pierwszej brygady'' francuskiej będą jednym z drogowskazów historycznych ku odnowionej wielkości francuskiej.

Dotychczas wyszedł tylko pierwszy tom ,,Wspomnień Wojennych''. Pojawią się jeszcze dwa tomy, które będą omawiały polityczną akcję autora aż do jego dymisji w 1945 roku. Wówczas pora będzie zająć się drugą stroną problemu de Gaulle'a, a mianowicie porażką tego wielkiego wodza w boju cywilnym, nieudaniem się usiłowań państwowej odbudowy Francji po zakończeniu drugiej wojny światowej. Albowiem wciąż jeszcze pozostaje niewyjaśnione dlaczego ten mąż stanu nie był człowiekiem rządu.

Anatol MUHLSTEIN

Mémoires de guerre

(FRAGMENTY)

W październiku rb. ukazał się w Paryżu, nakładem domu wydawniczego ,,Plon'', pierwszy tom ,,Pamiętników'' generała de Gaulle'a (*) omawia je w bieżącym numerze Anatol Muhlstein. Generał de Gaulle wspomina w swych pamiętnikach o Polsce i Polakach: korzystając z otrzymanego zezwolenia — za które na tym miejscu wyrażamy wdzięczność Generałowi — przetłumaczyliśmy te strony dla naszych Czytelników. Ale bodaj głębszą aktualność posiadają dla nas ustępy, dotyczące postawy człowieka o wielkim charakterze, służącego wyłącznie swojemu krajowi, który — sam i pozbawiony zaplecza — staje się na wygnaniu sprzymierzeńcem mocarstw prowadzących wojnę z najeźdźcą jego ojczyzny.

O POLSCE I POLAKACH

De Gaulle wspomina o swojej kampanii i misji w Polsce, w 1920 roku. Zwycięstwo przypisuje Weygandowi : ,,Spowodował on w roku 1920 przyjęcie przez Piłsudskiego planu który zbawił Polskę''. (Na marginesie zaznaczyć należy że generał Weygand sam kilkakrotnie prostował tę wersję, stwierdzając, że plan bitwy warszawskiej był koncepcją polską).

W latach poprzedzających wojnę — kiedy de Gaulle starał się bezskutecznie narzucić rządowi francuskiemu swój plan stworzenia wojska pancernego — wspomina on często Polskę jako wschodniego sprzymierzeńca. Najciekawsze jest tu sprawozdanie z rozmowy z Leonem Blumem, ówczesnym premierem w październiku 1933. Blum, pierwszy spośród francuskich premierów, poważnie interesuje się planem de Gaulle'a :

,,Leon Blum zapewnił mnie gorąco o zainteresowaniu z jakim odnosi się do moich pomysłów. ,,Pomimo to — powiedziałem — zwalczał je Pan''. — ,,Kiedy staje się na czele rządu — odparł — zmienia się punkt widzenia''. Mówiliśmy najpierw o tym co się stanie jeśli, jak należy przypuszczać, Hitler ruszy na

---

(*) Général de Gaulle. *Mémoires de guerre*. L'Appel. 1940-1942. Librairie ,,Plon'', Paris, 1954. Str. 640.

Wiedeń, na Pragę lub na Warszawę. „To bardzo proste — zauważyłem. — Zależnie od stanu napięcia, skoncentrujemy wojsko stałe, lub zmobilizujemy rezerwy i poprzez luki w naszych fortyfikacjach będziemy biernie przyglądać się zniewoleniu Europy”. — „I co z tego? — zakrzyknął Blum. — Chciałby Pan żebyśmy wysłali korpus ekspedycyjny do Austrii, Czech, Polski?” — „Nie! — odrzekłem. — Ale gdyby Wehrmacht posuwała się wzdłuż Dunaju lub Elby, czemu nie ruszyć na Ren? Gdyby doszła do Wisły, czemu nie zająć Ruhry? Zresztą sam fakt, że bylibyśmy w stanie tak zareagować zapobiegłby prawdopodobnie agresjom. Ale o ile nasz obecny system wojskowy uniemożliwia nam jakikolwiek ruch, to wprost przeciwnie, wojska pancerne by nam ruch ten narzuciły. Czyż nieprawda że z góry narzucona orientacja może być w tych warunkach wygodna dla rządu?” Premier zgodził się ze mną, ale oświadczył: „Byłoby oczywiście rzeczą opłakaną, gdyby nasi sprzymierzeńcy z Europy środkowej i wschodniej, zostali chwilowo zagarnięci. Ale w ostatecznym wyniku Hitler by niczego nie osiągnął dopókiby nas nie pokonał. A jak by to mógł zrobić? Przyzna Pan przynajmniej że nasz system, źle przystosowany do ataku, jest świetny dla obrony”.

Ze starań de Gaulle'a o przebudowę francuskiej armii nic nie wychodzi. Wybucha wojna. De Gaulle w paru zdaniach notuje kampanię wrześniową:

„Kiedy, we wrześniu 1939, rząd francuski, za przykładem angielskiego gabinetu, zgodził się na przyłączenie się do konfliktu już rozpoczętego w Polsce, nie miałem najmniejszych wątpliwości że krok ten został powzięty w przekonaniu, że mimo stanu wojny nie dojdzie do prawdziwej rozgrywki. Jako dowódca czołgów Piątej Armii, w Alzacji, bez żadnego zdziwienia patrzyłem na bezczynność naszych wojsk, podczas gdy Polska została zdruzgotana w dwa tygodnie przez dywizje pancerne i eskadry lotnicze. Nie ulega wątpliwości, że interwencja sowiecka przyspieszyła zgniecenie Polski, ale w stanowisku Stalina, nagle podającego rękę Hitlerowi, przebijało przekonanie, że Francuzi pozostaną nieruchomi, że Rzesza będzie miała wobec tego wolne ręce i że lepiej podzielić się z nią łupem, niźli samemu stać się jej zdobyczą. Podczas gdy siły nieprzyjaciela były niemal w całości związane na Wiśle, my nie zrobiliśmy nic, nie licząc paru demonstracji w kierunku Renu”.

Po kapitulacji rządu francuskiego, generał de Gaulle postanawia nadal prowadzić walkę w imieniu Wolnej Francji. W Londynie zastaje rządy alianckie, z których każdy posiada jakiś atut:

„Holendrzy mieli Indonezję i sporą flotę, Belgowie Kongo, Polacy małą armię, Norwegowie liczne statki handlowe, Czesi — a ściślej mówiąc Benesz — sieć informacyjną w Europie środkowo-wschodniej i dobre stosunki z Amerykanami. Wreszcie, dla

prestiżu Anglii, nie było obojętne stać się ostatnim szańcem starego świata któremu zagraża zguba.

,,Dla tych wygnańców, Wolna Francja, nie mająca nic, była ciekawym doświadczeniem. Pociągała ona zwłaszcza najbardziej niespokojnych i nieszczęśliwych, jak Polacy i Czesi. W ich oczach, pozostając wierni tradycji Francji, stanowiliśmy zarazem nadzieję i magnes. W pierwszym rzędzie Sikorski i Benesz, jakkolwiek podejrzliwi wśród sieci intryg i zadrażnień, które jeszcze komplikowały ich nieszczęście, nawiązali ze mną stosunki stałe i ciągłe. Nigdy może nie zdałem sobie w równym stopniu sprawy z tego czym jest dla świata powołanie Francji, jak wówczas na dnie tej otchłani''.

Pierwsza konkretna sprawa pomiędzy generałem de Gaulle i rządem polskim w Londynie dotyczyła złota polskiego, w chwili wyprawy zmierzającej do wyzwolenia francuskiej Afryki Zachodniej (sierpień 1940):

,,Na kilka dni przed wyprawą, Anglicy wywołali ostrą dyskusję na temat jaki użytek zrobię, w razie powodzenia, z poważnej rezerwy złota, znajdującego się w Bamako. Chodziło o złoto, złożone przez Bank Francji w imieniu własnym oraz w imieniu państwowych banków belgijskiego i polskiego. Rezerwy Banku Francji zostały w chwili inwazji niemieckiej częściowo ewakuowane do Senegalu, podczas gdy resztę złożono w piwnicach amerykańskiego Federal Bank i na Martynice. Poprzez blokadę, granice i posterunki, złoto w Bamako było uważnie śledzone przez służby wywiadowcze państw prowadzących wojnę.

Belgowie i Polacy zupełnie słusznie żądali, aby ich depozyty były im zwrócone, i dałem zarówno p. Spaakowi jak i p. Zaleskiemu, odpowiednie gwarancje. Ale Brytyjczycy, którzy oczywiście nie zgłaszali co do całości żadnych pretensji tytułem własności, mieli jednak zamiar dysponować tym złotem aby pokrywać swe zakupy w Ameryce, twierdząc, że leży to w interesie koalicji. Istotnie, w tym okresie Stany Zjednoczone nie sprzedawały nic nikomu kto nie płacił gotówką. Mimo nacisku Spearsa (*), a nawet jego groźby że Anglicy zrezygnują z uzgodnionej wyprawy, nie zgodziłem się na te żądania. Wreszcie doszło do zgody na moją pierwotną propozycję, aby francuskie złoto z Bamako użyte było jedynie na pokrycie tych dostaw amerykańskich, które Anglia zamówi w Ameryce dla walczącej Francji''.

Rok 1941 i wejście Rosji do wojny. Wzmacnia ono — pisze de Gaulle — sytuację i wiarę sprzymierzeńców zachodnich, mimo zrozumiałego niepokoju o spustoszenie ich krajów przez okupację niemiecką.

,,Bardziej jeszcze dramatyczne było położenie Grecji, Jugosławii, Czechosłowacji, Polski. Jeśli wejście Moskwy do wojny

(*) Generał Spears, oficjalny łącznik pomiędzy rządem brytyjskim i generałem de Gaulle (przyp. tłum.).

dawało tym krajom gwarancję klęski Niemiec, było ono dla nich równoznaczne z innymi groźbami. Ich głowy państw i premierzy mówili o tym otwarcie. Król Grecji Jerzy II i p. Tsuderos, szef rządu, opisywali mi potworną nędzę w jaką inwazja wtrąciła naród helleński, opór z jakim mimo wszystko, spotkał się najeźdźca, ale również propagandę i tajną działalność komunistów wśród głodnych i walczących. Jednocześnie obserwowałem wokół młodego króla Piotra II Jugosłowiańskiego i wewnątrz jego rządu, na czele którego stali kolejno generał Szymowicz, p. Jowanowicz, p. Tryfunowicz, wstrząsy wywołane wypadkami które rozrywały ich kraj: ustanowieniem niepodległego królestwa Kroacji z księciem Spoleto jako królem; przyłączeniem do Włoch Lublany i Dalmacji; konkurencją, a wkrótce wrogością Tita wobec generała Michajłowicza, stojącego przecież w Serbii na czele ruchu oporu przeciw najeźdźcy.

Odwrotnie natomiast prezydent Benesz i jego ministrowie, Mgr. Szramek, Masaryk i Ripka oraz gen. Ingr, sprawiali wrażenie ludzi mających zaufanie co do zachowania się Sowietów w przyszłości. Za pośrednictwem Bogomołowa utrzymywali z Kremlem na pozór dobre stosunki. Zdawało się że ich przedstawiciel w Moskwie, p. Fierlinger, był tam dobrze widziany. Dowództwo sowieckie utworzyło korpus czechosłowacki, uformowany z Czechów służących w Wehrmachcie a wziętych przez Rosjan do niewoli. Widać było że — jeśli idzie o powrót do Pragi i odbudowanie państwa czechosłowackiego — prezydent Benesz liczył w pierwszym rzędzie na Rosję, niezależnie od awersji jaką odczuwał dla sowieckiego reżymu.

Rozmowy z Beneszem polegały na prawdziwych lekcjach historii i polityki, które długo wygłaszał — nie wywoływały one żadnego znużenia ani u słuchacza, ani u mistrza. Mam jeszcze w uszach jego wywody o losach kraju którym sterował przez dwadzieścia lat: ,,Kraj ten — mówił — nie może istnieć bez poparcia Moskwy, ponieważ musi przyłączyć do siebie Sudety, zamieszkałe przez Niemców, Słowację, której straty nie przebolełi Węgrzy, Cieszyn, chciwie pożądany przez Polaków. Francja jest zbyt niepewna na to byśmy się mogli zdać na jej dobrą wolę''. — ,,W przyszłości, stwierdzał Prezydent, moglibyśmy uniknąć gróźb jakie zawiera wyłączne przymierze z Kremlem, ale jedynie pod warunkiem by Francja podjęła na nowo w Europie należne jej znaczenie i rolę. Tymczasem, jakiż mamy wybór przed sobą?'' Tak rozumował Benesz — tym niemniej odczuwałem w głębi jego duszy niepokój.

Polacy nie mieli żadnych złudzeń. Rosja, nawet zmuszona do walki ze wspólnym wrogiem, była dla nich przeciwnikiem. Dla Prezydenta Rzeczypospolitej Raczkiewicza, dla generała Sikorskiego, szefa rządu i armii, dla ministrów Zaleskiego i Raczyńskiego czy gen. Kukiela, nie ulegało wątpliwości, że po klęsce niemieckiej przyjdzie zalew sowiecki. Co do sposobu w jaki by można zahamować ambicje Moskwy po zwycięstwie nad Berlinem, istniały wśród Polaków dwa kierunki. Raz to poddawali

się jakiejś doktrynie klęski, z której rozpacz ich czerpała upajające złudzenia, podobnie jak w muzyce Chopina z bólu rodzi się marzenie. Raz to pocieszali się nadzieją rozwiązania które by przesunęło Polskę na zachód, oddając Rosji część ziem galicyjskich i litewskich wzamian za rezygnację z panowania w Warszawie z pomocą narzuconego komunistycznego rządu. Ale, nawet kiedy zastanawiali się nad ugodą, ich stan duchowy był tak namiętny, że wywoływał licytację w ich własnym gronie, niepewność sprzymierzonych i irytację Sowietów.

A jednak, jakkolwiek wątpliwą by nie była polityka zgody, generał Sikorski zdecydowany był na jej wypróbowanie. Ten człowiek wielkiego charakteru sam odpowiadał za los swego kraju. W swoim czasie przeciwnik polityki Piłsudskiego, a później wyzywającej zarozumiałości Becka i Rydza-Śmigłego, był on od chwili klęski, wyposażony w pełnię władzy którą może dysponować państwo na wygnaniu.

Z chwilą, gdy armie Rzeszy wkroczyły do Rosji, Sikorski nie wahał się nawiązać na nowo stosunków dyplomatycznych z Sowietami, mimo gniewu który wezbrał w polskich sercach. W lipcu 1941 podpisał z Sowietami układ unieważniający rozbiór Polski dokonany przez Rosję i Niemcy w r. 1939. W grudniu udał się do Moskwy aby negocjować uwolnienie jeńców i przejazd ich na Kaukaz, skąd, pod dowództwem generała Andersa, mogli wydostać się nad morze Śródziemne. Sikorski długo rozmawiał ze Stalinem. Po powrocie, powtarzając mi te rozmowy, opisywał władcę Kremla, pogrążonego w niepokoju, ale jak zawsze trzeźwego, chciwego, chytrego. „Stalin, powiedział mi Sikorski, potwierdził swój życzliwy stosunek do sąsiedzkiej zgody. Ale jak ją będzie rozumiał, czego od nas będzie wymagał, to zależy wyłącznie od układu sił, czyli od poparcia którego udzieli nam, lub nie udzieli, Zachód. W chwili decydującej kto pomoże Polsce? Jeśli nie Francja — to nikt".

PRZYMIERZE NA WYGNANIU...

Generał de Gaulle zawsze bronił swej niezawisłości jako przywódca Wolnej Francji. Natrafiał często na naciski ze strony brytyjskiej (o stosunku Amerykanów dowiemy się zapewne więcej z następnego tomu jego pamiętników). Oto kilka wyjątków dotyczących taktyki brytyjskiej.

Funkcjonowanie sieci francuskiego ruchu oporu we Francji i jego stosunek do Komitetu generała de Gaulle:

„Brytyjczycy rozumieli niewątpliwie jakich korzyści mogli im dostarczyć Francuzi w dziedzinie wywiadu — jedynej sprawie, która ich początkowo interesowała. Ale zainteresowane organy angielskie poszukiwały wyłącznie pomocy bezpośredniej. Powstała żywa konkurencja: co do nas, wzywaliśmy Francuzów aby, w imię moralnego i prawnego obowiązku, nie dawali się wciągnąć do służby cudzoziemskiej; Anglicy zaś używali wszel-

kich środków aby werbować bezpośrednio agentów i organizować własną sieć wywiadu.

Z chwilą przyjazdu jakiegoś Francuza do Anglii, o ile nie był on osobistością ogólnie znaną, Intelligence internował go w lokalach ,,Patriotic School'' i zachęcał do zaciągnięcia się do tajnej służby brytyjskiej. Pozwalano mu zgłaszać się do nas dopiero po długim okresie zachęt i presji. Ale jeśliby uległ, izolowano go od nas i nie widzieliśmy go już nigdy. Nawet w samej Francji, Anglicy używali dwuznacznych argumentów przy rekrutowaniu agentów: ,,De Gaulle i Wielka Brytania, to jedno i to samo'', głosili. Co do środków materialnych, zależeliśmy niemal całkowicie od naszych aliantów i otrzymywaliśmy je nieraz dopiero po upartych targach. Jasne, że podobne metody doprowadzały do tarć. Ale, jeśli Anglicy często naciągali strunę, nigdy jej nie zrywali. W ostatniej chwili wycofywali się, przynajmniej częściowo i ustępowali naszym żądaniom. Wówczas zaczynał się okres pożytecznej współpracy, aż do dnia gdy, nagle, grzmiały nowe burze.

Ale tak w tej dziedzinie jak w innych, to cośmy się starali uzyskać miało znaczenie tylko wtedy, gdy francuska opinia stała za nami. Przemawiając przez radio po raz pierwszy w życiu 18 czerwca, i wyobrażając sobie, nie bez zawrotu głowy, Francuzów, którzy mnie słuchają, odkrywałem rolę jaką miała odegrać w naszym przedsięwzięciu propaganda na falach eteru.

Anglicy, pomiędzy innymi zasługami, potrafili też natychmiast ocenić, i mistrzowsko wykorzystać, wrażenie jakie wolne radio może wywrzeć na narodach zniewolonych. Od razu zaczęli organizować własną propagandę na Francję. Ale zarówno w tej dziedzinie jak w innych, o ile chcieli szczerze popierać sympatie narodowe jakie wywoływał de Gaulle i Wolna Francja, to — będąc panami sytuacji — mieli również zamiar całkowicie to wykorzystać. Jeśli chodzi o nas postanowiliśmy przemawiać wyłącznie w naszych własnych celach. Ja sam nie dopuściłem oczywiście nigdy do żadnego nadzoru, ani nie przyjąłem żadnej obcej rady, w sprawach o których miałem mówić do Francji''.

Jedność brytyjskiej ekipy i jej metody:

,,Ludzie ci nie byli bynajmniej pozbawieni zmysłu krytycznego, ani nawet humoru. Ileż razy ja sam oceniałem humor z jakim, pomimo przemęczenia, osądzali oni ludzi i zdarzenia w samym sercu wypadków, które nas kształtowały tak jak morze kształtuje żwir! Ale w każdym z nich tkwiło oddanie służbie publicznej, istniała pomiędzy nimi wspólnota zamierzeń wiążąca ich pospołem. Całość, w ekipie rządzącej sprawiała wrażenie jedności, którą często podziwiałem i której zazdrościłem.

Ale jedność ta dała mi się również we znaki. Gdyż nie jest łatwo oprzeć się machinie brytyjskiej, puszczonej w ruch, aby coś narzucić. Jeśli się samemu nie przeszło przez to doświadczenie, trudno sobie wyobrazić podobną koncentrację wysiłków, tak

bogatą różnorodność środków, kolejno to przymilnych, to nalegających, to grożących, jaką zdolni są rozwinąć Anglicy kiedy chcą osiągnąć zamierzony cel.

Najpierw jakieś aluzje, rozsiewane to tu, to tam, ale uderzające przez swój związek — zaczynały budzić naszą czujność i zwolna nas przygotowywać. Nagle, w trakcie jakiejś rozmowy, zorganizowanej wedle przyjętego zwyczaju, kompetentna osobistość przedstawiała prośbę czy żądanie brytyjskie. Jeżeli nie zgadzaliśmy się pójść po wyznaczonei drodze — a muszę przyznać, że zdarzało się to często — zaczynała się próba ,,presji''. Dookoła nas wszyscy, wszelkimi sposobami i na wszystkich szczeblach do tego się przykładali. Były rozmowy urzędowe i półurzędowe gdzie najrozmaitsze osoby — stosownie do okazji — wygrywały to przyjaźń, to interesy, to obawę. Były kampanie prasowe, zręcznie wstrzemięźliwe co do samego przedmiotu sporu, ale stwarzające w odniesieniu do nas atmosferę nagany i smutku. Była postawa ludzi, z którymi byliśmy w stosunkach osobistych ,a którzy instynktownie zgodni, usiłowali nas przekonać. Były wszędzie, gromadne i pojedyńcze, wyrzuty, skargi, obietnice i złości.

Naszym brytyjskim partnerom pomagała tutaj naturalna skłonność Francuzów do ustępowania obcym i do rozłamów wewnętrznych. U nas, zwłaszcza wśród tych, którzy, z bliska czy z daleka, w czasie swojej kariery zajmowali się sprawami zagranicznymi, ustępstwo było przyzwyczajeniem, jeżeli nie zasadą. Dla wielu, ponieważ żyli zawsze pod rządami pozbawionymi treści — było po prostu zrozumiałe, że Francja nigdy nie mówiła : ,,Nie !'' A więc w chwilach gdy przeciwstawiałem się żądaniom brytyjskim, widziałem naokoło siebie, nawet wśród najbliższych, objawy zdziwienia, zniechęcenia i niepokoju. Słyszałem jak szepcą za moimi plecami i czytałem w ich oczach pytanie : ,,Do czego wreszcie on zmierza ?'' Jak gdyby było niepojęte, że nie idzie się na przyjęcie postawionych warunków.

Jeśli zaś idzie o tych emigrantów francuskich, którzy do nas nie dołączyli, prawie automatycznie przyznawali oni rację stronie przeciwnej ; większość toczyła się po równi pochyłej owej szkoły politycznej, dla której Francja nie miała nigdy racji w chwili kiedy przejawiała własne zdanie. Wszyscy ganili de Gaulle'a, którego twardość (nazywali ją dyktatorską) wydawała im się podejrzana w porównaniu z duchem rezygnacji, który utożsamiali z duchem Republiki.

Po wyczerpaniu tych rozlicznych nacisków nagle zapadała cisza. Brytyjczycy stwarzali wokół nas rodzaj próżni. Nie było rozmów, nie było korespondencji, nie było wizyt, ani śniadań. Sprawy pozostawały w zawieszeniu. Telefony przestawały dzwonić. Ci Anglicy, których spotykaliśmy przypadkiem, byli chmurni i nieprzenikliwi. Byliśmy ignorowani, jak gdyby odwróciła się — dla nas — karta przymierza, a nawet więcej — życia. W sercu Anglii, skupionej i zdecydowanej, otaczał nas lodowaty chłód.

I wtedy przychodził decydujący atak. Niespodziewanie miało miejsce uroczyste zebranie francusko-brytyjskie. Wszystkie środki wchodziły w grę; wszystkie argumenty były przedkładane; wszystkie pretensje wyszczególniane; wszystkie melodie wyśpiewane. Mimo to, że wśród odpowiedzialnych Anglików znajomość sztuki dramatycznej nie stała na jednakowym poziomie — każdy grał swoją rolę jak urodzony artysta. Godzinami następowały po sobie sceny patetyczne i niepokojące. Rozchodzono się z pogróżkami wobec braku ustępstw z naszej strony.

Po pewnym czasie następował epilog. Najróżniejsze źródła brytyjskie zaczynały nadawać sygnały odprężenia. Przychodzili pośrednicy mówiąc, że zaszło niewątpliwie jakieś nieporozumienie. Osoby odpowiedzialne zasięgały wiadomości o mnie. Jakiś życzliwy artykulik ukazywał się w dziennikach. Po czym przychodził angielski projekt kompromisu, dotyczący roztrząsanej sprawy, a bardzo podobny do naszych własnych, pierwotnych propozycji. Warunki stawały się do przyjęcia i sprawa była szybko załatwiona — w każdym razie na pozór. Zakończenie następowało w czasie przyjaznego spotkania, nie bez tego zresztą aby nasi partnerzy nie usiłowali — korzystając z euforii odnalezionej zgody — uzyskać znienacka jakichś dodatkowych korzyści. A potem stosunki układały się jak poprzednio; sedno sprawy pozostawało wszakże nieokreślone. Bo dla Wielkiej Brytanii nie ma nigdy sprawy, którą można uważać za przesądzoną.

CHURCHILL, ROOSEVELT I WOLNA FRANCJA

De Gaulle chce uwolnić Madagaskar. Churchill opiera się temu, powołując się na niechęć Amerykanów :

,,Zwróciłem uwagę Churchilla na niebezpieczeństwo jakie przedstawiałby w naszym przymierzu dwuznaczny stosunek wobec Imperium Francuskiego, a jutro, być może, wobec samej Francji. Zaprotestował, zapewniając o swoich najlepszych intencjach. Potem nagle podskoczywszy : ,,Jestem przyjacielem Francji ! zakrzyknął. Zawsze chciałem i chcę wielkiej Francji, z wielką armią. Musi to być w interesie pokoju, porządku, bezpieczeństwa Europy. Nigdy nie prowadziłem innej polityki-!'' — ,,To prawda ! odrzekłem. Ma Pan nawet tę zasługę, że po zawieszeniu broni z Vichy grał Pan nadal francuską kartę. Ta karta nazywa się de Gaulle, niech Pan jej teraz nie przegra ! Byłoby to tym bardziej absurdalne, że obecnie Pańska polityka daje owoce i Wolna Francja stała się duszą i kadrą francuskiego oporu''.

Mówiliśmy o Roosevelcie i jego stosunku do mnie. ,,Niech Pan nie forsuje spraw ! rzekł Churchill. Widzi Pan, ja sam coraz to uginam się i prostuję''. — ,,Pan może tak robić, zauważyłem, bo ma Pan za sobą solidne państwo, jedność narodu,

nieuszczerbione imperium, wielkie wojska. Ale ja! Jakież są moje środki? A jednak, Pan o tym wie, na mnie spoczywa odpowiedzialność za interesy i los Francji. To zbyt ciężkie, i jestem za ubogi na to bym mógł się ugiąć''. Churchill zakończył nasze spotkanie zapewnieniem przyjaźni. ,,Mamy jeszcze ciężkie przeszkody do pokonania. Ale kiedyś przecież będziemy we Francji; może na przyszły rok. W każdym razie będziemy tam razem!'' Odprowadził mnie aż na ulicę, powtarzając: ,,Nie opuszczę Was. Może Pan na mnie liczyć''.

ROKOSZ ADMIRAŁA MUSELIER

Admirał Muselier, aresztowany przez Anglików pod fałszywym zarzutem szpiegostwa, uwolniony po energicznej interwencji de Gaulle'a, stał się z czasem ośrodkiem rokoszu w ramach Wolnej Francji przeciw generałowi de Gaulle:

,,Spiskowcy uzyskali poparcie Alexander'a, Pierwszego Lorda Admiralicji. Przedstawiali mu, jako ministrowi marynarki, że jeśli Muselier odejdzie, wolna flota francuska rozpadnie się, pozbawiając Royal Navy nielada atutu. Jako socjaliście, przedkładali mu, że de Gaulle i jego Komitet skłaniają się ku faszyzmowi i że trzeba aby morskie siły francuskie wyłączył z tej polityki''.

De Gaulle, ostrym stanowiskiem wobec Anglików, łamie opory. Wbrew angielskim przewidywaniom, marynarka pozostaje mu wierna:

,,Wszystkie elementy francuskich sił morskich skupiły się wokół de Gaulle'a, z tym gorętszym zapałem, im większe im czyniono trudności. Zaledwie kilku oficerów, zgrupowanych wokół admirała, zorganizowało w siedzibie jego sztabu, dokąd udałem się by z nimi rozmawiać, nieprzyzwoitą manifestację''.

TRZY PORTRETY

Philippe Pétain:

,,Jakiż prąd go ponosił, ku jakże fatalnemu losowi! Cała kariera tego wyjątkowego człowieka składała się z dążeń niezaspokojonych. Zbyt dumny, by maczać palce w intrydze, zbyt silny by zadowolić się przeciętnością, zbyt ambitny by stać się arywistą, w swej samotności karmił pasję władzy, przez długie lata wzmacnianą poczuciem własnej wartości, napotykanymi przeciwnościami, pogardą jaką żywił dla innych. Sława wojenna obdarzyła go niegdyś swą gorzką czułością. Ale nie w pełni, gdyż nie jego samego pokochała. I otóż, nagle, w srogiej zimie jego życia, wypadki gotowały jego zdolnościom i jego dumie jakże długo oczekiwaną sposobność — rozwoju bez ograniczeń.

Pod jednym tylko warunkiem : aby przyjął klęskę jako podium swego wywyższenia i aby ozdobić ją swą chwałą.

Trzeba powiedzieć że, w każdym razie, Marszałek uważał sprawę za przegraną. Ten stary żołnierz, który wdział mundur nazajutrz po 1870 roku, siłą rzeczy osądzał konflikt jedynie pod kątem widzenia wojny francusko-niemieckiej. Pokonani w pierwszej wojnie, wygraliśmy drugą, tę z lat 1914-1918, zapewne że z pomocą sprzymierzeńców, ale ci odegrali rolę drugorzędną. Teraz przegrywaliśmy trzecią. Po Sedanie i upadku Paryża, pozostawało jedno rozwiązanie : układać się, skończyć, i, w razie potrzeby, zgnieść Komunę, śladami Thiersa. W osądzie starego Marszałka, światowy charakter konfliktu, możliwość zamorskiego zwycięstwa, ideologiczne następstwa zwycięstwa Hitlera, nie wchodziły w ogóle w rachubę. Nie były to sprawy które był przyzwyczajony brać pod uwagę.

Mimo wszystko jestem przekonany, że w innym okresie marszałek Pétain nie byłby przystał na odzianie się w purpurę narodowej hańby. A w każdym razie jestem pewny, że gdyby był naprawdę pozostał sobą, nawróciłby na szlak wojenny przekonawszy się że wybrał mylną drogę, że zwycięstwo jest nadal możliwe i że Francja może w nim uczestniczyć. Lecz, niestety ! lata, pod pozorami krzepy, wyszczerbiły jego charakter. Wiek rzucał go na pastwę ludzi chytrych, kryjących się pod jego majestatycznym zmęczeniem. Starość jest katastrofą. Aby nic nie było nam oszczędzone, starość marszałka Pétain pokryła katastrofę Francji''.

Winston Churchill :

,,Churchill przyjął mnie na Downing Street. Był to mój pierwszy z nim kontakt. Wrażenie jakie odniosłem utwierdziło mnie w przekonaniu że Wielka Brytania, z takim bojownikiem na czele, na pewno się nie ugnie. Churchill wydał mi się zdolny do każdego zadania, bodaj najtrwardszego, byleby nosiło znamiona wielkości. Pewność jego sądu, wielka kultura, znajomość spraw, krajów, ludzi, wreszcie jego pasja do spraw czysto wojennych, miały tu pole do popisu. Siłą swego charakteru był on stworzony przede wszystkim do działania, do ryzyka, do odegrania wielkiej roli; stanowczo i bez skrupułów. Był on na swoim miejscu jako przywódca. Takie były me pierwsze wrażenia.

W następstwie wrażenia te jeszcze się potwierdzały, w miarę jak odkrywałem krasomówstwo Churchilla i użytek jako z niego potrafił zrobić. Jakie by nie było jego audytorium : tłum, zgromadzenie, rada, a choćby samotny rozmówca, czy był przy mikrofonie, na trybunie, przy stole czy za biurkiem — oryginalny, poetycki, wzruszający nurt jego myśli, argumentów, uczuć, zapewniał mu niemal zawsze wyższość w tej dramatycznej atmosferze w jakiej pogrążony był biedny świat. Nawet humor, którym zaprawiał swoje przemowy, nawet sposób w jaki operował raz to urokiem, raz to gniewem — wszystko świadczyło o opa-

nowaniu z jakim prowadził straszną grę, w którą był zaangażowany.

Ostre i przykre tarcia powstające nieraz między nami z powodu niezgodności naszych charakterów, przeciwieństwa w niektórych interesach naszych krajów, nadużyć jakich dokonała Anglia kosztem zranionej Francji — wpłynęły na mój stosunek do Premiera, ale nie zmieniły mego zdania o nim. Winston Churchill od początku do końca dramatu, był dla mnie wielkim przewódcą wielkiego przedsięwzięcia i wielkim artystą wielkiej Historii''.

Wiaczesław Mołotow:

,,W maju (1942) przyjechał do Londynu Mołotow. Dwudziestego czwartego miałem z nim wyczerpującą rozmowę. Towarzyszył mu Bogomołow, mnie Dejean. Zarówno tego dnia, jak i później, znalazłem w Mołotowie człowieka który wydawał się tak fizycznie jak moralnie z jednej bryły, jakby stworzony do funkcji jaka mu przypadła. Ton poważny, gest powściągliwy, o grzecznej lecz surowej postawie, sowiecki minister spraw zagranicznych mówił z siłą, to co miał do powiedzenia i słuchał uważnie. Ale nie znać było po nim żadnej spontanicznej reakcji. Nie sposób wzruszyć go, rozśmieszyć, zirytować. Jakikolwiek problem poruszyło się, było jasne, że znał go szczegółowo, że notował nowe elementy, jakie wnosiła rozmowa, że precyzyjnie formułował swe oficjalne stanowisko, ale że nigdy by nie wyszedł poza ramy gdzie indziej przygotowane i postanowione. Niewątpliwie zawarł niegdyś z Ribbentropem układ niemiecko-sowiecki z równą pewnością siebie jaka go cechowała dziś przy negocjowaniu zachodnich paktów. W Mołotowie, który był, i chciał być, zaledwie kółkiem w nieubłaganej i doskonałej maszynie, wydaje mi się, że poznałem sam wykwit totalnego systemu. I oceniłem jego wielkość. Ale jeśli nawet samo sedno tego systemu zostało dla mnie tajemnicą, odczułem jego melancholię.

(*Tłumaczył K. A. JELEŃSKI*)

Wieczysty dialog z przeszłością

Każde pokolenie zaczyna swoją karierę przez zerwanie z przeszłością, jak gdyby tak tylko mogło zwyciężyć swoich poprzedników i odnaleźć własną drogę. Jednak tylko w dojrzałych cywilizacjach niezadowolenie spadkobierców wyładowuje się w literackich i artystycznych rewolucjach co dwadzieścia czy trzydzieści lat. Trwałe, dojrzałe tradycje są dostatecznie silne aby dawać podnietę nawet do buntów i dostatecznie żywotne aby strawić i przyswoić najśmielsze nawet pomysły twórcze.

Od dwustu przynajmniej lat literatura francuska przechodzi stale takie gwałtowne przemiany, które zbyt często są fałszywie interpretowane zagranicą jako stanowcze odskoki od tradycji i nieraz naśladowane z nieco przesadną gorliwością. Jednak nawet najbardziej buntowniczy francuski pisarz całe swoje życie prowadzi dialog ze swoimi poprzednikami. Chociażby nienawidził ich obyczajów i chwytów, nigdy nie wątpi że należy do rodziny i jest przekonany, że przyszedł aby kontynuować i kończyć to co oni zaczęli.

W ten sam sposób budowniczowie europejskich katedr pracowali przez wieki : pokolenie za pokoleniem dodawało część w swoim własnym stylu do tego co zaczęli przodkowie. Łatwo rozpoznać do jakiego okresu należą różne części olbrzymiej budowli, ale nie rażą nas swoimi odrębnościami ponieważ, nieomal cudem, umieli ukształtować jedność z różnorodności — co jest cechą charakterystyczną każdego prawdziwego *chef-d'oeuvre*.

Aby zrozumieć obecną sytuację we francuskiej literaturze, należy pamiętać o tym jej katedralnym charakterze, który różni ją tak bardzo od, dajmy na to, literatury niemieckiej, też mającej wielką przeszłość ale tak słabą tradycję, że tylko najmniej uzdolnieni pisarze zdają się być do niej przywiązani. We Francji romantycy, realiści, naturaliści, symboliści, nadrealiści, neorealiści i neo-naturaliści następowali po sobie. Ale młody pisarz, niezależnie od tego jaki ism uzna za swój w roku 1954, sądzi że powinien rozstrzygnąć czy w swoim stylu zbliża się bardziej do Racine'a czy do Rousseau, i czy w swojej zasadniczej postawie bliższy jest Montaigne'a albo Pascala czy Voltaire'a. Może chcieć zniszczyć każdy okruch swego dziedzictwa ale nie składnię i nie stare prawa stylu.

Dotychczas żaden z poważnych krytyków literackich nie zapragnął czy nie odważył się podać w wątpliwość estetycznych czy moralnych zasad które ich pradziadowie uznawali za niewzruszalne. Pisma Alberta Thibaudet na przykład, którego bergsonowska estetyka nie znalazła zagranicą tego oddźwięku na jaki nadal zasługuje, należy uważać za reprezentatywne dla tego zachowawczego rewolucjonizmu, którym odznaczają się niestrudzeni budowniczowie katedr.

Zachowawczy rewolucjonizm — nie jest to tani paradoks. Weźmy Charles Baudelaire'a, którego wpływ, choć nie zawsze przyznawany, pozostaje wszechpotężny. Atakował społeczeństwo w imieniu ustalonych wartości którym zdawał się zagrażać jego czas a jego najśmielsze wiersze są głęboko katolickie. Arthur Rimbaud — ten znowu przyczynił się w decydującym stopniu do nawrócenia Claudela na katolicyzm i równocześnie z niego wywodzi się każda poetycka rewolucja naszego stulecia. Baudelaire był katolikiem w ten sam sposób w jaki Chateaubriand, stale w konflikcie ze swoimi królami, był rojalistą, a Racine Jansenistą : ich stanowisko było oparte na sprzeczności która miała niezwykle zapładniający wpływ na ich dzieło.

Tę samą sprzeczność znajdzie się w życiu i pracy Georges Bernanosa, który, wierny kościołowi, prowadził wojnę z jego dygnitarzami. Był następcą katolickiego anarchisty Leona Bloy i religijnego socjalisty Charles Péguy. Agnostyczny Gide i jego przyjaciele od początku stulecia walczyli ze swymi współczesnymi w imię estetyki która, pomimo niektórych unowocześnień, należała właściwie do siedemnastego wieku. Nawet nadrealiści, których gesty i manifesty zdawały się wyrażać wolę pozbycia się wszystkiego co było, zboczyli z drogi żeby szukać swoich protagonistów na cmentarzach.

Ta ciągłość, której nie niszczą bunty, przeciwnie, którą podkreślają, wyjaśnia dlaczego względnie łatwo przychodzi nowym kierunkom znaleźć we Francji uznanie bez uciążliwych bojów. Tam gdzie nic nie uchodzi za zbyt stare, nic nie jest naprawdę nowe. Poza tym, od czasu zdumiewającego zwycięstwa impresjonistycznego malarstwa, burżuazja i inteligencja są w strachu, że jeszcze raz spóźnią się z uznaniem nowych wielkości. Skłonne są przypuszczać, że to co dzisiaj jest zbyt śmiałe, jutro może stać się najpewniejszą lokatą.

Nie jest już łatwo *épater le bourgeois,* a właściwie prawie niemożliwe. Są młodzi pisarze, którzy starali się siać wiatr, ale nie zebrali żadnej burzy, nawet małego podmuchu skandalów, jedynie ostrożną ojcowską radę zachowawczych krytyków żeby bardziej dbali o składnię następnym razem i nie zaniedbywali używać *subjonctif de l'imparfait.* Zaraz po wojnie istniała pewna moda na nieco uroczystą i bardzo smutną pornografię, ale uleciała bez hałasu.

Pomiędzy 1939 i 1945 kontynent europejski zaznał tak wielu okropności, że ludzie oduczyli się doznawać grozy. Jest to trwały skutek i nie przestaje mieć moralnych i estetycznych następstw.

Prawie żadna książka wojenna nie miała tu wielkiego powodzenia; spośród wielu znakomitych książek o obozach koncentracyjnych napisanych przez francuskich autorów, tylko jedna, naprawdę zresztą wybitna: „Les jours de notre mort'' Davida Rousset zyskała rozgłos i zwróciła uwagę szerszej publiczności. „Rok 1984'' Orwell'a został pominięty milczeniem przez prasę i nie znalazł czytelników — fakt i trudny do wiary i skłaniający do protestu w kraju, którego literatura nie znała prawie nigdy wymykania się od zagadnień i gdzie nawet Romantycy dochowali wierności tradycji, która każe konfrontować uczucia, wizje i idee z rzeczywistością społeczną.

Po pierwszej wojnie światowej trzy grupy — chciałoby się wiedzieć trzy pół-pokolenia — zdobyły najmocniejszą pozycję we francuskiej literaturze. Przede wszystkim ludzie zgrupowani głównie dokoła „La Nouvelle Revue Française'', większość z nich już około pięćdziesiątki zanim ich uznano — a więc tacy jak Gide, Claudel, Valéry, Suares; następnie o piętnaście mniej więcej lat młodsi od nich: Roger Martin du Gard, Mauriac, Duhamel, Romains, Maurois, Bernanos, Giraudoux i Cocteau. Wreszcie około dwudziestu pięciu lat młodsi: Breton, Montherlant, Drieu La Rochelle, Giono, Aragon, Céline i, najmłodszy z tej grupy, Malraux.

Kiedy skończyła się druga wojna światowa, sytuacja ostatniego pokolenia była odbiciem tragicznych wydarzeń: Drieu La Rochelle popełnił samobójstwo wskutek swojej współpracy z nieprzyjacielem; Montherlant i Giono, którym zarzucano poważne polityczne błędy nie mogli nic publikować; Céline uciekł do Danii; Aragon wybrał już na dobre wyjaławiającą rolę komunistycznego poety-laureata; Breton nie wrócił jeszcze ze swego amerykańskiego wygnania a Malraux, po swoim powrocie z pól bitwy, zajął się polityką i następnie filozofią sztuki. Z drugiej grupy Mauriac zabrał się do politycznego dziennikarstwa, tak jak Bernanos który miał umrzeć przedwcześnie. A Giraudoux już nie było.

W ostatnich latach pierwszej wojny światowej i jakiś czas później „Le Feu'' Henri Barbusse'a, głęboko pacyfistyczna książka zdobyła niezwykłe powodzenie. (Nagroda Goncourtów 1916). Podczas drugiej wojny światowej książka katolicka, bardzo kościelna, „Jezus i jego czas'' (przez Daniel Rops'a) znalazła więcej nabywców i czytelników niż jakiekolwiek inne dzieło wydane w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Ten fakt jest bez wątpienia bardziej charakterystyczny niż moda na tak zwany egzystencjalizm, który przez kilka lat przyciągał uwagę ludzi zbyt łatwo mieszających hałaśliwą grupę z narodem i ciężkawą terminologię z przewrotem intelektualnym.

Niektóre głosy zdawały się wtedy być mocne, tylko dlatego, że tak wiele mocnych głosów milczało. Na przykład nieobecność wielkiego narratora pośród francuskich powieściopisarzy — Jean Giono — dała miejsce wielu młodym pisarzom. Nie przedrukowywano dzieł Céline'a i wielu eksploatowało kopalnię którą otwo-

rzył swoimi dwoma pierwszymi powieściami. Głosili oni że występują z nową filozofią — a właściwie łączyli język i neo-naturalizm Céline'a z pewnymi elementami techniki amerykańskiej powieści, w szczególności z tymi które rozwinęli Dos Passos, Hemingway i autorzy niektórych powieści kryminalnych.

Naród francuski zaznał poniżającej klęski i żył pod deprawującą okupacją — a jednak nie ma dotychczas ani jednej ważniejszej książki która by utrwaliła to straszliwe doświadczenie. Częściowo podziemna, skrajnie nacjonalistyczna poezja na użytek doraźny, bardzo wielbiona w 1944, stała się nieczytelna w dwa lata później i dzisiaj jest po prostu nie do pomyślenia. W pierwszych latach po wyzwoleniu można było mieć wrażenie że literatura francuska raz jeszcze przechodzi przewrót, głębszy nawet niż te jakie dotychczas znała. Oczekiwano że już jutro albo pojutrze pojawi się nowa treść, do której natchnienie da nowy cel społeczny, w duchu Résistance. Obecnie nie ulega już wątpliwości że wojna, okupacja, wyzwolenie, nie natchnęły młodszego pokolenia pisarzy, że nie pojawili się młodsi, służący tej nowej treści. Istnieje wiele talentów wśród tych co dziś mają 25 czy 30 lat, ale żaden z nich nie zdaje się być zdolny ani nawet chętny, wykroczyć poza strefę zakreśloną przez ludzi urodzonych w końcu poprzedniego czy w początku tego stulecia.

Można próbować wytłumaczyć brak estetycznej nowości faktem że francuscy pisarze ulegli po wojnie w bardzo silnym stopniu wpływom tak zwanej postępowej filozofii, która podkreśla znaczenie społecznej treści i wydaje się usprawiedliwiać pewną pogardę dla estetyki. Jak jednak wytłumaczyć że społeczne zainteresowania naszej epoki są w ich dziełach nieobecne? Podpisują oni protesty i oświadczenia które uważają za ultra-lewicowe, a tworzą literaturę wyrażającą niemal absurdalny indywidualizm, i coraz bardziej religijną, w istocie katolicką, postawę wobec życia, grzechu i śmierci. Francuska rewolucja literacka była przebraną kontrrewolucją, wynikła z nieczystego sumienia i zamętu świadomości.

Są co najmniej trzy możliwości dla literatury. Może ona wycofać się na wewnętrzne wygnanie, albo odbijać tylko rzeczywistość społeczną nie działając na nią, albo, przeciwnie, wyprzedzać współczesne społeczeństwo i kształtować w ten sposób jego sumienie i jego świadomość. We Francji literatura dawno już temu wywalczyła sobie to trzecie stanowisko, ale jak się zdaje, w danej chwili cofnęła się na drugie, tam gdzie ogranicza się do odbijania i nie czuje się zdolna przezwyciężyć niebezpiecznego zamętu w umyśle wielkiego narodu bardziej osłabionego przez ostatnie zwycięstwa niż przez wcześniejsze klęski. Nie zapominajmy jednak że w dziedzinie twórczości duchowej schyłek jest pretensjonalny, śmierć często wrzaskliwa i tylko narodziny są ciche.

Godzina nowych narodzin może być bliska.

Manès SPERBER

(Tłumaczył Czesław MIŁOSZ)

Notatki z lektury

PRZEKŁADY I GAŁCZYŃSKI

Ostatnie dziesięciolecie literatury polskiej powinno być nazwane dziesięcioleciem przekładów, bo w tej dziedzinie zrobiono najwięcej. Wydawanie klasyków światowych w rodzimym języku kompensuje w znacznym stopniu małą albo żadną znajomość języków obcych u młodego pokolenia i hermetyczne zamknięcie w granicach niedużego kraju. Zresztą nawet niezła znajomość jakiegoś języka na poziomie szkolnym nie wystarcza, pozwala najwyżej liznąć obcych autorów w oryginale. Jakie takie spoufalenie z literaturą francuską zawdzięczamy przede wszystkim Boyowi-Żeleńskiemu. Bez przesady można powiedzieć, że dzieło obce wywiera wpływ dopiero wtedy, kiedy jest osadzone w mowie znanej od dzieciństwa.

Ani literatura angielska, ani niemiecka, ani rosyjska nie miały u nas swego Boya. Po wojnie powstały wielkie państwowe domy wydawnicze, rozporządzające środkami poważniejszymi niż dawne firmy prywatne i pojawiły się nowe możliwości także dlatego, że pęd do przekładów jest u pisarzy powszechny i całkowicie zrozumiały : najpewniejszy środek zarobku dla tych, którzy są pewni swego stylu a którym urzędowe wymagania, kiedy chodzi o aktualne tematy uprzykrzają życie. Słaba płatność tłumaczeń przed wojną odstręczała od nich wybitniejszych literatów, albo jeżeli już zabierali się do takiej pracy, robili ją na chybcika. Dzisiaj tłumaczenia są nieźle płatne. Są więc warunki, żeby wypełnić luki i zaległości, datujące się jeszcze z XIX wieku (wtedy w wielu krajach sztuka przekładu szczególnie się umocniła).

Literatura rosyjska jest oczywiście starannie i obficie tłumaczona. We francuskiej pracę Boya uwziął się kontynuować Julian Rogoziński, który debiutował przed wojną jako poeta i tłumacz poetów francuskich. Niemcom poświęcił się Adolf Sowiński, też z przedwojennego chowu, ale zobaczymy jak on i inni

dadzą sobie radę — dość powiedzieć, że Goethe po polsku tak jakby nie istniał — ,,Faust'' Zegadłowicza to chyba próba, a nie żaden wynik. Równocześnie z zupełnym prawie wyparciem łaciny, a tym bardziej greki, z programów szkolnych, wzrasta zainteresowanie autorami starożytnymi i znajdują się specjaliści przekładu: Jan Parandowski, K. Kumaniecki (wyszła niedawno jego ,,Wojna Peloponeska'' Tukydydesa, ogromny tom), Artur Sandauer.

Studia literackie nie mogą się obyć bez literatury angielskiej, szczególnie kiedy duży nacisk kładzie się na realizm pierwszych majstrów powieści, jak Daniel Defoe, Swift czy Fielding. Często istniały dzieła tych autorów po polsku ale zapomniane. Jan Kott wskrzesił piękny przekład ,,Podróży Guliwera'' z XVIII wieku i to duża zasługa. Swift, Defoe (czy ktoś spolszczy wreszcie najzjadliwszą chyba jego książkę ,,Przygody Kapitana Singletona'', dzieje pobożnych piratów?), Fielding, także Sterne, ukazali się więc w polu widzenia polskich czytelników. Maria Dąbrowska wydała pamiętniki Samuela Pepys'a, rezultat swojej wieloletniej pracy. Zabrano się także do Szekspira.

Szekspir w przekładzie Paszkowskiego, Ulricha i Koźmiana stanowił do ostatnich czasów podstawę dla teatrów i aktorzy łamali sobie zęby na trudnym do mówienia tekście. Do czytania dla przyjemności ten Szekspir się nie nadawał, przy najlepszej woli ogarniało zniechęcenie. Lepszego jednak nie było. Kasprowicz i inni nie dorównali, jak to już można dziś z perspektywy stwierdzić, trzem upartym i uczciwym rzemieślnikom z ubiegłego stulecia.

Że coś z Szekspirem trzeba jednak zacząć, pierwszy poczuł Iwaszkiewicz. A w Warszawie wojennej zapadło wiele postanowień i podziemna organizacja aktorów podniecała literatów namowami i zaliczkami. Dygat wtedy przełożył ,,Wieczór trzech króli'', niżej podpisany ,,Jak wam się podoba''. Dopiero w okolicach roku 1950 sprawa całego Szekspira w nowej polskiej wersji ruszyła z miejsca, zajął się tym Państwowy Instytut Wydawniczy.

Losy Szekspira w różnych krajach zależą od wielu czynników. We Francji dawno minęła epoka kiedy ,,Hamleta'' grano pod tytułem ,,Hamlet czyli roztargniony'' i mnożą się nowe przekłady — chyba skazane na to, żeby zostać zawsze niedoskonałym przybliżeniem, bo przeszkodą jest sam język. Precyzyjny do rozpaczy, wspaniały jako dyscyplina, beznadziejny kiedy trzeba oddać energię jambu (porównajmy angielskie ,,wait!'' i francuskie ,,attendez!''), niezłomny w swoim gramatycznym porządku. Jak wiadomo istniała we Francji tradycja tłumaczenia poezji prozą.

Co innego Rosja. Słowiańskie języki są świetnym instrumentem przekładu, Rosjanie od stu kilkudziesięciu lat posługują się tym instrumentem z upodobaniem i w żadnym chyba kraju nie ma tak wielu i tak dobrych tłumaczeń z literatur obcych. Tak było też w Rosji i z Szekspirem. W dwudziestym wieku

nowego Szekspira Rosjanie zawdzięczają Borysowi Pasternakowi, który, ponieważ największy żyjący poeta, ,,wypadł z łaski'', żeby tradycji kraju stało się zadość. Jest pewne, że kiedyś w Moskwie stanie pomnik Borysa Pasternaka — i za wiersze i za jego Szekspira.

Do niedawna trudno było zapoznać się z tomikami Szekspira — Pasternaka. Nakłady były nieduże. W Waszyngtonie wypożyczałem je z Biblioteki Kongresu, ale w Polsce mało kto je widział — zresztą wiele książek rosyjskich łatwiej dostać na Zachodzie niż w Polsce. Zbiorowy tom (,,Tragedii'') ukazał się w 1951 roku (Gosudarstwiennoje Izdatielstwo Dietskoj Litieratury Ministierstwa Proswieszczenja RSFSR). Obejmuje on : ,,Romeo i Julia'', ,,Hamlet'', ,,Otello'', ,,Król Lir'', ,,Makbet''. Jest to wydanie ocenzurowane : usunięto bardziej nieprzyzwoite ustępy, żeby nie gorszyć młodzieży.

Porównywanie Szekspira po polsku z Szekspirem po rosyjsku jest ciekawe. Łatwiej jest znaleźć w rosyjskim formę zwięzłą zbliżoną do szekspirowskiego jambu niż w polskim. Są i drobne (zdawałoby się) ułatwienia, np. ,,you'' ma odpowiednik ,,wy'' albo ,,ty'', a w polskim, mimo wszelkie ,,słuchajcie obywatelu'' i ,,zwróćcie uwagę towarzyszu'', ,,wy'' brzmi ciągle dziko i nieprzyjemnie. To całkiem spory kłopot. Tam gdzie trzeba oddać siłę, furię, fatalizm, rosyjski jest bez konkurencji. Natomiast renesansowa grzeczność, dworność, lepiej wychodzi po polsku, potwierdzając ten zysk, że myśmy mieli swój Renesans a Rosjanie nie mieli.

Polscy tłumacze — to dzisiaj przede wszystkim Roman Bradstaetter, który dał między innymi ,,Hamleta'' (*). To także Konstanty Ildefons Gałczyński, który zdążył przed śmiercią przełożyć ,,Sen nocy letniej'', ,,Henryka IV'' cz. I. i zaczął ,,Burzę'' (**). Nad jego pracami chciałbym się tutaj zastanowić.

Szekspira nie można archaizować. Każde bodaj stulecie dostosowuje go do swojego sposobu wyrażania się i do swego ucha. Ulrich, Paszkowski i Koźmian, dobrzy na swoją epokę, zaczęli drażnić, kiedy zmienił się rytm mowy (tak jak drażni nas Orzeszkowa), bo nie stworzyli przecie arcydzieła, które by się opierało czasowi przez swoistą formę. Zawsze można dyskutować do jakiego stopnia posunięta może być nowoczesność wyrażeń. Pasternak idzie tu najdalej. U niego Szekspir jest wtopiony całkowicie w potoczny rosyjski, z tym uzupełnieniem, że jest to rosyjski możliwie najbardziej ludowy, możliwie najmniej literacki. Weźmy scenę obłędu Ofelii. Królowa mówi : ,,Nay, but Ofelia'' co przekształca się w ,,Wot gorie- to ! wzglanitie na nieje''. Król mówi : ,,How do you pretty lady ?'', u Pasternaka: ,,Kak wam żiwiotsia, miłoczka moja ?''. I ta piosenka Ofelii :

(*) P.I.W. wydał *Hamleta* oraz *Romeo i Julia* w przekładzie Iwaszkiewicza.

(**) Wiliam Szekspir. *Sen nocy letniej. Henryk IV*. Przełożył K. I. Gałczyński. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954.

Biełyj sawan, biełych roz
Dierewko w cwietu,
I lico podniat' ot sloz
Mnie niewmogotu.

Moja znajomość rosyjskiego jest zbyt niedoskonała żebym wypowiadał stanowcze sądy, ale widzę u Pasternaka dążność do takiego zruszczenia Szekspira żeby stał się ,,narodnyj'' jak Puszkin (co nie jest zasadą wszystkich dobrych tłumaczeń : czasem utrzymuje się równowagę chwiejną, tak np. czytelnik Rabelego w ujęciu Boya zawsze wie, że to autor francuski świetnie odtworzony, a nie staropolszczyzna). Liczne u Szekspira przysłowia i aluzje do nich Pasternak zastępuje najczęściej innymi, rosyjskimi, nie troszcząc się o dosłowność. Obcina niektóre wiersze, inne rozbudowuje. Zupełnie inna metoda niż u dziewiętnastowiecznych tłumaczy, drżących żeby nic nie uronić i nawet najmniej zrozumiałe zwroty angielskie podać tak jak są.

Niektóre miejsca u Pasternaka wiele mówią o duchu języka i związku języka z obyczajami. Brabancjo każe zamknąć Otella (,,Otello'', akt I, scena 2). Brzmi to :

To prison, till fit time
Of law, and course of direct session
Call thee to answer.

Najchętniej przekładam to jako :

Będziesz w więzieniu i staniesz przed sądem
W czasie należnym tobie wedle prawa.

Bo legalność procedury jest u Szekspira podkreślona. U Pasternaka natomiast otrzymujemy :

Spierwa w tiurmu. Niemnogo posidisz.
Nastaniet wremja, pozowut — otwietisz.

,,Otello'' przez taką swojskość, przez to że Desdemona jest ,,generalsza'' a Kassjo ,,lejtenant'' przekształca się więc całkowicie w sztukę rosyjską, niemal z ostatniej wojny, i zrozumiałe są żywe reakcje publiczności teatralnej. Rola Szekspira w Rosji jest ogromna, ubogi repertuar współczesny nie może z nim konkurować.

Gałczyński zaczął pracować nad Szekspirem — z inicjatywy Państwowego Instytutu Wydawniczego — wtedy kiedy wpadł w niełaskę. ,,Sen nocy letniej'' ukończył latem 1950 roku. Przymus sytuacji jest w literaturze często zbawienny — wiadomo że wiele dzieł nigdy by nie powstało gdyby ich autorzy nie mieli noża na gardle, długów, żon i dzieci do wyżywienia. Gałczyńskiego trudno było posądzić o zdolność do dłuższego

równomiernego wysiłku a te 253 strony wierszem stanowią dowód, że był do tego zdolny i że wkładał w ten trud wiele miłości.

Tom czyta się jednym tchem i to jest zwycięstwo Gałczyńskiego : nareszcie Szekspir dostępny. Dwa kryteria, wydaje mi się, powinny być stosowane : czytelność i przydatność tekstu dla aktorów, stosując to drugie dochodzi się również do pochlebnych dla Gałczyńskiego wniosków, bo tekst wymawia się łatwo (choć nie koniecznie łatwy jest do zapamiętania). Środki przez niego użyte ulegają zmianie w miarę jak wgryza się w Szekspira. W ,,Śnie nocy letniej'' stosuje, jak to tradycyjnie się utarło, jedenastozgłoskowiec. W ,,Henryku IV'' — trzynastozgłoskowiec, i widocznie uznał go za przydatniejszy, bo tak są przełożone partie wierszowane w początku ,,Burzy''.

Podobnie jak Pasternak, Gałczyński odświeża czasem tekst wyrażeniami rodzimymi. Bosman w ,,Burzy'' zachęca marynarzy krzycząc : ,,Ej dziateczki ! Śmiało, śmiało, dziateczki ! Z żywokostem, z żywokostem ! (Co prawda nie wiem na pewno czy Gałczyński słyszał to u warszawskich murarzy). W ,,Śnie'' mówi się o ,,lwie faktycznym'' (to jest rzeczywistym, a nie udanym). Jednak jego Szekspir jest znacznie bardziej ,,przekładowy'' niż u Pasternaka (co nie jest zarzutem). Dość wiernie, na ile mogłem sprawdzić, trzymający się oryginału, narzuca sobie dyscyplinę, wyrzeka się gwary ulicznej, śladów ,,Zielonej Gęsi'' też odkrywamy mało, nie wiem czy niekiedy nie ze szkodą dla humoru.

Tom podnieca do pewnej dyskusji zasadniczej o uleganiu albo nie-uleganiu rytmowi oryginału. Gałczyński, gdyby mógł w tej dyskusji wziąć udział, na zarzut, że za mało ulega, odpowiedziałby, że polszczyzna nie znosi silnego akcentowania. Ponieważ dzisiaj potępia się (i słusznie) poezję Młodej Polski, eksperyment rytmiczny jako jej właściwy ma złą sławę. W istocie użytek robiony z monosylab i końcówek męskich był u poetów Młodej Polski bardzo powierzchowny i wyradzał się w monotonne miarowe bębnienie. Później przyszły spory między Skamandrem i awangardą o metaforę, które nie sprzyjały zajmowaniu się metryką. Wreszcie już po wojnie przywrócono do honoru wiersz dość staroświecki (odpowiednikiem we Francji są próby wskrzeszenia przez Partię Komunistyczną aleksandrynu i formy sonetu — wywołały one odruchy gniewu u wielu poetów) .Teoretyczne rozważania o formach wersyfikacyjnych ,,narodowych'' (zmiany celów do jakich służy przymiotnik ,,narodowy'' w ciągu ostatnich kilkunastu lat, to temat do całego traktatu) tak jak się to dziś w Polsce praktykuje, pocieszać mają tych co są zmuszeni do rezygnacji z poszukiwań. Rezygnacja może z kolei spowodować rozbieżność między rozwojem żywej mowy potocznej i literackim kanonem.

Rzecz w tym, że Szekspir po angielsku brzmi cierpko i energicznie. Polszczyzna, z jej akcentem na przedostatniej sylabie, szeleści sobie słodko a przymilnie. U tłumaczy ubiegłego stulecia górski potok Anglika rozpływał się w zamuloną rzekę. U

Gałczyńskiego rzeka jest ładna — ale nizinna. Tutaj pytanie: czy może polski nie nadaje się, z samej swojej natury, do oddania angielskich jambów, podobnie jak francuski? Może, ale nie na pewno.

Pasternak jest szorstkości Szekspira świadomy. Żeby jej nie zgubić, rozbija dłuższe zdania na kilka krótszych, wydaje krótkie szczeknięcia, wspomagany oczywiście przez charakter języka. Na przykład ta przemowa Otella do Jago:

Da czto s toboju? Czto ty zadołbił
I powtoriajesz wsio za mnoj kak echo?
W czem dieło? Tak li mysl twoja straszna,
Czto ty jeje boiszsia obnarużit'?
Stołknuliś s Kassjo .. niechoroszo.
Mienia on swatał k niej — opiat' nieładno!
Czto u tiebia w umie? Ty morszczisz łob,
Kak budto w czerepie twojem zapriatan
Kakoj-to użas. Jesli ty mnie drug
Otkroj mnie wsio.

Gdyby ktoś twierdził że polszczyzna takiej ekwilibrystyki akcentów nie uniesie, można mu poradzić żeby przeczytał ten sam fragment (akt III, scena 3) u Paszkowskiego — najzupełniej rozlazły — i stosując wymagania zgodne z dzisiejszymi możliwościami, zastanowił się czy wrażliwość (przeciętna) polskiego ucha nie jest dziś inna. Niewątpliwie zasób środków w polszczyźnie jest ograniczony, ale jednosylabowe słowo akcentowane, przez jego rzadkość, posiada „siłę wybuchową" znacznie większą niż w rosyjskim. Nie o to zresztą tylko chodzi. Rozbijając i urozmaicając tok zdania również w sensie intonacji, da się chyba zachować kosmatość Szekspira i po polsku.

Mój zarzut, jedyny pod adresem Gałczyńskiego: jego Szekspir jest za gładki. Przywiązanie do potoczystości skłoniło go też chyba do wyboru trzynastozgłoskowca, upłynniającego zdania jeszcze bardziej — wyboru, moim zdaniem, niesłusznego.

Wybieram na chybił trafił („Henryk IV", cz. I, akt IV, scena 3):

Then to the point.
In short time after, he depos'd the king;
Soon after that, depriv'd him of his life;
And, in the neck of that, task'd the whole state.

Więc już kończę.
W bardzo niedługim czasie króla składa z tronu,
Wrychle potem pozbawia go życia, kraj cały
Na dobitkę wszystkiego podatkiem obkłada.

Trzynastozgłoskowiec zmusza do ,,watowania'' tzn. do użycia słów dłuższych tam, gdzie nie są konieczne.

Pomijając szczegół, że Gałczyński często rymowane partie ,,Snu nocy letniej'' tłumaczy wierszem białym (co jest dozwolone), taneczny rytm oryginału takiego np. fragmentu wymagałby jakiegoś wynalazku metrycznego żeby go zachować :

O spite ! ö hell ! I see you all are bent
To set against me for your merriment :
If you were civil and knew courtesy,
You would not do me thus much injury.
Can you not hate me, as I know you do,
But must join in souls to mock me too ?

U Gałczyńskiego :

O piekło ! Widzę, żeście się zmówili,
Żeby uczynić ze mnie przedmiot szyderstw.
Gdybyście byli dobrze wychowani,
To nie krzywdzilibyście mnie w ten sposób.
Czyż wam nienawiść wasza nie wystarcza ?
Jeszcze musicie razem szydzić ze mnie ?

Na czym polega nieprzetłumaczalność np. ,,Pana Tadeusza'' na francuski ? Nie na tym, że nie da się wiernie przekazać obrazów czy porównań. Ten sam obraz zmienia się jednak w zależności od tego czy swoją siłę musi czerpać sam z siebie, czy też pojawia się w tym trudnym do nazwania ruchu jakim jest pochód mickiewiczowskiego trzynastozgłoskowca. Tak samo najprostsze czynności przeniesione w piosenkę dziecinną magicznieją. To, że proza jest przetłumaczalna, dowodzi jej innej funkcji i niższości w hierarchii sztuk. Jest to kwesta miar czasu : na obszarze kilkunastu linii wiersza *dzieje się więcej* niż na takim samym obszarze (przy tej samej ilości słów) prozy. ,,Sen nocy letniej'' przełożony prozą byłby wielokrotnie krótszy, w tym sensie że ucho nie napotkałoby urzekającego oporu, który nadaje wagę akcji, dość błahej. Również każde ujęcie utworowi dźwięku w przekładzie wierszowanym skraca go, popycha ku ,,wątkowi dramatycznemu''. Oberon powiada (,,Sen'', akt III, scena 2):

But we are spirits of another sort.
I with the morning's love have oft made sport ;
And, like a forester, the groves may tread,
Even till the eastern gate, all fiery red,
Opening on Neptune with fair blessed beams,
Turns into yellow gold his salt green streams.

Gałczyński :

Lecz myśmy duchy innego rodzaju.
Ja często z Zorzy poluję kochankiem
I jako leśnik wśród tych gajów krążę,
Choć brama wschodu cała już czerwona,
Otwarta w morze, swymi promieniami
Słoną zieloność przetapia na złoto.

,,Słoną zieloność przetapia na złoto'' jest tak piękne, że domaga się oprawy która by trzymała mocno tę linię (bywa oczywiście i rytm natrętny, zabijający obrazy, nie takiego tutaj bronię).

Gałczyński czuje się najlepiej w scenach krotochwilnych, a więc np. tam gdzie rzemieślnicy ateńscy wystawiają dramat o Pyramie i Tyzbe. Wiersze przez nich mówione odpowiadają poecie, który lubował się we wszelkim ,,na niby'' :

A ty, o ściano, o ściano najsłodsza,
Ty, co rodziców naszych dzielisz domy,
O ściano, ściano, o ściano najdroższa,
Niech w twojej szparce utkwię wzrok łakomy.

(Ściana rozwiera palce)

Dziękuję, dobra ściano. Jowisz zapłać.
Lecz gdzież jest Tyzbe? Nie widzę mej pani.
Ściano szkaradna! O serce me, zapłacz!
Przeklęta cegła, co mnie tak cygani!

Na chwałę Gałczyńskiego trzeba zapisać niektóre piosenki, jak na przykład ta :

Kos, co chodzi w czarnej barwie
I dziób mu złoty wisi,
Drozd, co dzwoni jak na harfie
I królik zwany mysim —

Zięba, wróbel i skowronek
I kukułki tony,
Które mówią, ile razy
Został kto zdradzony.

Najdoskonalszy nawet przekład bywa zwykle atakowany w imię doskonałości nigdy nieosiągalnej. Byłoby mi przykro gdyby zrozumiano moje uwagi jako czepianie się nieżyjącego Gałczyńskiego. Dyskusja o Szekspirze po polsku musi się jednak zaczynać nie od krytyki prac przekładowych wyraźnie wadliwych, ale tych które zasługują na szczery szacunek. Tylko w ten

sposób można uświadomić sobie granice polszczyzny i próbować te granice rozszerzyć.

Niebezpieczeństwo pochodzące z nastrojenia ucha zanadto na tonację języka obcego jest rzeczywiste i doświadczyli tego na sobie np. tłumacze Edgara Poe czy Coleridge'a. Wystrzegając się ich błędów wpada się nieraz w inną skrajność. Antynowatorska atmosfera w Polsce przyzwyczaja do czesania poezji. Wspomniałem o Pasternaku dlatego, że w podobnej atmosferze umiał iść pod prąd, a jego eksperymenty z akcentami są podszewką prostej, zdawałoby się (tak że inną trudno sobie wyobrazić), tkaniny wiersza.

KSIĄŻKA WAŻYKA

Najpierw była „awangarda", później, po wielu, wielu latach, bardzo burzliwych, niektórzy awangardziści poezji obrośli w profesorską powagę i zaczęli mówić o tradycji. Do nich należy Adam Ważyk (*). W jednym z numerów „Kultury" Jan Brzękowski zarzucił mi, że nie doceniam roli Awangardy w historii poezji lat 1918-1939. Tak bynajmniej nie jest. Trudno jednak upierać się, żeby na zjawiska należące do historii literatury patrzeć ciągle jakby czas nie zmieniał perspektywy. Dawne spory i przeciwieństwa ukazują się w innym świetle, okres międzywojenny kurczy się i utwory wtedy napisane zestawiamy już z utworami Kniaźnina czy Brodzińskiego. Przesunął się punkt zainteresowań. Ewolucja Ważyka ilustruje te przemiany, które trzeba stwierdzić, zostawiając na boku kwestię czy wyjdą one poezji na dobre.

Do Ważyka miałem zawsze dużo sympatii, dlatego że kocha literaturę, a ludzi kochających ją aktywnie jest niewielu (mówię o nim jako człowieku, nie jako redaktorze). W wileńskich latach szczenięcych byłem zażartym zwolennikiem jego wierszy i przekładów z Apollinaire'a. Przyciągało mnie jego eksperymentowanie rytmem zmiennym. Wśród nowatorów ówczesnych można by było wydzielić kilka grup, przede wszystkim tych co walczyli o metaforę i tych, którzy usiłowali przełamać kanon wiersza „melodyjnego" nie przez „wstyd dźwięku" jak niekiedy ci pierwsi, ale przez próby wzbogacenia i urozmaicenia (byli mi oni zawsze bliżsi). I pomimo wszystko w Ważyku dzisiejszym, wkładającym sobie profesorską perukę, odnajduję dawnego Ważyka o uchu muzycznym.

Nieduża książka jest nabita treścią, owiniętą w gazetę. Nieszczęsny problem „języka narodowego" jest zarażony dziennikarstwem i należy do tej samej sfery co fotografie polityków całujących dzieci. W bardziej normalnych i zdrowych warunkach książka Ważyka nosiłaby tytuł „Mickiewicz i wersyfikacja pol-

(*) Adam Ważyk. *Mickiewicz i wersyfikacja narodowa*. Wyd. II., rozszerzone i zmienione. „Czytelnik", Warszawa, 1954.

ska''. Przechodząc do meritum, należy od razu postawić zarzut techniczny. Teren wersyfikacji jest ciągle nieprzetrzebiony, to znaczy ciągle ktoś przychodzi, trzebi, wytycza ścieżki, a te szybko zarastają. Mówić o tym przedmiocie, to walczyć przede wszystkim o jednoznaczne terminy. Otóż Ważyk wprowadza mnóstwo terminów i operuje nimi nie troszcząc się o czytelnika, nie dbając o klarowność wykładu którą łatwo byłoby osiągnąć. Prace takich jak Ważyk badaczy dawnej poezji przypominają zajęcie polegające na piłowaniu gałęzi, na której się siedzi. Podkreślając swoistość, niezależność polskiej poezji, doszukując się ,,form narodowych'', dając miłe uczucie głaskania się po brzuchu czytelnikowi, przyczyniają się do ustalenia się klimatu w którym tylko monotonia popłaca. Ważyk np. zbyt dobrze wie co sam zawdzięcza Apollinaire'owi-Kostrowickiemu, żeby zapominał że bajki Krasickiego powtarzają formę La Fontaine'a (tymi bajkami, cokolwiek kto powie, nie umiem się zachwycać). Jeżeli już nie można uniknąć przedstawiania rozwoju wersyfikacji polskiej jako wyniku procesów odbywających się w zakorkowanej butelce, to przynajmniej należy dążyć do jasności, tak aby publiczność połknęła słuszne wnioski szczegółowe, a nie tylko uproszczoną tezę : ,,piszmy językiem Trembeckiego i Mickiewicza''.

Obecnie w Polsce sporządza się wielką inwentaryzację dziedzictwa i praca Ważyka należy do tej kategorii co np. piękny album Wita Stwosza, na którym po raz pierwszy zobaczono co posiada Kraków. Po długim okresie małpowania, kiedy każdy drugorzędny pisarz francuski uchodził za lepszego niż pierwszorzędny polski, taka kuracja nie jest bez pożytku, byle nie prowadziła do samodurstwa. Że linia partyjna daje tu okazję do kompensacji (patrz folklor) i że wszelki ,,język narodowy'', czy w poezji czy w malarstwie, przenoszony jest w przeszłość, to chyba niewątpliwe. Przy odrobinie wolności, gdyby wyobrazić sobie że np. mogą powstawać grupy poetów czy malarzy propagujących jakąś nową sztukę według ich widzimisię, albo działają teatry o równym napędzie inwencji co teatr Schillera przed wojną, wsparcie o odgrzebywaną teraz tradycję uchroniłoby jednak od wielu bezpłodnych pomysłów.

Z Mickiewicza wyciągają dziś skarby nie profesorowie a poeci. I każdy stosownie do swoich zamiłowań. Przyboś — obrazy i metafory, Ważyk — bogactwo modulacji : ,,doświadczenie wersyfikacyjne Mickiewicza — przy bliższym wejrzeniu — zdumiewa swoją metodycznością i konsekwencją''. ,,Krok zmienny'', ,,arytmie'', przesunięcia średniówki, przerzutnie, wiersz wolny oparty na tonice, wiersz sylabiczny ze stałymi akcentami — to dziedzina badań Ważyka, który o tyle lepiej jest przygotowany niż jego pracowitszy poprzednik Franciszek Siedlecki, że ma za sobą praktykę poety i tłumacza. ,,Dobrą szkołę'' Mickiewicza, jego oczytanie w poetach staropolskich, podkreślano nieraz, Ważyk stara się wyjaśnić na czym polegał ,,krok czarnoleski'', technika poetów Oświecenia : Trembeckiego, Krasickiego, ogranicze-

nia wprowadzone przez prawodawców ,,salonu warszawskiego'' i przedstawić powrót Mickiewicza ku staropolskim i stanisławowskim wzorom. Biedni pseudoklasycy nie mają szczęścia : dostają w skórę zawsze, zmieniają się tylko powody. Rzeczywisty nurt wiersza w polskim języku przebiega według Ważyka tak : Kochanowski — Szymonowicz — Trembecki — Mickiewicz; i Krasicki — Słowacki. Potem dekadencja wiersza polskiego i wypada zapytać kiedy i czy ta dekadencja się kończy. (,,Poetyka pozytywistyczna obniżyła kulturę wiersza, rozmieniła ją na złudne bogactwo drobnych form. Poetyka młodopolska, goniąc za jeszcze większym bogactwem, doprowadziła ją do zwyrodnienia''.)

Mapa tak narysowana streszcza sądy uznane mniej więcej powszechnie (Norwida trudno wtłoczyć w system); fach badaczy techniki jest niewdzięczny, bo próbują wykazać że smaczna potrawa smakuje. Spostrzeżenia Ważyka trzeba też wyławiać spośród pewnych obowiązujących dzisiaj bojowych haseł. Przymiotnik ,,realistyczny'' używany jest u niego jako niemal równoznaczny z przymiotnikiem dobry. Mickiewicz jest realistyczny dlatego że dobry, dobry dlatego że realistyczny. To słowo, zajeżdżane dzisiaj doszczętnie, podzieli chyba los określeń ,,przepastny'', ,,dogłębny'', bo jest zbyt wygodne. Prowadzi ciągle do nadużyć, właśnie dlatego że w sensie wąskim nie jest synonimem doskonałości, rozszerza się więc jego treść, aż obejmuje wszystko co kto chce, stosownie do koniunktury. Wyraża jednak pewną tendencję dla której nie został zbudowany bardziej dokładny aparat słowny.

Mniejsza zresztą o tę powłokę (czy napęd do badań). Ważyk zdaje się mówić tak mniej więcej : ,,Skarżycie się że w stylu wracamy wstecz, ku formom tradycyjnym, ale nie wiecie że wszelka awangarda jest w Mickiewiczu, bo nie umiecie go czytać. Wasi profesorowie starali się złagodzić świadome chropowatości ucznia Trembeckiego, np. w ,,Panu Tadeuszu'' zastanawiali się nad ,,niedociągnięciami'' przed średniówką, przypisując je ówczesnej wymowie. To nie wymowa. Mickiewicz tak chciał. I pora pozbyć się nałogów, w jakie wtrąciła nas ,,melodyjność'' praktyki ostatnich stu lat. Mickiewicz to rewolucja w wersyfikacji, zupełnie zaprzepaszczona''.

Najcenniejsze jest u Ważyka to kierowanie uwagi na rzeczy zbyt bliskie i dlatego niedostrzegane. Co do poszczególnych wniosków, można się spierać. Gorliwa miłość do tradycji przyszła u literatów warszawskich dość późno i nie zawsze, myślę, może ona wyrównać ich braki w wyczuwaniu epok i obszarów odległych. Dyrektor Instytutu Badań Literackich, Żółkiewski, w swojej książce ,,Spór o Mickiewicza'', zdaje się nie wiedzieć, że słowo ,,Kalwin'' w ustach Filomatów nie oznacza wcale Kalwina z Genewy, tylko kalwinistę. Ten jeden przykład mówi wiele. Punkty sporne u Ważyka mogą wynikać z tych samych niedostatków. Jest to jednak ciekawa książka. (Mickiewicz zresztą, z wielu przyczyn, stał się dziś w Polsce autorem bardziej współczesnym).

Powiedziałem, że podcina się gałąź, na której się siedzi. Ważyk pisze dla tych, którzy wiedzą mniej niż on. W swoich warstwach przesłoniętych jego książka jest obroną jego własnej poetyki, podbudową teoretyczną ex-post dla jego własnej twórczości. Czy przyczyni się jednak, jak chciałby, do walki z lęjącymi się jak woda tasiemcami zyskującymi urzędowe błogosławieństwo? Pasja Ważyka pochodzi stąd, że świadomy jest kontekstu przesłoniętego mgłą w umysłach młodych. Tej pasji ludzie wychowani na lękliwości formalnej muszą być pozbawieni. W malarstwie abstrakcjonista ,,nawracający się'' na Chardin'a widzi w nim więcej niż pacykarz całe życie malujący złe obrazy z natury.

Zacząłem od ,,awangardy'' — do dyskusji i o tej sprzed wojny i o wszelkiej innej należy włączyć książkę Ważyka i studia Przybosia o Mickiewiczu. To może dać nowy wymiar. Wtedy zagadnienie okresów uwiądu wiersza i powrotów do zdrowia zyska na wyrazistości.

PRZEKŁAD Z ELIOTA

Brak angielskiego oryginału pod ręką uniemożliwia mi napisanie recenzji z niezwykle starannie wydanej książeczki (*), której ,,tekst złożyła ręcznie antykwą Adama Półtawskiego 8 pkt. Krystyna Bednarczykowa w Tunbridge Wells, Kent, w Anglii. Skład złamał i tłoczył ręcznie na prasie Oficyny Poetów i Malarzy Czesław Bednarczyk. Odbito 255 egzemplarzy numerowanych na papierze Chantry Toned Antique Laid.'' Okładkę projektował Feliks Topolski.

Nie ma nic bardziej demoralizującego niż brak uszanowania dla pracy, dlatego odnotowuję na razie sam fakt ukazania się tego przekładu. Trud Zofii Ilińskiej i trojga ludzi którzy stworzyli razem książkę, najzupełniej bezinteresowny, zasługuje na coś więcej niż wzmiankę w dziale bibliografii.

Wkład emigracji w dzieło przyswajania literatur obcych jest bardzo skromny. Lata 1939-1954 przyniosły znikomą ilość pozycji. Dla kogoś kto zna ,,kompleks zamknięcia'' gnębiący od 1939 roku ludzi w kraju i ich łapczywe rzucanie się na ,,inne'', obojętność tych co znaleźli się zagranicą jest zastanawiająca. Można by przytoczyć szereg przyczyn, do objawów raczej niż przyczyn będzie należeć brak zrozumienia dla wagi prac naukowych i literackich usuwanych w cień przez tzw. politykę. Nie instytuty naukowe, nie katedry, nie domy wydawnicze stały się ośrodkiem zainteresowań i nie na to szły pieniądze. Znanym objawem jest też obrzydzenie do krajów zamieszkania, jakie często obserwuje się u emigrantów; sprzyja ono raczej hodowli wspom-

(*) T. S. Eliot. *Zabójstwo w katedrze*. Tłumaczyła Zofia Ilińska. Oficyna Poetów i Malarzy na Emigracji, w Anglii, 1954.

nień, niż zajęciu się literaturą angielską, francuską czy amerykańską.

Środowiska „Polaków londyńskich" nie znam, wiem tylko, że wyrosło tam młode pokolenie, które przeszło przez szkoły angielskie i ze starszym nie znajduje już często wspólnego języka, nawet jeżeli jeszcze mówi po polsku. Są w nim literackie talenty. To pokolenie mogłoby odegrać dużą rolę służąc jako łącznik między cywilizacją anglo-saską i środkowo-europejską. Możliwe, że przeszkody po temu są zbyt duże. Mowa jest żywym organizmem który chudnie jeżeli go nie odżywiać codziennie. Poza tym, żeby ślęczeć nad przekładem, trzeba mieć wizję, chociażby odległego, pożytku jaki z tego wyniknie, ostatecznie pisarstwo jest ściśle złączone ze sprawą uznania, tam gdzie tej nadziei brak, wiele pomysłów zostaje na zawsze tylko marzeniem. Grupy pracujące zespołowo, dyskutujące indywidualne wyniki, mogłyby być tutaj środkiem zaradczym, usuwającym samotność, a więc bezpłodność. Wyznaczenie nagród za najlepsze przekłady klasyków obcych na polski, czy klasyków polskich na inny język, również by pomogło. Są to, oczywiście z mojej strony, tylko fantazje, jednakże tomiki wierszy, wydawane przez młodych poetów w Londynie, fantazją nie są, a w równie niepomyślnych okolicznościach przekłady wydają się być czymś bardziej konkretnym niż wiersze, dlatego że wiele uczą, dlatego że dostarczają tematu do dyskusji jako możliwe do skontrolowania. Jakaś „biblioteka przekładów" miałaby pełne uzasadnienie, bo znajomość angielskiego, nie mówiąc o hiszpańskim, portugalskim czy językach Indii, jest w Polsce trudna do osiągnięcia.

Tyle rozważań wstępnych — obiecuję sobie do omówienia pracy Ilińskiej wrócić.

POETA POLSKO-FRANCUSKI

Marian Pankowski, osiadły w Belgii, wydał już drugi tomik wierszy w języku francuskim (*). Tego rodzaju dwujęzyczność poety zdarza się rzadko, bo wymaga i szczególnego daru wczucia się w język nabyty i dyscypliny. Być może poezja w ogóle potrzebuje filtrów, bez nich dziczeje w nadmiarze wolności, która zmienia się szybko w anarchię. Filtry mogą być różnych rodzajów: ustalone wzory wersyfikacyjne, w których autor musi się pomieścić, odświeżając je na swój użytek (nie bez pewnej słuszności przeciwnicy „awangardy" mówili o roli rymu); zasada, droga pewnym nowatorom, wyłączająca z poezji wszystko co nie jest obrazem; nawet (co też się zdarza) konieczność obchodzenia zakazów cenzury. Za filtr może też służyć język obcy, którego prawidła zmuszają do ciągłej czujności. Pewne temperamenty odczuwałyby taki przymus jako nieznośny, ale Pankowskiemu zdaje się służy.

(*) Marian Pankowski. *Poignée du présent*. Ed. Caractères, Paris, 1954.

W tym zwrocie do francuskiego kryje się może i coś więcej. Jest to instrument już nastrojony i słowo nie rozpętuje tutaj zamętu skojarzeń, wynikających i z sytuacji ,,ja i Polska'' i z istoty przejściowego dla poezji polskiej okresu, pomiędzy czymś i czymś. Pankowski jest poetą radosnym, chce nazwać rzeczy, które go cieszą a francuski podszeptuje mu wyrazy czułe dla ziemi, winnic, nieba i oczu ludzkich.

W poprzednim swoim zbiorze (*) powiada że widział ,,księży, rabinów, pułkowników bijących się o łyżkę zupy'', że współwięźniowie chowali pieniądze i klejnoty znalezione na umarłych. Ale to minione : ,,Je mange le pain. Je caresse la fontaine''. Tylko w głębi pamięci został ,,un paon givré de cendres''. Straszliwy temat homerycki naszych czasów, martyrologia Żydów : ,,Biję się w pierś./ Z drugiej strony milczenia/ Homer o siedmiu milionach ust/ zaczyna epopeję.'' Reszta wierszy pochwala święto pięciu zmysłów, szczęście ocalonych, szczęście przebywania wśród żywych :

Que l'air est immense et franc
Que les lumières sont mûres à l'heure du couchant.

Gwiazdy nad głową :

J'aime ce néant qui vient de si loin.

W miasteczku Binche karnawał :

Donne ta main — et courrons
lève la tête — et buvons
la joie de ce jour spacieux.
— — — — — —
Terre vallonnée,
ouvre tes plaines
aux paons blancs
couronnées
d'écumeuses fontaines.

Rysując portret kobiety, Pankowski powie :

Eternelle,
cernée d'un corps.

Co jest nieprzetłumaczalne na polski.

Zakończenie wiersza ma u niego wielką prostotę :

Comment terminer ce poème :
tout est si beau
et tu souris toujours.

(*) Marian Pankowski. *Couleur du jeune mélèze.* La Maison du Poète. Bruxelles, 1951.

Spostrzegłem się, że zamiast omawiać nowe wiersze zatrzymuję się przy dawnych — to dlatego że cytaty sprawiają mi przyjemność. Przystąpmy do pewnych rozróżnień. Nie wszystko u Pankowskiego jest równie proste jak to co przytoczyłem i zawęźlenia wzmacniają się w drugim zbiorze. Otóż w nowoczesnej poezji ,,złożoność'' obrazów spełnia nieraz to samo zadanie co gąszcz leśny, otwierający się w polanę. Tą polaną byłyby elementarne połączenia wyrazów czerpiące swoją siłę ze stałości odzewu ludzkiego na światło, ogień, chleb, słońce, zieleń; z okrzyku dziecka wobec rzeczy widzianych pierwszy raz. Jak ten okrzyk wzmocnić, jak ciągle nadawać mu świeżość, żeby nie bladł na papierze, to problem. Gąszcz leśny w nowoczesnej poezji jest pożyteczny, bo bez niego polany by nie było, zdarza się jednak, że czytelnik poetów francuskich nie jest mu chętny. Metafora (zresztą nie uważam jej za konieczny składnik poezji) podbija moją czytelniczą uwagę tylko jeżeli naładowana jest czymś językowo elementarnym i odstręcza mnie od wielu Francuzów ich taka obrotność że nie ma już, zdaje się, słów, których nie umieliby sprząc w metaforę.

Pankowski zdobywa coraz większą władzę nad francuszczyzną. Jest zdolny do pisania wierszy coraz bardziej muskularnych. Równocześnie zwiększa ryzyko. Pomijając parę metafor wyraźnie błędnych, przytoczę te które są użyte wbrew ,,elementarności'', a więc stanowią ,,gąszcz'' (jak z tym gąszczem postępować, nie ma recepty): ,,Tes doigts peignent mon sang cavalier qui t'explore''; ,,une gerbe de ton rire soudain''; ,,corps blanc que le vent ramifie au gré des courbes des années''; ,,notre souffle abrite tant de milliers d'alouettes''; ,,dans la nuit ferme, aux dimensions de l'angoisse''; ,,il... invente les cicatrices contre toute évidence''.

Podobne spłacanie długu stylowi poezji francuskiej nie wydaje mi się absolutnie konieczne. Co nie znaczy, że lepiej jest wyrzec się całkowicie gąszczu i z lęku przed kondensacją (formalizmem) wpaść w płaskość, jak się to dzieje w poezji krajowej. Może Pankowski jest powołany do stworzenia szczególnego stopu wrażliwości bardzo polskiej (a poezja każdego narodu ma wrażliwość inną) z duchem nabytego języka. Wejdźmy na jego polanę.

Kobieta leżąca w słońcu na nadmorskiej plaży:

Elle dort
Sur le toit brun des royaumes.

Pejzaż cywilizacji technicznej:

Lande morne de ce monde,
Il a neigé de lourds métaux.

Jesień :

Les hérissons braconnent
Sur le jour aux joues de cheval.

O oczach córki :

Seul, dans tes yeux, un choucas gris-bleu
Lisse la couleur de ses plumes premières.

I ten krzyk protestu przeciwko mocom piekieł :

Nos cerfs-volants ne sont pas noirs,
Les pommes du mois d'août ne sont pas noires.

Pankowski wzbogacił swoją ,,dykcję'' tzn. kiedy zwraca się do kogoś, głos jego rozporządza większą skalą. Problem jego w przyszłości to chyba poszukiwanie równowagi pomiędzy gąszczem i polaną a równocześnie pomiędzy dykcją i obrazem — są to na ogół przeciwieństwa, ale możliwe do przezwyciężenia. Najpiękniejszy chyba wiersz w zbiorze to ,,Polski grudzień''. Nie znam utworu, napisanego w ostatnich latach po polsku, który by tak chwytał samą esencję podgórskiego krajobrazu (Pankowski pochodzi z Podhala). Oto otwarcie, ruch smyczków po których poznaje się, że wszystko co nastąpi będzie dobre. Spróbujmy to przełożyć :

Czarny narciarz zjeżdża
po ściernisku zimy ;
topnieją listki piołunu
w wódce przezroczystej.

Pankowski przygotowuje do druku antologię poezji polskiej w swoim tłumaczeniu od wieku XV do czasów najnowszych. Stanowi przykład człowieka biorącego pełną garścią z Europy Zachodniej, życzliwego ziemi belgijskiej, na której się znalazł, a zarazem nie chorującego na żaden wstyd swojej polskości. Niewątpliwie dary zdrowego sensu i talentu są jednak coś warte, bo uczą żyć.

PISARZE POLITYCZNI

Z okazji jednego zdania, nie książki, pojawia się pewien problem. To zdanie znalazłem w ,,Kulturze'', w artykule Regameya o Panufniku, a brzmi ono : ,,Miłosz w chwili obecnej stał się wyraźnie pisarzem politycznym''. Określenie jest niejasne. Żadna wyraźna granica nie dzieli ,,politycznego'' pisania od ,,niepolitycznego'' i najbardziej z pozoru oderwane od rzeczywistości słowa mają, czy mogą mieć wpływ na ludzkie czyny. Szukając

przykładów w przeszłości odkryje się ów ,,wydźwięk'' i u Horacego (Engels nazywał go ,,starym łajdakiem jednakże bardzo miłym'') i u Cervantesa i u Rabelego, nie mówiąc o Balzaku, którego dzieło trwalej zaznaczyło się w historii Europy niż zwycięstwa i klęski Napoleona. W tym sensie teza zwolenników realizmu socjalistycznego stwierdzająca że innej literatury niż polityczna nie ma, jest słuszna. Inna sprawa jednak, jeżeli spróbować pojęcie nieco zwęzić. Wydaje mi się, że można rozpoznać pisarstwo polityczne po tym, że stawia ono wprost pytanie: ,,Co robić?'' i stara się na to pytanie odpowiedzieć.

Co robić, a więc jakie cele zbiorowego działania wskazywać ludziom i jakie środki akcji. Tzw. twórca czy artysta odznacza się niechęcią do tak sformułowanego pytania, co nie znaczy że nie doznaje zwykłych u zdrowego człowieka pokus udziału w praktyce życia. Dla niego jednak, wie to, szkodliwe są zbyt jasne, zbyt logiczne kształty jakie musi przybierać akcja (którą dzieło, jeżeli jest wartościowe, zawsze wyprzedza). Pytanie ,,co robić?'' nie zostaje wprost odrzucone, ale przekształca się w inne: ,,co ja mam robić?'', zakładając że ktoś rozporządza jemu tylko właściwymi możliwościami.

Niewątpliwie dla autora polskiego poza granicami kraju ten problem jest dotkliwy. Ponieważ opór tego co realne, a więc narzucające dyscyplinę specjalizacji, jest bardzo mały, rodzi się skłonność do tzw. idej, do rozstrzygania światowych problemów jednym pociągnięciem pióra, przeprowadzania nowych podziałów świata, czyli do zajęć które z dawien dawna nęciły bywalców kawiarni. W tej sytuacji im więcej autorów polskich ustrzeże się budowania posągów z mgły, tym lepiej i dla nich i dla celów którym chcieliby służyć.

Pomimo przedziałów i chińskich murów istnieje głęboki związek pomiędzy literaturą i sztuką krajów dzisiejszego Wschodu z jednej strony, literaturą i sztuką tworzoną przez ludzi z tych krajów którzy znaleźli się na Zachodzie, z drugiej. Związek ten jest trudny do określenia, natury dialektycznej, jest w nim przepieranie się przeciwieństw. Igor Strawiński przebywa w świadomości ludzi muzycznie wykształconych w Rosji, podobnie jak w Polsce nie zostaje zapomniany Gombrowicz. Całe zagadnienie, to w jakich pokładach zawiązuje się ten węzeł, przez ile powierzchni trzeba sięgnąć, żeby metody indywidualne stały się skuteczne.

Droga ,,jednotorowców'' w literaturze ma wszelkie wady, bo zbliża się nadto do polityczności sensu stricto i prowadzi do muru w który tłuką łbem z rozpaczą. Żeby jej uniknąć, warto poświęcić sporo z doraźnego uznania jakim cieszą się jednoocy wśród ślepych. Kształty przyszłości nie rysują się wyraźnie ani dla ludzi w Polsce ani dla tych co są poza jej granicami i tylko forma może pozwolić na uchwycenie słabego zarysu. Dobry utwór muzyczny czy dobra książka wytwarzają napięcia, z tych napięć rodzi się iskra która przelatuje ponad lądem, wodą i granicą. To, że omawiany przeze mnie Pankowski pisze wier-

sze, jest ważne. Takie stwierdzenie nie oznacza wcale że podnoszę oczy do nieba i zanurzam się w błogiej apolityczności estetyzmu. Połączenie dwóch słów czy dwóch dźwięków — takie czy inne — jest też aktem kształtującym życie zbiorowe. Oto dlaczego ktoś nazwany ,,pisarzem wyraźnie politycznym'' odczuwa lekki niepokój i myśli że albo sam jest winien, bo źle wywiązał się ze swych obowiązków, albo że tematy które poruszał, nie ich ujęcie, zdecydowały o takim epitecie.

Czesław MIŁOSZ

Fragmenty z dziennika

Czwartek.

Ten Portugalczyk, narzeczony Dedé, zapytał w pewnej chwili skąd się bierze we mnie tyle pogardy dla kobiet i zaraz wszyscy go poparli.

Pogarda? Ależ skąd! Uwielbiam raczej... Choć co prawda dotychczas nie umiałem odkryć czym jest ona dla mnie w porządku duchowym, wrogiem czy sprzymierzeńcem? A to oznacza, że połowa ludzkości mi się wymyka.

Ta łatwość pomijania kobiety! One jak gdyby nie istniały! Widzę naokoło mnóstwo ludzi w spódnicach, z długimi włosami, o cienkim głosie, a mimo to używam słowa „człowiek" jak gdyby ono nie było rozłamane na mężczyznę i kobietę, a także w innych słowach nie dostrzegam rozdwojenia, które wprowadza w nie płeć.

Odpowiedziałem Portugalczykowi, iż jeśli w ogóle może być mowa o mojej pogardzie, to tylko na gruncie artystycznym... tak, jeśli zdarza mi się nimi gardzić to ponieważ są złe, fatalne, jako kapłanki piękności, objawicielki młodości. Tutaj złość moja wzbiera, w tym nie tylko drażnią ale i oburzają mnie te złe artystki. Artystki, tak, bo czar jest ich powołaniem, estetyka ich zawodem, urodziły się aby zachwycać, są niejako sztuką. Ale cóż za partactwo! Cóż za oszustwo! Biedna piękności! I biedna młodości! Wy znalazłyście się w kobiecie po to aby szczeznąć, ona w gruncie rzeczy jest pośpieszną waszą niszczycielką, patrz, ta dziewczyna jest młoda i piękna w tym celu jedynie aby stać się matką! Czyż piękność, czyż młodość nie powinny być czymś bezinteresownym, nie służącym niczemu, wspaniałym darem natury, ukoronowaniem?... Ale w kobiecie ten czar służy do płodzenia, on podszyty jest ciążą, pieluszkami, jego najwyższe urzeczywistnienie pociąga za sobą dziecko i to oznacza koniec poematu. Chłopiec zaledwie dotknie się dziewczyny, oczarowany nią i sobą z nią, już staje się ojcem, ona — matką — a więc dziew-

czyna to twór, który niby to praktykuje młodość a właściwie służy do likwidowania młodości.

My, śmiertelni, którzy nie możemy pogodzić się ze śmiercią i z tym aby młodość i piękność miały być tylko pochodnią, przekazywaną z ręki do ręki, nie przestaniemy buntować się przeciw tej brutalnej perfidii natury. Lecz tu nie idzie o jałowe protesty. Idzie o to, iż ten morderczy stosunek kobiety do własnego dziewczęcego wdzięku ujawnia się co chwila i stąd pochodzi ta jej właściwość, iż ona nie czuje naprawdę młodości i piękności — czuje je mniej od mężczyzny. Patrzcie na to dziewczę ! Jakże romantyczne... ale ten romantyzm skończy się kontraktem przy ołtarzu z tym oto grubawym adwokatem, ta poezja musi zostać zalegalizowana, ta miłość zacznie funkcjonować za pozwoleniem władzy duchownej i świeckiej. Jakże estetyczna... ale nie ma łyska, ani brzuchacza, ani suchotnika, który by był dla niej dość odrażający, ona bez trudności odda swą piękność brzydocie i oto widzimy ją triumfującą u boku potwora, lub co gorsza u boku jednego z tych mężczyzn, będących wcieleniem drobnej obrzydliwości. To piękność która się nie brzydzi ! Piękna, ale nie posiada wyczucia piękności. I łatwość, z jaką myli się smak kobiety i jej intuicja w wyborze mężczyzny, sprawia wrażenie jakiejś niepojętej ślepoty i, zarazem, głupoty — ona zakocha się w mężczyźnie dlatego że taki dystyngowany, albo taki ,,subtelny'', drugorzędne wartości socjalne, towarzyskie będą dla niej ważniejsze od apolińskich kształtów ciała, ducha, tak, ona skarpetkę kocha a nie łydkę, wąsik a nie twarz, krój marynarki nie zaś klatkę piersiową. Odurzy ją brudny liryzm grafomana, zachwyci tani patos głupca, uwiedzie szyk wykwintnisia, nie umie demaskować, daje się nabierać ponieważ sama nabiera. I zakocha się tylko w mężczyźnie ze swojej ,,sfery'', albowiem nie wyczuwa naturalnej piękności rodzaju ludzkiego a tylko tę wtórną, będącą tworem środowiska — ach, te wielbicielki majorów, służebnice generałów, wyznawczynie kupców, hrabiów, doktorów. Kobieto! Jesteś antypoezją wcieloną !

Ale ona na własnej piękności zna się tyleż, co na męskiej — i w tym jest równie, a może bardziej jeszcze nieudolna. Gdyby te grafomanki, te złe malarki własnej krasy, nieudolne rzeźbiarki swojego kształtu, wiedziały coś niecoś o prawidłach rządzących pięknością, przenigdy nie wyrabiałyby z sobą tego co wyrabiają. Prawa, o których mówię, znane każdemu artyście, głoszą:

1. Artysta nie powinien pchać ludziom swego dzieła przed nos, krzycząc : — To jest piękne ! Zachwycajcie się tym, bo jest zachwycające. Piękność w dziele sztuki winna objawiać się jakby od niechcenia, na marginesie innego dążenia — dyskretna i nienahalna.

(Ale ona natrętnie częstuje swoją urodą, godzinami udoskanalaną przed lustrem. Nie wie, co to dyskrecja. Zdradza się co chwila w swojej żądzy podobania się — więc nie jest królową,

ale niewolnicą. I zamiast objawiać się jak bogini, godna pożądania, objawia się jak straszliwa niezdarność usiłująca zdobyć niedostępną urodę. Gdy młodzieniec gra w piłkę dla przyjemności, zdarza mu się, że jest piękny; ona gra w piłkę ażeby być piękna; więc gra źle ale, poza tym, ta piękność zalatuje siódmym potem, jest tak wymęczona ! Ale nie koniec na tym — bo ona, mizdrząc się do szaleństwa, zawsze, wszędzie, przybiera jednocześnie minę jakby mężczyzna nic ją nie obchodził. I mówi: — ach, ja tylko tak dla estetyki ! Któż uwierzy kłamstwu zbyt jawnemu ?)

2. Piękność nie może opierać się na oszustwie.

(Pragnie abyśmy zapomnieli o jej brzydotach. Usiłuje nam wmówić że nie jest kobietą, to jest ciałem, które, jak wszystkie ciała, nigdy nie może być tylko piękne — które jest mieszaniną piękności z brzydotą, grą wieczystą tych dwóch elementów (i w tym piękność innego, wyższego rodzaju). Nikt nie sprawi aby pewne funkcje cielesne nie były nieczystością. Nikt też nie wyzwoli całkowicie ducha z nieczystości. Ale ona chce abyśmy uwierzyli, że jest kwiatem. Stylizuje się na bóstwo, na ,,czystość'', na niewiniątko. W tym absurdalnym wysiłku nie jestże komiczna ? Z góry skazana na niepowodzenie ? Cóż za maskarada ! Mamże uwierzyć że jest bukietem jaśminu dlatego, że się uperfumowała ? Lub, widząc ją na obcasach półmetrowej wysokości, że jest smukła ? Jedyne co widzę, to iż obcasy nie pozwalniają jej ruszać się swobodnie. Tak to piękność ją krępuje, staje się dla niej paraliżem — to straszne skrępowanie kobiety, które objawia się w każdym ruchu, w każdym słowie, ta zmora, że ona nigdy nie może być swobodna z sobą...)

(I w tym szale samiczym zupełnie traci poczucie efektu, oszukuje jawnie, sądząc, że zdoła zarazić nas swoją tchórzliwą i kłamliwą koncepcją ciała (i ducha). Moda ! Jakaż potworność ! To co w Paryżu nazywa się elegancją, te wszystkie linie, sylwetki, profile nie sąż najbardziej niesmaczną z mistyfikacji, polegającą na przestylizowaniu ciała ? Ta przyozdobiła swój przesadny kuper szarfą i myśli, że stała się majestatyczna; tamta udaje panterę, a ta znów usiłuje swoją zwiędłą cerę przerobić na Melancholię przy pomocy skomplikowanego kapelusza. Lecz ten kto ukrywa (nadaremnie) defekt, poddaje się defektowi. Defekt musi być przezwyciężony — przezwyciężony prawdziwą wartością w sensie moralnym lub fizycznym. Potwory, którymi częstują nas paryskie tygodniki mód, owe kreacje Diora, Fatha, z biodrem wystającym, z linią opływową, z zagiętym paluszkiem, zastygłe w idiotycznej ,,dystynkcji'' — toż to z punktu widzenia sztuki szczyt obrzydliwości, tandeta pobudzająca do mdłości, to głupio naiwne i niezdarnie pretensjonalne, to niesmak bardziej wyzywający i ordynarny niż wszystko na co mógłby się zdobyć pijany dorożkarz.)

3. Piękność ma być suwerenna.

(Dziewko, zwykła dziewko od krów, witaj — królowo ! Dlaczego, powiedz, nie ma w tobie śmiertelnego drżenia, że nie zostaniesz *zaakceptowana?* Nie boisz się odepchnięcia. Wiesz, że nie uroda czyni cię pożądaną, ale płeć — wiesz, że mężczyzna będzie zawsze pożądał twojej kobiecości, choćby ona nie była wcale estetyczna. Więc twoja uroda nie jest na usługach twojej płci ; nie lęka się, nie drży, nie wysila i jest spokojna, naturalna, triumfalna... O ! Nienatrętna, nienahalna ! O, dystyngowana !)

Środa.

Śmiertelne są grzechy kobiety ,,z towarzystwa'' w tej jej świątyni — w estetyce — tam właśnie, gdzie ona powinna być u siebie w domu. Pomyśleć, że takie jest natchnienie mężczyzny, że to są nasze dostarczycielki liryzmu, że winem z tej beczki musimy się upijać. Bezkonkurencyjna jest pierwotna piękność kobiety, ta którą przyozdobiła ją natura — nic wspanialszego ani bardziej podniecającego i upajającego, że mężczyzna uzyskał młodszą towarzyszkę, która zarazem jest sługą i panią ; i nic cudowniejszego nad tonację, którą wnosi kobieta, ten śpiew wtórny, będący tajemniczym uzupełnieniem męskości, ujęciem świata w innej skali, osobną niedostępną nam interpretacją... Dlaczego cudowność ta uległa tak okropnej wulgaryzacji ? Lecz trzeba tutaj wprowadzić pewne ważne rozróżnienie : okropna jest kobiecość dzisiejsza, nie kobieta. Nie jest okropna pojedyńcza kobieta, ale ten styl, który między niemi się wytworzył i któremu każda z nich jest poddana. Kto jednak stwarza kobiecość ? Mężczyzna ? Zapewne, mężczyzna jest inicjatorem, lecz potem one już same zaczynają doskonalić się w tym między sobą i ta sztuka uwodzenia i czarowania, podobnie jak wszystkie inne, rośnie i rozwija się mechanicznie — już automatyczna, już tracąca poczucie rzeczywistości i poczucie miary. Dziś kobieta jest bardziej kobietą, niż być powinna ; jest naładowana kobiecością, która jest silniejsza od niej ; jest tworem pewnego konwenansu społecznego, wynikiem pewnej gry która w pewien sposób zestraja mężczyznę i kobietę — aż wreszcie taniec ten, bez przerwy narastając, staje się zabójczy.

Cóż ja mam z tym robić? Jak się zachować? Z łatwością odnajduję kierunek przy pomocy zawsze tej samej busoli. Dystans do formy ! Podobnie jak dążę do ,,rozładowania'' mężczyzny, muszę postarać się o ,,rozładowanie'' kobiety. ,,Rozładowanie'' mężczyzny cóż oznacza ? Wydobyć go spod jarzma tego stylu męskiego, który powstaje wśród mężczyzn jako wzmocnienie męskości, osiągnąć, że poczuje tę męskość jako coś sztucznego, a swoją wobec niej uległość jako słabość, sprawić że będą swobodniejsi w stosunku do Mężczyzny w sobie. Więc tak samo trzeba wydobyć kobietę z kobiety. I tutaj, jak zawsze w całym

pisaniu moim, cel mój — jeden z mych celów — polega na popsuciu gry; albowiem tylko gdy milknie muzyka i rozłamują się pary możliwa jest inwazja rzeczywistości, tylko wówczas staje się nam jawne, że gra nie jest rzeczywistością, lecz grą. Wprowadzić na ten wasz bal gości niezaproszonych; związać was inaczej z sobą; zmusić abyście inaczej siebie wzajem określali; popsuć wam taniec.

Być może, a nawet to jest pewne, moja literatura jest bardziej krańcowa i szalona niż ja. Nie sądzę aby to wynikało z jakiegoś braku kontroli — jest to raczej doprowadzenie do swych ostatecznych konsekwencji formalnych pewnych oczarowań, które wówczas, w książkach, wyolbrzymiają się — ale we mnie pozostają one czym były, to jest tylko nieznacznym odchyleniem wyobraźni, jakąś lekką „inklinacją". Dlaczego, mówiąc bardziej konkretnie, nigdy nie zdobyłem się ani się nie zdobędę na odmalowanie w sztuce zwyczajnej miłości, zwyczajnego czaru, dlaczego ta miłość, ten czar są u mnie strącone w podziemia, zduszone, zdławione, dlaczego w tej rzeczy nie jestem zwyczajny tylko demoniczny (groteskowy demonizm!). Ukazując groźne spięcia niecenzuralnych uroków, wywlekając na światło dzienne liryzm kompromitujący, pragnę was wykoleić — to kamień, który kładę na szynach waszego pociągu. Wydobyć was z układu, w którym się znajdujecie, abyście znów doznali młodości i piękności, ale doznali inaczej...

Niedziela.

U Stanisława Odyńca w Mar del Plata. Wczoraj późnym wieczorem na plaży przed kasynem: wiadomy szmer i plusk. Pierś czarnej wody rosnąca i opadająca. Wytrysk szeleszczącego wachlarza piany aż tutaj, u moich stóp. Tam, na południe, sylwetka domów na wzgórzu, tu, przede mną maszt i chorągiew, a na lewo wyłaniający się i tonący, złamany pal... Zagrzmiało. Wiosna. Sezon rozpocznie się dopiero za dwa miesiące, a teraz nikogo tu nie ma, pusto i cicho, zamknięte okna hoteli wlepione w plażę po której błąka się pies, a wiatr porusza sznury, przeszywa puszki po zeszłorocznych konserwach, kręci jakimś papierem...

Olbrzymia pustka miasta, wypróżnionego z sześciuset tysięcy ludzi, śmierć tych ulic, placów, zakładów, domów, sklepów, zamkniętych, zablokowanych, zakneblowanych nieobecnością ludzką nad oceanem, który odzyskał nietykalność własnego istnienia i jest już tylko dla siebie; i cicho najeżdża piasek wybrzeża... Co to jest? Co się tu dzieje? Coś się dzieje, ale nie wiem co...

Co mianowicie? Idę po plaży granicą owej piany i szukam w sobie właściwego uczucia, czego, czego więc masz doznać na piasku, który znów jest pod twymi nogami, w zapachu rybim i słonym, na od zawsze tym samym wietrze? Czy może

doznać wieczności ? A może umierania ? Lub Boga odkryć w tym? Doznać nicości własnej lub wielkości ? Doznać przestrzeni lub czasu ? Ale nie mogę... coś przeszkadza... ta jedna okropna rzecz... że to już znane, że niejednokrotnie, tysiąckrotnie było powiedziane... i nawet wydrukowane !

A ja muszę być oryginalny !

Więc idę dalej na skraju samym pieniącej się smugi z głową opuszczoną, wpatrzony w piasek, wsłuchany w wieczysty proces, lecz z sercem spętanym — bo muszę być oryginalny, nie wolno mi powtarzać za nikim, a najprawdziwsze uczucie jest mi wzbronione dlatego tylko, że ktoś inny doznał go i wypowiedział. Czekaj, zastanów się... wszak nikt cię tutaj nie widzi, w tych oknach nie ma żywej duszy, na ulicach nic oprócz asfaltu i miasto pozbawione tłumu — dlaczegóż nie masz sobie pozwolić na zwykłą myśl o wieczności, naturze albo o Bogu, dlaczego wysilasz się i gonisz za czymś nowym, nigdy niewidzianym i zdumiewającym... nawet tutaj na wybrzeżu po którym chodzi pies ? Patrzcie : oto przystanąłem w słonej świeżości i ciszy, ogarniam wzrokiem całość tej samotności i waham się... czyby nie oddać się jednej z tych znanych i zwykłych prawd. A teraz uśmiecham się... to dlatego iż (przypomniałem sobie) za tydzień odbędzie się w Klubie Polskim w Buenos Aires dyskusja o moich książkach; i jakbym słyszał te kwaśne ubolewania : że on sili się na oryginalność, że zatracił w sobie prostotę i wymyśla sobie uczucia, a wszystko *pour épater*... Teraz dochodzę do skalistego brzegu, gdzie wytwarza się szum, woda, z dołu godząc w głazy i zręby skalne, wytryska — i jod w powietrzu. I znów to samo wezwanie w niezmiennym falowaniu: bądź zwykły, bądź jak wszyscy, wszak wolno ci, nikogo nie ma, oto chwila abyś doznał czego tu od wieków doznawano...

Ale muszę być oryginalny !

Więc za żadne skarby ! Za nic ! Cóż z tego, że miasto bez ludzi ? Nieobecność ta jest nieprawdziwa, oni są we mnie i za mną, to ogon mój i mój pióropusz, a krzyk ich : bądź nadzwyczajny, bądź nowy, wymyśl, doznaj czegoś jeszcze nieznanego ! Uśmiecham się z pewnym zawstydzeniem i obejrzałem się z lekka naokoło, głowę wtuliłem w ramiona, po czym, w glorii mojego aktorstwa i w nocy nadchodzącej, zwróciłem się twarzą do wód. Tak stałem w całej dumie mojej nieprostoty — jako ten kto jest zmuszany do oryginalności — jako narzędzie okropnego i niepojętego ducha zbiorowego, który, zmagając się z wieczną identycznością oceanu prze ku nieznanym sobie rozwiązaniom — zawsze głodny nowego — z gwałtowną niecierpliwością znudzony tym co już mu jest wiadome — pożądający wszystkiego co poza nim... Stałem, niwecząc w sobie dzisiejsze uczucie na rzecz jutrzejszego, zabijając czas teraźniejszy...

Po czym pustką tych ulic udałem się do domu — ale tak, jak gdyby na mnie spoglądano.

Sobota.

Złość moja na kobiety to ta sama, która każe mi atakować afektowany poemat, wdzięczącą się powieść, wszelką nieudalną sztukę... One mnie drażnią... Styl tej kobiecości jest zły... Ale nie o to przecież chodzi aby podejmować jeszcze raz wieczysty porachunek mężczyzna-kobieta, który rozgrzewał naszych dziadków i babki. Jeśli rozwodzę się nad tym, to z innych względów — aktualnych.

Kobieta jest kluczem do mężczyzny. Klucz ten może otworzyć bardzo wiele, teraz właśnie, w dobie obecnej. I komu? Polakom.

Jeden z wielkich problemów naszej kultury to — przeciwstawienie się Europie. Nie będziemy narodem prawdziwie europejskim póki nie wyodrębnimy się z Europy — gdyż europejskość nie polega na zlaniu się z Europą, lecz na tym aby być jej częścią składową — specyficzną i nie dającą się niczym zastąpić. A także: tylko przeciwstawienie się Europie, która nas stworzyła, może sprawić że staniemy się w końcu kimś... o własnym życiu.

Więc: przeciwstawić kobietę polską kobiecie europejskiej; albo kobietę wschodnio-europejską kobiecie z Zachodu; dojść do tego aby ona stała się odrębnym natchnieniem. Jeśli odmienicie sobie kobietę, odmienicie wszystek smak wasz, wszystkie upodobania, dojdziecie do nowego obyczaju w życiu i w sztuce.

Czy istnieje taka możliwość?

Gdybym jej nie dostrzegał — po cóż ględzić o sprawach nie do urzeczywistnienia? Ale ja uważam, że Polak wbrew stagnacji swojej myśli, tu, na obczyźnie, i wbrew terrorowi który go dławi tam, w ojczyźnie, wbrew pustce, która go tu i tam wysysa, gorączkowo poszukuje siebie. A to oznacza, że znajdujemy się w stadium myśli radykalnej, zasadniczej, nawet karkołomnej i nie ma dla nas zbyt krańcowych decyzji.

Czy możemy zmienić sobie kobietę? Czy kobieta może się nam odmienić?

Nam dotąd kobietę (z grubsza i nieco symbolicznie wyrażając się) narzucał Paryż. Dlatego takie królowanie Paryża w naszej wyobraźni, ten śpiew już obrzydły sarmackich paryżan upojonych szarmem, iskrą elektryczną Ville Lumière. Magia Paryża elektryczno-erotyczna, ale... odwagi, stańcie się antyparyscy, spróbujcie dojrzeć całą tę obrzydliwość erotyczną.

Wsłuchajcie się w język miłosny Francuzów, ten z alkowy. Wzrusza was? Bawi? Rozczula? Czy raczej bylibyście skłonni zwymiotować go, jako jedną z potworności świata, tę miłość w szlafroku, te triumfujące majtki, te burżuazyjne figielki w ekstazie rui? Wsłuchajcie się teraz w ich język miłosny wyższej kategorii. Któryż wolicie? Intelektualno-zmysłowy, będący lubieżnością mądrego łyska, badającego analitycznie własne szały, czy szarmancko-salonowy, który czymże jest jeśli nie podrygiwaniem fraków, tańcem peruk, konfekcją męską i damską w mia-

rę opieprzoną? Brzydota pieśni miłosnej Francuzów w tym, że ona stanowi akceptację brzydoty. Francuz pogodził się z brzydotą cywilizacji, owszem, polubił ją. Dlatego Francuz nie obcuje z kobietą nagą, ale z kobietą ubraną — oraz z kobietą rozebraną. Venus francuska to nie naga dziewczyna, ale Madame z pieprzykiem i *fort distinguée*. Nie zapach ciała podnieca ich, ale perfuma. Uwielbił on wszystkie piękności sztuczne takie, jak *charme*, elegancja, dystankcja, dowcip, strój, *maquillage* — piękności którymi maskuje się dekadencja biologiczna i wiek podeszły — więc piękność francuska jest czterdziestoletnia. I jeśli ta piękność zdobyła świat to dlatego właśnie, że jest rezygnacją — oto coś dostępnego starszym, zamożnym damom tudzież podtatusiałym causerom i bon-vivantom, w tym można wyżyć się na stare lata. Ta piękność zrezygnowana i realistyczna śpiewa: gdy się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma!

Więc piękność francuska, typ francuskiej kobiety i nasze słowiańskie podbiła mecenasowe, tudzież mecenasów naszych. Ale, Słowianie! czyż, pomimo wszystko, wasz liryzm słowiański nie protestował? Wszak żyje w was obsesja innej kobiety-dziewczyny. Wszak jesteście w erotyzmie idealistami. Kobieta snów waszych jest czystsza i prostsza. I czyż nie ten właśnie idealizm erotyczny powoduje waszą nieskuteczność w kulturze, która jest i pozostanie sztuką zaspakajania się namiastkami — tu wszelka kategoryczność smaku nie popłaca. Nie umieliśmy pogodzić się z rzeczywistością, to jest z cywilizacją, to jest z brzydotą i podczas gdy Francuzi sprytnie, inteligentnie, rzeczowo perfumowali, malowali, stroili sobie Francuzki, jakimi obdarzyła ich natura (i nie zaglądając im w zęby), my śniliśmy... o niepokalanej Oleńce, prostej Zosi, naiwnej Baśce... o Iwonce (Germana) i o Dzikusce (Zarzyckiej)... Ale, choć takie były sny nasze, w rzeczywistości naszego życia społecznego, towarzyskiego, erotycznego, naszej mody i obyczaju, tamta francuska piękność zwyciężała. Dlaczego naród Wokulskich nie zdołał przemóc w sobie paryżanki? Ale dlatego właśnie, że ona była bliższa rzeczywistości... nasz ,,typ'' nadawał się do marzenia... ich — do współżycia...

Dziś jednak, za przyczynieniem się wojny i rewolucji, odmieniły się role. Teraz, sądzę, mamy rzeczywistość po naszej stronie, przeciw Paryżowi. Idealizm nasz został zgwałcony. Stratowano nam marzenie. Do diabła! Przez kilka dobrych lat okupacji niemieckiej ręką bez rękawiczki dotykaliście nagiego bytu, zniknął wyściełany materac, który was izolował — to anteuszowe dotknięcie powinno by wypełnić was siłą. A po wojnie nastąpił komunizm, czyli dalsze zaprzeczenie idealizmu i ściągnięcie kobiety z nieba na ziemię, a w każdym razie ze sfery wyższej w niższą, w sferę proletariatu. I to się odnosi tyleż do kobiet w Kraju, ile do tych, które na emigracji pracują jako krawcowe, bony, ekspedientki...

Niejedną z nich znam.

Do czegóż aspiruje w nowej sytuacji ta eks-dama? Ależ do

tego aby ani na moment nie przestać być damą. Chce ubierać się elegancko, choć ta elegancja musi być z konieczności zbiedniała. Chce być modna, choć jej nie stać na ostatnie modele. Kapelusze jej pozostały paryskie, aczkolwiek to Paryż z trzeciej ręki. Jej *genre* wciąż wzdycha do salonu, choć może to być tylko salon zdeklasowany. Jej gusty i estetyka są wciąż jeszcze z tamtej epoki — delikatne. Możesz rozmawiać z nią godzinami i ani byś się domyślił, że coś innego i coś ostrego przeżyła.

Gdybyś była bardziej twórcza, Poleczko... Przynajmniej — bardziej zdecydowana oprzeć się na własnych atutach w rozgrywce ze światem. Nie chcę cię kusić... ale czy nie mogłabyś zbuntować się wewnętrznie przeciw kobiecie, którą jesteś — skoro już nią nie jesteś? Niczego więcej nie wymagam od ciebie — tylko tej iskry buntu, wyzwalającej twoją własną rzeczywistość. Bądź kobietą ,,nie z tego świata'' — nie ze świata zachodniej burżuazji. Z jakiego świata masz być? Z proletariackiego? Ależ skąd, przecież to także nie twój żywioł. Spróbuj być poza jednym i drugim, a raczej pomiędzy jednym i drugim, pozwól aby twoja sytuacja podyktowała ci twój styl.

Wcale nie chodzi o to abyś wiedziała, czego chcesz. Wystarczy jeśli będziesz wiedziała czego nie chcesz. Reszta zrobi się sama. Zwróć się przeciwko piękności tobie niedostępnej — przyczynisz się w ten sposób do reformy kobiecości.

Poniedziałek.

Wczoraj w Klubie Polskim. Wycelowałem na sam koniec wałkowania mojej duszy i moich utworów. Referat mnie przychylny był dziełem Karola Świeczewskiego, a pani Jezierska wygłosiła referat anty... Potem dyskusja, na zakończenie której zjawiłem się.

Tomasz Mann, wytrawny w tych materiach znawca, powiedział — że, niewątpliwie, inna będzie sztuka wyrosła od początku w blasku uznania, a inna ta, która tylko z trudnością i kosztem wielu upokorzeń i klęsk musi zdobywać sobie powoli miejsce. Jakby wyglądała moja twórczość, gdyby od pierwszej chwili została ozdobiona wieńcem laurowym, gdybym do dzisiaj, po tylu latach, nie musiał odawać się jej jak czemuś niedozwolonemu, wstydliwemu i niewłaściwemu? A jednak, gdy wszedłem na salę, większość obecnych powitała mnie życzliwie i odniosłem wrażenie, że bardzo zmieniły się nastroje od czasu kiedy ukazały się fragmenty Trans-Atlantyku w ,,Kulturze''. Przypisuję to zwłaszcza temu dziennikowi. A także poinformowano mnie, że większość mówców w dyskusji wypowiedziała się za mną.

Zanurzony w falującym tłumie, czułem się nieco jak marynarze Odyssa: ileż syren kuszących w tych twarzach przyjaznych i garnących się do mnie, idących mi na spotkanie! Nie byłoby może trudne rzucić się tym ludziom na szyję, powiedzieć: jestem wasz i zawsze wasz byłem. Ale — ostrożnie! Nie

daj się przekupić sympatią! Nie pozwól aby cię roztopiły mdłe sentymentalizmy i słodkawe porozumienie z masą, w którym tyle utonęło polskiej literatury. Bądź zawsze obcy! Bądź niechętny, nieufny, trzeźwy, ostry i egzotyczny. Trzymaj się, chłopcze! Nie daj się swoim oswoić, przyswoić! Twoje miejsce nie jest wśród nich, ale poza nimi, jesteś jak sznur, zwany przez dzieci skakanką — wyrzuca się go przed siebie aby przeskoczyć.

Wtorek.

Felietony. Dochodzi mnie z felietonów groźny pomruk lwów na uwięzi. Nie wiem, czy ktoś je poskramia, czy też one same wolą na razie wstrzymać się od skoku, kontentując się póki co okropnie morderczymi aluzjami. Prasa emigracyjna na przestrzeni bieżącego i ubiegłego roku obfituje w zakonspirowane trucizny pod moim adresem. Czytam, na przykład, w pewnym artykule o „grymasach okazywanych tradycyjnej polskiej postawie przez niektórych wychodźców, pretendujących do tytułu intelektualistów''. O kim tu mowa? Albo to o „dogmatycznych obrazoburcach i zakrystianach podejrzanych wtajemniczeń''. Któż to może być? Czytam dalej, że pewien arcynowoczesny dramat jest bardzo nudny i niezrozumiały, lub też, że powieść Iksa jest tysiąc razy lepsza od pewnej powieści, mętnej i w najgorszym guście, aspirującej do odkrywczości. O jaki dramat, jaką powieść chodzi?

Nie dziwię się Felietonom. Ja na ich miejscu byłbym równie zdenerwowany. Wszystko w naszym uśpionym królestwie na emigracji funkcjonowało należycie, role były podzielone jak trzeba, bractwo wzajemnie sobie podkadzało ku powszechnemu zadowoleniu, gdy wtem skądś, z Argentyny, wyskoczył facet, który właściwie nie należy do ferajny — i facet ten, sam siebie ogłosiwszy Pisarzem i żadnego z Felietonów nie pytając o pozwolenie, nie tylko wydał powieść i dramat wyłamujące się z linii i obrażające uczucia, ale w dodatku z całą bezczelnością zaczął ogłaszać Dziennik Pisarza. Nie uzyskawszy niczyjej aprobaty i będąc zgoła nieuznany przez gremium! A w dodatku każde słowo tego dziennika pisane jest pod włos. Co za skandal! Podziwiać trzeba flegmę lwów. Myślałem, że lwy rozszarpią mi nogawkę, a tymczasem jak dotąd tylko takie felietonowe skubnięcia zza płota.

Gdyby piśmiennictwo polskie na emigracji nie było w znakomitej (znakomitej!) większości swojej nieruchomą kałużą, odbijającą przebrzmiały księżyc, gdyby nie było gaworzeniem, przelewaniem z pustego w próżne, gonieniem w piętkę dookoła Wojtek, gdyby nie było krowim przeżuwaniem wczorajszego pokarmu, gdyby stać was było na coś więcej niż na rozkoszny felieton na dwóch łapkach wdzięczący się do czytelnika, już dawno byłbym z wami w uczciwej i otwartej wojnie. Zamiast krętych, odtylnych, pośladkowato anonimowych podszczypnięć, uderzono by na mnie z frontu, miałbym do czynienia z polemiką rzetelną,

która nie pyta jak ośmieszyć i oszkalować wroga w oczach publiczności insynuacjami, ale lojalnie szuka jego prawdy i uderza w nią całą siłą wewnętrznego przekonania. Taka polemika przekracza wszakże siły Felietonów. Felietony nie zamierzają dostać się do mojej prawdy, tylko do mojej... żeby ją przyszczypnąć. Felietony nie mogą ze mną polemizować, gdyż ich chytre i głupie kalkulacje nakazują przemilczać mnie i nie robić mi reklamy. Dla Felietonów wszystko w ogóle sprowadza się do personaliów, do głupiej taktyki i równie głupiej strategii. Felietony musiałyby zresztą zacząć od gruntowniejszego zapoznania się z moją literaturą i zastanowienia się nad nią, na co ich nie stać, gdyż stać je jedynie na aluzje, grymasy, dowcipy, kopniaki i inne piruety. Felietony na wszelki wypadek wolą nie rozpatrywać mnie poważnie, gdyż wówczas okazałoby się że nie jestem żadnym skandalem, a tylko rzetelną, choć może nieudaną (nikt nie jest nieomylny) próbą odnowienia naszej myśli i przystosowania jej do naszej rzeczywistości. Ale Felietony wolą abym był skandalem gdyż to bardziej odpowiada ich demimondeńskiej psychice i pozwala na strojenie minek.

To zaszczebiotanie naszego życia publicznego przez felieton skończy się nie dobrze. Wszystko zamieni się nam w siekaninę i w wieczyste podrygiwanie przed czytelnikiem. Nie ma mowy aby w tych warunkach mogło urodzić się coś nie na miarę żurnalizmu. Króluje już nawet nie pompatyczny, dawniejszy, frazes, ale anegdota. Jesteśmy gronem turystów przerzucających się dowcipkami i powiedzonkami. A na pustce naszej bezmyślności, na kupie zblazowanej, felietonowej nicości rozsiadł się nasz odwieczny Wiersz Liryczny i wyje w niebo jak zmokły pies.

Witold GOMBROWICZ

Zielony źrebiec

Strofa nurzana w szumiącą polszczyznę
Nie powstrzymuje nurtu.
Jędrna wiklina mej składni
Czuwa na piaskach dna.
I oto podnoszę wysoko
Więcierz pachnący nocą;
Trzepoce się srebrna poezja,
Kiermaszem świateł gra.

Matka przesuwa po plastrach dni
Szarą pszczołę dzieciństwa,
Umorusaną słońcem
Idącym ławą przez łęg.
O dłoń uderzają warkocze,
Bzy na porannych ramionach;
Spod czoła śmiechem prychają
Cyganiątka w purpurze do pięt.

I coraz wolniej płynie woda
Bławat przynosząca wiślany.
Jeszcze za jawą huczy pożar,
Czerwonopiętrowa głębina.
Trudno mi trzymać na ręce dalekiej
Dwumasztowiec mariacki,
Gdy aromatem krągłym bije
Awinijońskie wino.

Darmo jastrzębie wiszące u chmur
W lustrach swych skrzydeł mój kraj pokazują,
Darmo na wiersz ciskają
Kolczasty w szronach drut.
Szarpie splamione płomieniem
Nie zapalają mych liter.
Toną w rzekach pogodnych
Imiona płynące wbród.

Nad bujnymi stronami polszczyzny,
Wielkimi jak zima in quarto,
W nietkniętym firmamencie
Kasztelańskie profile kroję.

Wstępuje z dzwonu na dzwon
Jędrną brawurą mowa;
Na miarę moich zwiastowań,
Na miarę miłości Twojej.

Piórami szumi przez świadomość
Grzech najurodniej czerwony.
Pachnie larwa mięsista,
Irys kobiecych ciał.
Tagus przepiłowuje ziemię
I słychać jęk otchłani.
Zielony źrebiec fantazji
Wypadł z rozdartych skał.

Nie po to zwarłem zdanie rozłożyste
W pięść lapidarną, nie po to
Za grzywę spienioną prowadzę
Ku lądom wyniosłe morze,
Aby mię prostak zapytał co znaczy
„Po dłoniach moich wstępują
Formy przejrzyste,
By rwać najniższą zorzę".

To znaczy: nowa nagość rzeczy.
Coraz rozwijam jasną plażę,
Każąc przechadzać się słowom,
Dreszcz bioder spisuję i błysk.
Wam koronkowa po kostki bielizna!
Ja wolę smagły ruch pośladków,
I nagłe rąk zanurzanie
W gorące rodzenie się wysp.

Ku nowym niebom podąża
Trzech króli pochód złocisty.
Nową gwiazdę umocowują
Na niebiosach astronomowie.
Przez wywalony horyzont
W stromą schodzimy ciemność.
Zielony źrebiec przeleciał
Po czarnoleskiej, pąsowej dąbrowie.

Świat zaczerpnięty śmiałą brwią
Przy moim rytmie krzepnie w kryształ,
I wśród mej krwi wysokopiennej
Rozbłyska pełen mocy.
Czuwałem długo zanim usta
W bezsporny kształt związały
Szarą godzinę, gdy mówię:
W oknie oko nocy.

Marian PANKOWSKI

Niemieckie zbrojenia a polskie interesy

Jeżeli postanowienia konferencji londyńskiej i dokumenty podpisane w Paryżu w dniu 23 października br. wejdą w życie suwerenne, uzbrojone Niemcy, po dziesięcioletniej przerwie pojawią się ponownie na scenie europejskiej.

Czy dozbrojenie Niemiec pociągnie za sobą poważniejsze konsekwencje polityczne?

Czy odtworzenie niemieckich sił zbrojnych w ramach NATO idzie po linii naszych interesów?

Czy powinniśmy być zwolennikami czy przeciwnikami zjednoczenia Niemiec?

Nic, co się dzieje w Niemczech, nie może być dla nas obojętne. Pytania związane z problemem niemieckim wymagają od nas konkretnych sformułowań w oparciu o beznamiętne rozpoznanie sytuacji.

Dla przeciętnego Anglika ów niemiecki spektakl zainicjowany w Londynie oznacza, że obecny dziwaczny układ na kontynencie otrzyma stały statut. Wojska brytyjskie stacjonować będą w Niemczech do końca bieżącego stulecia z tą tylko różnicą, że nie będą określane mianem wojsk okupacyjnych. W tym sensie Anglia przestała być wreszcie wyspą i świadomość, że przyszła „Battle of Britain" toczona być musi nad Elbą, a nie nad Tamizą zaczyna niezmiernie wolno przeciekać do świadomości ogółu. Ale w sumie, sprawa Niemiec widziana z tej strony Kanału — jest elementem żmudnej operacji zmierzającej do zorganizowania stałej obrony Europy zachodniej z udziałem Stanów Zjednoczonych. Podział Niemiec przyjmuje się za fakt z którym wszyscy się pogodzili. Zachodnie Niemcy odradzają się bez fanfar w ramach polityki „containment" i jej defensywnego klimatu.

Jeżeli spojrzeć na owo zagadnienie poprzez prasę zachodnioniemiecką, uderza natychmiast nowy szczegół a mianowicie sprawa zjednoczenia.

Czy Niemcy zachodni pragną zjednoczenia? Czy — powiedzmy — dobrze sytuowany Bawarczyk gotów jest ponieść jakąś ofiarę w imię polityki zjednoczeniowej?

Rzeczoznawcy Niemiec na Zachodzie wygłaszają na ten temat bardzo sprzeczne opinie. Podkreśla się, że o historii Niemiec jako narodu można mówić dopiero od roku 1870. Przedtem istniała tylko mozaika niemieckich państewek. Między rokiem 1870 a 1945 Niemcy miały cztery ,,wydania''. Każdy z tych czterech reżymów usiłował — ze zmiennym powodzeniem — zniszczyć tradycje swojego poprzednika. W rezultacie — jak sugerują pewni obserwatorzy brytyjscy — Niemcy są narodem bez jednolitej tradycji i dlatego idea zjednoczenia nie jest dla nich czymś istotnym.

Nie podzielam tych opinii. W moim przekonaniu na pytanie czy Niemcy pragną zjednoczenia nie można odpowiedzieć ani prostym ,,tak'', ani prostym ,,nie''.

Hasło zjednoczenia wysuwają programowo pewne ugrupowania. A więc w pierwszym rzędzie uchodźcy i wysiedleńcy. Za zjednoczeniem wypowiada się Kościół Ewangelicki i związane z nim organizacje — co jest zrozumiałe z uwagi na geograficzne rozmieszczenie ewangelików i katolików. Programowymi zwolennikami zjednoczenia są również kierownicy tych partii (opozycyjnych), którzy wnioskują że przyłączenie wschodnich Niemiec dałoby im tysiące nowych zwolenników.

Niewątpliwie w chwili obecnej idea zjednoczenia nie dynamizuje mas i nie grozi wybuchem. Niemniej jednak, świadomość wspólnoty w narodzie niemieckim jest żywa i autentyczna. Skłonny jestem przypuszczać, że czym Niemcy zachodnie będą potężniejsze, czym poważniejszą rolę odgrywać będą w systemie europejskim, tym tendencje zjednoczeniowe przybierać będą na sile.

Zjednoczenie Niemiec w obecnym układzie międzynarodowym nie jest zagadnieniem polityki rządu w Bonn, lecz Sowietów. W gruncie rzeczy jest całkowicie obojętne co na ten temat myśli mieszkaniec zachodniego Berlina czy Monachium, gdyż zjednoczenie i tak nie zniknie z agendy politycznej, ponieważ stanowi jeden z głównych elementów sowieckiej gry o Europę.

Mołotow w mowie wygłoszonej w wschodnim Berlinie z okazji pięciolecia ufundowania ,,ludowych'' Niemiec, sześciokrotnie powracał do sprawy zjednoczenia i oświadczył, że ,,jest to główne zagadnienie, które pozostało nierozstrzygnięte od czasu zakończenia wojny''.

Studium prasy wschodnio-niemieckiej i prasy krajów ujarzmionych musi każdego obserwatora doprowadzić do wniosku, że problem zjednoczenia Niemiec został oficjalnie włączony w sowiecki program ofensywy pokojowej.

,,Ideał'', którego polityka sowiecka nigdy nie traci z oczu — to kompromis, który w rezultacie doprowadziłby do zjednoczenia i zneutralizowania Niemiec. Obecnie polityka sowiecka stara się wiązać problem niemiecki z ogólniejszym zagadnieniem redukcji zbrojeń. Innymi słowy Rosja daje do zrozumienia, że

jeżeli mamy żyć w szczęsnej epoce pokoju i koegzystencji, Niemcy trzeba zneutralizować i wycofać z nich wojska okupacyjne. Gdyby do tego ,,idealnego'' rozwiązania doszło — Amerykanie musieliby poddać rewizji swoją strategię i prawdopodobnie wycofać się z Europy (z wyjątkiem Hiszpanii i Wielkiej Brytanii). W ten sposób bitwa o Europę byłaby wygrana bez wystrzału.



Na jakich przesłankach należy sformułować polski pogląd na nowe uzbrojenie i suwerenne Niemcy?

W gruncie rzeczy Polacy w wolnym świecie nie mają żadnego poglądu na tę sprawę. Cenne prace jakie ukazały się na temat Ziem Odzyskanych są monografiami ściśle określonego problemu. Stanowi to zarówno ich wadę jak i zaletę. Prasa emigracyjna reaguje na wydarzenia w Niemczech według starego szablonu. Piętnuje niemieckie wystąpienia rewizjonistyczne. Poczytuje za sukces każdą wiadomość o planowanych ograniczeniach przemysłowych czy wojskowych, które mają krępować przyszłe Niemcy. Jednym słowem reagujemy tak, jak byśmy mieszkali w niepodległym państwie polskim a Niemcy byli tuż za miedzą. Oczywiście, że wówczas każda wiadomość o zbrojeniu Niemiec musiałaby przywołać wizję niemieckich czołgów zaorywujących nasze otwarte i bezbronne pola.

Niemcy istotnie są tuż za miedzą, ale my nie mamy niepodległego państwa.

Przeciętny Polak na dnie duszy pragnie wyzwolenia Polski, które jednak powinno się odbyć w ten sposób, by Niemcy pozostały nadal podzielone, słabe i rozbrojone. Tak oto odzyskalibyśmy niepodległość, utrzymali ziemie nad Odrą i Nisą i żyli spokojnie przez następne stulecia. Jak ów cudowny program należy realizować? Na to pytanie nie ma odpowiedzi i nikogo to nie martwi.

Zacznijmy naszą analizę od eliminacji. Czy leży w naszym interesie istnienie zachodnich suwerennych Niemiec? Wydaje się, że tak, gdyż Polska wciśnięta pomiędzy komunistyczną Rosję i komunistyczne Niemcy byłaby w jeszcze gorszej sytuacji niż obecnie.

Czy leży w naszym interesie by zbrojenia niemieckie były możliwie najmniejsze w skali i poddane jak najściślejszej kontroli międzynarodowej?

Na 100 Polaków przebywających w wolnym świecie 98 odpowie na powyższe pytanie : tak. Dlaczego? Dlatego, że w opinii owych 98 sprawiedliwych niedostatecznie kontrolowane zbrojenia doprowadziły do odrodzenia militaryzmu niemieckiego, a ten z kolei, stałby się kolebką polityki odwetu i rewizjonizmu co w rezultacie zagroziłoby bezpieczeństwu ziem nad Odrą i Nisą.

Argument nie jest pozbawiony logiki. Podobnie wnioskuje wielu Anglików, Francuzów a nawet Niemców.

Większość naszych polityków oficjalnych i nie-oficjalnych

wysuwa jeszcze argument solidarności z Krajem. Polacy w Kraju nie chcą zbrojeń niemieckich, nie chcą drugiego września — i odrzucają każdą koncepcję, która w przyszłości może zagrozić bezpieczeństwu Ziem Odzyskanych.

Solidaryzując się z Krajem w tej sprawie nie możemy w żadnym wypadku solidaryzować się z polityką reżymu komunistycznego. To rozróżnienie jest bardzo istotne. Jeżeli bowiem całość zagadnienia niemieckiego rozpatrywać będziemy wyłącznie pod kątem interesów ziem nad Odrą i Nisą — wylądujemy nieuchronnie na platformie polityki reżymowej, która głosi, że jedyną gwarancją utrzymania Ziem Odzyskanych jest nienaruszalność obecnego układu w Europie. Przyjęcie tego rodzaju poglądu równałoby się stwierdzeniu, że jeżeli ceną za asekurację Ziem Odzyskanych jest utrzymanie reżymu komunistycznego w Polsce — gotowi jesteśmy tę cenę płacić.

Utrzymanie ziem nad Odrą i Nisą nie jest ani głównym, ani jedynym naszym zadaniem i dlatego polskiej polityki w stosunku do Niemiec nie możemy budować wyłącznie pod tym kątem widzenia.

Na ów problem musimy spojrzeć z innej perspektywy. Politycznie Niemcy leżą pomiędzy Rosją a Stanami Zjednoczonymi. Ponieważ naszym głównym celem jest przywrócenie niepodległości Polsce, problem niemiecki musimy rozpatrywać przede wszystkim pod kątem widzenia polityki ,,wyzwolenia''.

W wolnym świecie koncepcja wyzwolenia nie ma żadnego realnego oparcia. Jest wyznawana i głoszona przez garstkę emigrantów i przez zdecydowanych bojowych anty-komunistów jak James Burnham. Żadne z mocarstw Zachodu nie jest bezpośrednio zainteresowane w polityce ,,liberation''. Jedyny wyjątek stanowią Niemcy, którzy mieliby kogo wyzwalać. Mieliby, gdyby zechcieli...

Studiując prasę i periodyki niemieckie trudno jest oprzeć się wrażeniu, że Niemcy szukają polityki. W sensie niemieckim polityka to program i hierarchia celów. Niemcy nie są Brytyjczykami, którym empiryczny szacunek dla faktów i analiza możliwości zastępują program. Współcześni Niemcy szukają celu i drogi. I być może, że w tej perspektywie załamanie się programu EWO i Armii Europejskiej (jako wstępu do Federacji) okaże się w przyszłości wydarzeniem znacznie donioślejszym niż dziś skłonni jesteśmy sądzić. W moim przekonaniu, fakt ten w większej mierze niż inne okoliczności, przesądzi o linii rozwoju przyszłej polityki niemieckiej.

Pojawienie się na scenie armii niemieckiej, choć bez sztabu generalnego i dawnych akcesoriów — wywrze potężny wpływ zarówno na psychikę jak i politykę niemiecką.

Wszystkim ,,ekspertom'', którzy na łamach prasy zachodniej rozszczepiają niemiecki włos na części i wygłaszają najdziwniejsze teorie o germańskiej metamorfozie odpowiadam: ,,Zaczekajcie panowie, zobaczymy jak to będzie wyglądało, gdy bruk miast niemieckich zagrzmi rytmem podkutych butów no-

wego Wehrmachtu. Wtedy przypatrzcie się dobrze tłumom na ulicach".

Dopóki Niemcy są bezbronne można dowolnie fantazjować na ich temat. Ale kiedy papiery rozmów londyńskich i paryskich utoną w archiwach — w Europie pojawi się nowy potężny element polityczny : pół milionowa armia niemiecka. Nie europejska lecz niemiecka.

Do tej pory Niemcy byli emigrantami. Pozycja rządu w Bonn nie wiele różniła się od sytuacji rządu polskiego w Londynie do roku 1945. Praktycznie biorąc, ani rząd ani kanclerz nie mogli wywierać żadnego nacisku ani na Anglików ani na Amerykanów. Jeżeli przez emigrację rozumieć polityczne ubezwłasnowolnienie w konsekwencji totalnej klęski — Niemcy byli emigrantami, którym pozwolono mieszkać na ich własnej ziemi.

Ów beznadziejny klimat emigracyjny zaciążył w Niemczech na wszystkim — na literaturze, prasie, polityce a w szczególności na postawie młodego pokolenia. Jeżeli dokumenty paryskie zostaną ratyfikowane — Niemcy wrócą do domu. Z emigracyjnego wygnania wrócą do suwerennego państwa z własną armią i z własną... polityką.

Jak ukształtuje się polityka suwerennych Niemiec ?

Jedno wydaje się pewne. Ci spośród polityków niemieckich, którzy zechcą odegrać poważniejszą rolę, będą musieli coś konkretnego powiedzieć niemieckiemu żołnierzowi. Sądzić należy, że problem zjednoczenia ulegnie zdynamizowaniu. Zjednoczenie jest bowiem celem konkretnym, oczywistym w swej słuszności, a poza tym, może doskonale maskować tendencje (i nadzieje) ekspansji terytorialnej.

W każdym razie wydaje mi się, że Walter Lippman, entuzjasta ko-egzystencji — wyraźnie się pośpieszył oceniając konferencję londyńską jako scementowanie obecnego podziału Europy (w artykule pod charakterystycznym tytułem : ,,Two Europes for a long time").

Ci deputowani francuscy — a jest ich sporo — którzy z upartą nieufnością odnoszą się do zbrojenia Niemiec (nawet na modłę konferencji londyńskiej) są w gruncie rzeczy większymi realistami niż p. Lippman. Jeżeli bowiem pragnie się ko-egzystencji i owych ,,two Europes for a long time" — to lepiej jest Niemiec *nie* uzbrajać, a granice Federalnej Republiki obsadzić wojskami amerykańskimi, francuskimi i angielskimi.

Żadna armia niemiecka nie odgrywała roli stabilizatora układu, który powstał w wyniku klęski i byłoby naiwnością sądzić, że nowa armia zdradzi tę tradycję i zadowoli się rolą honorowej straży nad grobem wielkości Niemiec. Pokojowe Niemcy — to Niemcy rozbrojone. Niemcy uzbrojone to niespokojny i zagadkowy znak zapytania.

Jak wiadomo raczej z współczesnej historii, wszystkie ograniczenia i klauzule zbrojeniowe nie są artykułami wiary i można je albo obejść, albo zmienić w wyniku nowej umowy, albo jednostronnie wypowiedzieć, gdy się jest dostatecznie silnym. De-

putowani francuscy zdają sobie z tego lepiej sprawę niż p. Lippman.

Polacy nie są zainteresowani ani w utrwalaniu obecnego podziału Europy ani w pielęgnowaniu ko-egzystencji.

Nie jest wykluczone, że za dwa, trzy lata uzbrojone Niemcy będą jedynym państwem na świecie, które jako postulat swojej polityki wysuną żądanie przesunięcia ,,żelaznej kurtyny'' bardziej na wschód. Jeżeli politycy niemieccy okażą się dobrymi taktykami, nie będą łączyć sprawy wyzwolenia Niemiec wschodnich z pretensjami terytorialnymi pod adresem Polski. To są bowiem dwie różne sprawy. Wyzwolenie Niemiec wschodnich i żądanie przyłączenia ich do republiki związkowej jest programem zarówno w sensie politycznym jak i moralnym bezspornie słusznym. To nie jest ani imperializm, ani ekspansja terytorialna. Byłoby dziwne i godne potępienia, gdyby suwerenne Niemcy takiego postulatu nie wysunęły.

Polska myśl polityczna jest zaskrzepła w tradycyjnym historycyzmie. Za ideał polskiej ,,koniuktury'' przeciętny Polak uważa klisze z 1918 roku: Niemcy pobite — Rosja pogrążona w chaosie. Tego rodzaju układ może się już nigdy nie powtórzyć w historii świata.

Znam Niemcy i Niemców od wielu lat i zdaję sobie w pełni sprawę z niebezpieczeństwa jakie niesie dla nas odbudowa niemieckich sił zbrojnych. Jeżeli chodzi o remilitaryzację Niemiec to wiadomo jak się zaczyna, ale nigdy nie wiadomo na czym się skończy.

Lecz jaki jest przed nami wybór?

Czy leży w naszym interesie by przyszła armia niemiecka spełniła marzenia p. Lippmana i była żandarmem strzegącym nienaruszalności ,,żelaznej kurtyny''?

Każda inicjatywa polityczna zmierzająca do zepchnięcia ,,żelaznej kurtyny'' choćby tylko na granicę Odry i Nisy leży w naszym interesie. Polska zyskałaby wówczas bezpośrednią granicę z Zachodem. Osobiście sądzę, że wyzwolenie jednego kraju spowodowałoby taki wstrząs, iż system satelicki Europy wschodniej na dłuższą metę nie byłby do utrzymania.

Jeżeli realistycznie rozpatrzymy możliwości próby dokonania wyłomu w ,,żelaznej kurtynie'' — to musimy dojść do wniosku, że szanse podjęcia takiej inicjatywy są równe zeru zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak w Anglii czy we Francji. Jedynym narodem — który być może — wysunie postulat tego typu — są Niemcy.

Jeżeli Niemcy wystąpią z tego rodzaju żądaniem, nie zrobią tego z pobudek moralnych czy idealistycznych. Może nawet rację ma Karl Jaspers, że głównym motywem zjednoczenia nie jest poczucie solidarności z ciemiężonymi rodakami — lecz głęboko ukryta ,,Wille zur Macht!''

Byłoby naiwnością sądzić, że z chwilą kiedy pojawi się armia niemiecka — następnego dnia wybuchnie wojna. Ale równie naiwnie byłoby przypuszczać, że uzbrojone Niemcy będą spo-

kojnie popijać piwo i raz na rok popisywać się swoimi dywizjami i lotnictwem na manewrach NATO.

Ma całkowitą słuszność gen. Gruenther, który oświadczył w Londynie, że niebezpieczeństwo podjęcia ,,prywatnej wojny'' przez jakiś kraj Europy zachodniej — jest minimalne. Ale polityka to nie tyle wojna ile umiejętna licytacja pokoju. Hitler byłby uzyskał znacznie więcej niż zyskał i byłby utrzymał swe zdobycze, gdyby z wojny zrezygnował. Czym Niemcy będą potężniejsze tym Rosja i Zachód będą skłonne zapłacić wyższą cenę za ich pokojowość.



Jakie wypływają wnioski z powyższych rozważań?

W mojej opinii wnioski są następujące:

Musimy poddać rewizji nasz tradycyjny pogląd na Niemcy. Być może Niemcy się nie zmienili — ale sytuacja uległa totalnej zmianie. Jeżeli chodzi o zagadnienie ziem nad Odrą i Nisą — jesteśmy z Niemcami w sporze. Niemniej rozpatrywane na szerszej płaszczyźnie nasze interesy w wielu zasadniczych punktach w przyszłości mogą być zbieżne. Brak porozumienia w odniesieniu do jednego problemu nie powinien przekreślać perspektyw współpracy w kierunku, który odpowiada zarówno polskim jak i niemieckim interesom.

Rozpatrując ten cykl zagadnień nie powinniśmy nigdy zapominać, że realistycznie rzecz oceniając ziemie nad Odrą i Nisą nie są w politycznym władaniu ani Polaków, ani Niemców, lecz Sowietów. Leży zarówno w interesie Polaków jak i Niemców by nie Sowiety były politycznym dysponentem tych ziem. Nie możemy Rosji uważać za gwaranta granicy na Odrze i Nisie. Rosja nie gwarantuje nam niczego prócz niewoli. Z nie-komunistycznymi Niemcami — choć nie istnieje pewność, to przecież istnieje możliwość porozumienia i wypracowania modus vivendi. Z sowiecką Rosją wszelkie porozumienie jest wykluczone.

Tym tradycyjnie i emocjonalnie anty-niemieckim politykom emigracyjnym, którzy przy każdej sposobności powołują się na opinię Kraju — należy przypomnieć, że Polacy pragną w pierwszym rzędzie wyzwolenia o dopiero w drugiej kolejności utrzymania Ziem Odzyskanych. Ci politycy emigracyjni, którzy odwracają powyższą kolejność celów reprezentują nie wolę Kraju, lecz sowiecką propagandę.

Jeżeli przyszłe suwerenne Niemcy wysuną postulat wyzwolenia Niemiec Wschodnich i utworzenia zjednoczonego państwa niemieckiego — powinniśmy poprzeć te żądania.

Naszymi wrogami są tylko ci Niemcy, którzy dążą do porozumienia z Sowietami. Natomiast ci politycy niemieccy, którzy dążyć będą do odepchnięcia ,,żelaznej kurtyny'' są naszymi sojusznikami mimo, że są Niemcami i mimo, że między nimi a nami istnieje spór.

Jeżeli parlament francuski dokona ratyfikacji dokumentów

paryskich, Niemcy staną się pełno-prawnym sojusznikiem Francji — mimo problemu Saary. Formuła kompromisowa Adenauer-Mendès-France stanowi poważny krok naprzód, niemniej, problem Saary daleki jest od ostatecznego rozwiązania. Skoro jednak zarówno Niemcy jak i Francuzi wykluczają użycie siły w rozwiązaniu tego problemu — nie ma przeszkód by oba państwa były sojusznikami w sensie politycznym i wojskowym, tym bardziej, że obrona Europy zachodniej jest sprawą siły a problem Saary jest wyłącznie sprawą rokowań.

Stosunki polsko-niemieckie powinniśmy oprzeć na analogicznym założeniu. Jeżeli Polacy w Kraju i w wolnym świecie będą mieli podstawę do zaufania, że Niemcy w sporze terytorialnym polsko-niemieckim nie użyją siły — poprą wówczas solidarnie każdą politykę niemiecką zmierzającą do odepchnięcia ,,żelaznej kurtyny'' i zjednoczenia Niemiec.

Zjednoczenie Niemiec można zrealizować tylko drogą nacisku w oparciu o świetną dyplomację i realną siłę. Być może za kilka lat pozycja Niemiec będzie tak ugruntowana, że będą mogły i zechcą wysunąć tego rodzaju postulat. Nie ulega bowiem wątpliwości, że bez odzyskania wschodnich Niemiec i bez odbudowy swych wpływów i rynków w wschodniej Europie — Federalna Republika nie stanie się mocarstwem. Wówczas będzie sprawą wprost kardynalnego znaczenia, by narody wschodniej Europy, a w szczególności największy spośród nich, to jest Polacy — uznali Niemców za potencjalnych sojuszników a nie za... Rosjan Zachodu.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

WYRÓWNANE POZIOMY

Rząd prem. Mackiewicza przygotowuje wybory. Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego wydała odezwę w której czytamy m. in.: ,,udział w wyborach przynosi szkodę najżywotniejszym interesom narodowym i państwowym''. Pan Alojzy Krupka, który głosował w hostelu X, w hrabstwie Y. nie domyślał się (nieszczęsny), że wypełniając niebieską kartkę godzi w ,,najżywotniejsze interesy narodu i państwa polskiego''.

Jeżeli chodzi o ocenę i perspektywę ,,najżywotniejszych interesów państwowych'' — to poziomy obu ośrodków londyńskich są znakomicie wyrównane. Wszystko idzie według tradycyjnego szablonu. Egzekutywa (cóż za koszmarna nazwa !) zwalcza ,,zamek'' — a ten z kolei zwalcza egzekutywę. Gdyby któregoś dnia p. St. Mackiewicz postanowił wstąpić do Trapistów — Egzekutywie pozostałoby tylko organizowanie akademii.

Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że sytuacja Egzekutywy jako

prowizorycznego rządu jest bezporównanie trudniejsza niż wszystkich rządów poprzednich. Do czerwca br. rządy były legalne i nikt (z wyjątkiem p. Mikołajczyka) ich legalizmu nie kwestionował. W owym czasie istniał Skarb Narodowy jako jednolita i wzorowo funkcjonująca instytucja, przynosząca około 40 tysięcy funtów rocznie czystego dochodu.

Kryzys czerwcowy wywołał różne fermenty i reakcje. Nie wiem czy przywódcy „państwa na emigracji II" zdają sobie w pełni sprawę z pewnych tendencji, które zaczynają się wyraźnie zarysowywać. Najgroźniejszą z tych tendencji z punktu widzenia Egzekutywy — jest przybierający na sile ruch odśrodkowy. Usamodzielnienie się Skarbu Narodowego w Stanach Zjednoczonych , uchwały Skarbu Narodowego w Brazylii, uchwały sejmików polskich w Argentynie itd. — są przykładami odrywania się grup emigracyjnych od „macierzy" londyńskiej. W dziesiątkach listów które otrzymuje nasza redakcja — z zadziwiającą monotonią powtarza się zdanie : „mamy dość Londynu".

Jeżeli Rada Trzech i Egzekutywa w dalszym ciągu za jedyny swój program uznawać będą homeryckie boje z p. St. Mackiewiczem a „zagrożenia najżywotniejszych interesów państwowych" dopatrywać się będą w... wyborach organizowanych przez „zamek" — to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że za rok, czy za dwa zarówno dostojna Rada Trzech i Egzekutywa jak i „zamek" z kanclerzem Mackiewiczem — staną się, na wzór teatrzyku Hemara, czysto lokalno-londyńskimi atrakcjami.

Polski Londyn jest małym miasteczkiem liczącym około 30 tysięcy mieszkańców. I wówczas spory pomiędzy p. Catem a triumwiratami z Rady Trzech spadną do swych właściwych powiatowych proporcji. W Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie czy w Argentynie nikt się nie będzie tym interesował.

Tymczasowa Rada Jedności Narodowej jak jej przydługa nazwa wskazuje ma reprezentować „jedność", osiągniętą w konsekwencji realizacji Aktu Zjednoczenia. W rzeczywistości zjednoczono kilku prezesów pewnych stronnictw londyńskich i to wszystko. Jeżeli spojrzymy z nieco szerszej perspektywy to należy stwierdzić, że emigracja była w niepomiernie wyższym stopniu zjednoczona przed 9 czerwca br. i przed powstaniem T.R.J.N. niż jest obecnie.

Oderwanie się Skarbu Narodowego w Stanach Zjednoczonych od centrali londyńskiej jest w sensie praktycznej polityki daleko donioślejszym wydarzeniem niż pogodzenie się p. Grażyńskiego z p. Bieleckim.

Nie należy się łudzić. Zjednoczenie jest czysto pozorne. Zjednoczyło się kilku prezesów — natomiast emigracja się rozpadła. W ośrodkach zamorskich wyczuwalna jest tendencja do całkowitej organizacyjnej niezawisłości i oparcia życia politycznego o instytucje miejscowe.

Jeżeli przywódcy T.R.J.N. chcieliby przeciwstawić się temu rozproszkowaniu i podziałowi Emigracji na serie niezależnych terytorialnych państewek — jeżeli by chcieli zbudować prawdziwą jedność, bez której trudno sobie wyobrazić istnienie jednolitej polskiej polityki niepodległościowej — to musieliby podjąć wielką inicjatywę, która skupiłaby na sobie uwagę (i sympatię) szerokich mas emigracyjnych.

Nim sprecyzuję bliżej co rozumiem przez ową wielką inicjatywę chciałbym jeszcze podkreślić dwa szczegóły.

Każde pismo, które ma czytelników i prenumeratorów-przyjaciół w pięciu częściach świata — jest w pewnej mierze biurem badania opinii publicz-

nej. Takim biurem jest również „Kultura”. Otóż na podstawie różnorodnych informacji jakimi dysponujemy wydaje mi się, że należy zwrócić uwagę na dwa charakterystyczne momenty odzwierciadlające przemiany dokonywujące się w psychice emigracyjnej.

Po pierwsze należy stwierdzić, że powstaniu Rady Trzech i T.R.J.N. towarzyszy niemal powszechne uczucie zawodu. Przyczyny tych nastrojów są różne. Jak wynika z listów Czytelników ludzie oczekiwali wielkiej zmiany, oczekiwali czegoś nowego. Tymczasem wypowiedzi nowych przywódców są beznadziejną młocką tych samych plew frazesów. Żadnej nowej myśli, żadnego planu, żadnego programu, żadnej polityki — nic.

Nowy reżym emigracyjny rozgrzesza się stwierdzeniem, że powstał na okres kryzysu i wskutek tego wystarczy jeżeli „trwa na posterunku” i przemyśliwa nad remontem legalizmu czym się nikt poza Londynem nie interesuje.

Druga uwaga dotyczy generałów. Ucywilnienie emigracji jest dziś całkowite i kompletne. Ludzie nie wierzą ani w rychłą wojnę ani w rychłe odbudowanie Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie. Na tym tle zaobserwować można pewien zmierzch mitu generałów. Nie należy przez to rozumieć, że ich zasługi poszły w niepamięć, czy że zmalała ich popularność. Nazwiska gen. Andersa czy gen. Maczka są bardzo popularne i zawsze takimi pozostaną. Niemniej emigranci nie oczekują dziś od generałów „cudu nad Tamizą” i nie uważają ich za atut polityczny tej miary co jeszcze przed kilku laty. W oczach przeciętnego emigranta nasi generałowie stopniowo się „uhistoryczniają” i reprezentują dziś raczej przeszłość (niejednokrotnie świetną) niż polityczny aktyw teraźniejszości.

To jest proces naturalny i zrozumiały. W każdym razie przywódcy „państwa na emigracji II” powinni zdawać sobie sprawę, że dziś w znacznie mniejszym stopniu niż w Polsce przedwojennej można generałami przesłaniać brak programu i polityki.

Lecz to są wszystko uwagi na marginesie. Istotą problemu jest fakt, że zainteresowanie ideologiami partyjnymi jest tak niewielkie, że reprezentacja ściśle partyjna nie może liczyć ani na szeroki oddźwięk ani na powszechne poparcie. Innymi słowy w naszych warunkach klucz partyjny jest instrumentem niewystarczającym do zjednoczenia emigracji.

Nie leży w interesie żadnej partii politycznej by T.R.J.N. czy R.J.N. stała się z czasem czysto londyńską instytucją. Przeciwnie leży w interesie partii politycznych, by R.J.N. skupiła na sobie zainteresowanie 90% ogółu Emigracji bez partyjnej przynależności. Leży w interesie partii politycznych by R.J.N. stała się w naszych warunkach możliwie najdoskonalszym parlamentem polskim na obczyźnie, by jej autorytet rósł i został powszechnie uznany. Wówczas w szerokich kołach emigracji po obu stronach Atlantyku ustali się opinia, że polskie partie polityczne odbudowały ustrój demokratyczny w ramach dostępnych nam możliwości.

Źródłem obecnego kryzysu nie jest brak legalizmu i nowego prezydenta; źródłem kryzysu jest bezradność przywódców T.R.J.N. Z chwilą kiedy T.R.J.N. podejmie inicjatywę wyborów zmierzającą do zorganizowania parlamentarnej reprezentacji emigracyjnej jakiej dotąd nie było — kryzys się skończy i umrze naturalną śmiercią. Nikt się wówczas nie będzie interesował „zamkiem”.

W mojej opinii przed stronnictwami stoją dwie drogi. Albo kontynuo-

wać będą obecną politykę kryzysową debatując miesiącami nad sposobami połatania legalizmu — albo stan obecny uznają za punkt wyjścia nowego ładu politycznego na emigracji organizując wybory i tworząc nową R.J.N., która składałaby się z radnych wybieralnych.

Jeżeli stronnictwa wybiorą pierwszą drogę podzielą los „zamku" i zredukują R.J.N. do powiatowych wymiarów londyńskich. Nie odbudują Skarbu Narodowego, nie zjednoczą emigracji i istnieć będą jedynie jako „opposite number" obozu p. Zaleskiego.

Nie będąc członkiem żadnego stronnictwa z tym większym obiektywizmem mogę stwierdzić, że pozycja partii jako kreatywnej siły politycznej jest do odbudowania tylko poprzez wybory.

Byłoby pomysłem nierealistycznym sugerować partiom by przyszła R.J.N. składała się wyłącznie z radnych wyłonionych z wyborów. Nawet zespołem bezspornie logicznych argumentów trudno jest kogoś przekonać o korzyściach płynących z samobójstwa. Przedstawiciele stronnictw są przeciwnikami wyborów ze względów zasadniczych i opinii w tej sprawie nie zmienią. Z drugiej jednak strony olbrzymi odłam społeczeństwa emigracyjnego jest za ideą wyborów i również opinii w tej sprawie nie zmieni.

Dojrzali przywódcy dojrzałego politycznego społeczeństwa wyciągnęliby w takiej sytuacji wniosek, że jest rzeczą dla obu stron korzystniejszą wypracować kormułę kompromisową niż się nawzajem zwalczać.

Gdybym był politykiem partyjnym uważałbym, że jest niepomiernie korzystniej mieć część mandatów w reprezentacji z prawdziwego zdarzenia, uznanej za parlament na obczyźnie przez ogół Polaków — niż mieć 100 procent mandatów w lokalnej Radzie londyńskiej bez żadnych powiązań z innymi krajami osiedlenia, w Radzie, której 90% bezpartyjnych emigrantów nie uznaje za swoją reprezentację.

Przeprowadzenie wyborów jest rzeczą bardzo trudną. Nowa R.J.N. musiałaby mieć oddziały w innych krajach osiedlenia gdyż trudno wymagać by radni z Buenos Aires urzędowali w Londynie. Ale czy dlatego, że zorganizowanie wyborów jest rzeczą trudną a wojowanie z p. St. Mackiewiczem rzeczą łatwą — należy zrezygnować z wyborów a kontynuować oblężenie „zamku"?

Interesujemy się tym zagadnieniem nie dlatego, że uważamy się za powołanych do „sanowania" polityki partyjnej lecz dlatego, że w chwili obecnej (po rozbiciu Skarbu Narodowego) nie ma instytucji, która mogłaby w skali ogólno-emigracyjnej podjąć taką inicjatywę. Nasze sympatie są po stronie tych, którzy domagają się wyborów i reprezentacji wyłonionej na zasadach demokratycznych a nie po stronie partyjnych monopolistów z obecnej T.R.J.N.

REFERENDUM

Narazie brak jakichkolwiek danych w związku z referendum zapowiedzianym przez Egzekutywę Zjednoczenia Narodowego. Jeżeli Egzekutywa w ten sposób pragnie „załatwić" sprawę wyborów to może nie od rzeczy będzie przypomnieć, że referendum zorganizowano i w Polsce w roku 1946. Powyższą analogię można nieco rozbudować. I tak kanon na którym opiera się T.R.J.N., że prawo reprezentowania Emigracji przysługuje wyłącznie organizacjom politycznym i społecznym — odpowiada wyłącznemu prawu

zgłaszania kandydatów przez organizacje polityczne i społeczne w Polsce ludowej. Jeżeli tekst referendum zawierać będzie jakąś wzmiankę o Radzie Jedności Narodowej — będzie to próba ryczałtowego zatwierdzenia składu Rady czyli dobrze nam znane głosowanie na jedną listę.

Jeden z wybitnych przyjaciół naszego pisma w liście do redakcji proponuje by Polacy na obczyźnie masowo wzięli udział w referendum — do oficjalnych pytań Egzekutywy dopisując następujące : ,,Czy reprezentację Polaków w świecie należy oprzeć o system Skarbu Narodowego, którego wpływami dysponowałyby władze powołane z wyborów, w których wzięliby udział wszyscy płatnicy ? Odpowiedź : Tak".

Pomysł jest doskonały. Sądzić jednak należy, że Egzekutywa zignorowałaby odpowiedzi na to pytanie akceptując jedynie odpowiedzi idące po linii jej życzeń.

W sprawie wyborów i zdemokratyzowania Skarbu Narodowego nie potrzeba przeprowadzać żadnego referendum. Jest rzeczą pewną ponad wszelką wątpliwość, że 90% społeczeństwa emigracyjnego pragnie wyborów i praworządnej reprezentacji.

Tym, którzy wyrażają swe oburzenie z powodu stanowiska Zespołu ,,Kultury" i apelu do płatników by wstrzymali się czasowo z wpłacaniem jakichkolwiek kwot na Skarb Narodowy — odpowiadamy :

Płaciliśmy od chwili powstania Skarbu. Domagaliśmy się wyborów od chwili powstania Skarbu. Na przestrzeni ostatnich lat ograniczaliśmy się do artykułów, argumentacji, perswazji — cały czas płacąc i innych do płacenia zachęcając.

Ponieważ nie ma żadnej oficjalnej wypowiedzi dotyczącej wyborów a T.R.J.N. jest tylko powiększoną Radą Polityczną, która od początku swego powstania zwalczała ideę wyborów — doszliśmy do wniosku, że wybory na emigracji można zrealizować tylko drogą akcji zbiorowej, to jest bojkotem obecnego zarządu Skarbu Narodowego.

Dlatego powtórnie apelujemy do Polaków w wolnym świecie :

Jeżeli pragniecie by Skarb Narodowy był zarządzany przez władze wyłonione z wyborów — przestańcie płacić na Skarb Narodowy zarządzany przez nominatów.

Jeżeli pragniecie by przyszła reprezentacja emigracji składała się w pierwszym rzędzie z radnych wyłonionych z wyborów — przestańcie finansować rządy nominatów partyjnych odmawiając wpłat na obecny Skarb Narodowy.

Tym, którzy nam zarzucą, że apelem naszym podcinamy byt placówek dyplomatycznych, radia w Madrycie itd. — pozwalamy sobie przypomnieć, że rozwiązania demokratyczne odrzucaliśmy zawsze w imię ,,wyższych" celów. Owe wyższe cele uniemożliwiały nam zniesienie Berezy — podobnie jak wyższe racje dyktowały nam podtrzymywanie B.B.W.R. Z tą metodą należy skończyć, gdyż w praktyce okazała się raczej opłakana.

Obecnie w imię zachowania budżetów placówek i radia madryckiego powinniśmy zrezygnować z bojkotu obecnego zarządu Skarbu Narodowego a w konsekwencji z wyborów i upraworządnienia naszego życia politycznego? NIE — PROSZĘ PANÓW.

AUTOKEFALICZNY SKARB NARODOWY W AMERYCE

Na zjeździe Komitetów Skarbu Narodowego w Stanach Zjednoczonych, który się obecnie odbył w Buffalo, powzięto następującą uchwałę :

,,Na okres trwania kryzysu wewnętrzno-politycznego w Londynie postanawiamy przekazywać fundusze zebrane w drodze zbiórki w Stanach Zjednoczonych na utrzymywanie polskich placówek dyplomatycznych uznawanych i nieuznawanych, na wolne radio polskie, na prace kulturalno-wychowawcze wśród młodzieży i na akcję opieki nad żołnierzami, inwalidami i sierotami polskimi. Techniczny rozdział pieniędzy ustalany będzie na comiesięcznych zebraniach prezesów komitetów Skarbu Narodowego w Stanach Zjednoczónych. Temu nowemu organowi będą przewodniczyć na zmianę prezesi poszczególnych komitetów Skarbu Narodowego".

W ten sposób Skarb Narodowy w Ameryce oderwał się całkowicie od central londyńskich (Rady Trzech i prezydenta Zaleskiego) i de facto ogłosił samodzielną organizacją. Jest wysoce prawdopodobne, że za przykładem Ameryki pójdą organizacje Skarbu Narodowego w innych krajach.

Czy musiało się tak stać ?

Gdyby Główna Komisja Skarbu Narodowego zamiast pospiesznie uznawać za swój zwierzchni organ Radę Trzech zachowała polityczną neutralność — być może byłoby się udało uratować jedność organizacyjną Skarbu Narodowego.

Jak wiadomo p. Zaleski uprzedzając decyzje Głównej Komisji wydał w dniu 2. 9. br. dekret o przekształceniu Skarbu Narodowego.

Gdyby w odpowiedzi na ten krok Główna Komisja powzięła wówczas postanowienie, że na okres kryzysu Skarb Narodowy pozostanie neutralny i a-polityczny — sądzić należy, że znakomita większość komisji terytorialnych łącznie z amerykańską byłyby solidarnie poparły tę decyzję. Wówczas Skarb Narodowy zostałby uratowany.

Ale nowym adeptom Rady Politycznej nie chodziło o jedność organizacyjną Skarbu Narodowego. Pragnęli oni natomiast wnieść co prędzej Skarb Narodowy w charakterze politycznego posagu nowej koalicji.

W ten sposób dzieło z którym słusznie łączono wielkie nadzieje zostało rozparcelowane.

POSPOLITE RUSZENIE

W chwili gdy piszę te słowa (pierwsza dekada listopada) Polacy w Wielkiej Brytanii zbierają pieniądze na koszt obrony siedmiu polskich marynarzy z ,,Puszczyka", których wydania domaga się reżym warszawski.

Londyński ,,Dziennik Polski" otworzył listę składek na fundusz obrony marynarzy stwierdziwszy, że koszt obrony wyniesie około 1.000 funtów.

A więc tak. Mamy ,,rząd", mamy Radę Trzech, Egzekutywę, mamy S.P.K., Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii i pół setki innych organizacji. Ale ilekroć trzeba działać — nie ma nikogo. Trzeba rozpisywać pospolite ruszenie i apelować do ofiarności ogółu.

Organizacją powołaną do działania w tym wypadku było przede wszystkim S.P.K. Nie jestem specjalistą od finansów S.P.K. ale w jednym

z biuletynów mojego macierzyńskiego Koła powiedziano, że rezerwa płynna Pol. Ex-Comb. Assoc. wynosi około 60 tysięcy funtów. Skądinąd wiadomo powszechnie, że S.P.K. ma domy, placówki gospodarcze itp. Wiadomo również, że widowisko ,,Sursum Corda'' (patrz Kronika, ,,Kultura'', Nr 9/83) kosztowało około 1.000 funtów z czego 450 funtów tytułem honorarium wypłacono dwóm autorom. Natomiast jak na wokandzie znalazła się sprawa siedmiu z ,,Puszczyka'' Zarząd Główny S.P.K. wpłacił na listę Funduszu obrony marynarzy £ 100.

Wydaje się że nie potrzeba nikomu tłumaczyć i wyjaśniać o ile sprawa siedmiu marynarzy jest ważniejsza od wszystkich akademii, galówek, masówek z ,,Sursum Corda'' włącznie. Wydaje się również, że nikomu nie trzeba tłumaczyć, iż S.P.K. na szczęście jest w możności zmobilizować kapitał 1.000 funtów.

Ale Zarząd S.P.K. wolał dać tylko £ 100 licząc, że nadarza się świetna okazja by zaapelować do społeczeństwa, które — jak wiadomo — na tego rodzaju cel pieniędzy nie poskąpi. To jest tradycyjna polityka naszych władz, instytucji i ,,góry''. W momentach kryzysu nie ma nikogo z wyjątkiem takiego czy innego płk. Umiastowskiego który ma za zadanie zmobilizować entuzjazm i ofiarność tłumów.

To nie jest mądra polityka. Tego typu taktyka, choć przynosi doraźne korzyści, podrywa zaufanie nie tylko do S.P.K. ale do wszystkich instytucji polskich. Przeciętny emigrant gdy przeczytał apel w ,,Dzienniku Polskim'' pomyślał sobie : ,,Oczywiście na *nich* nie można liczyć. Gdy chodzi o uratowanie siedmiu Polaków, którym grozi deportacja do Polski — nie ma nawet 1.000 funtów !''

S.P.K. jest potężną organizacją ale fakt, że się jest członkiem tej organizacji nie zwiększa poczucia bezpieczeństwa, które winno wypływać z przekonania : stoi za mną wielkie stowarzyszenie, na które mogę liczyć w razie nagłej potrzeby.

Załóżmy dla przykładu, że polskiemu działaczowi, politykowi, publicyście czy dziennikarzowi z inspiracji komunistycznej wytoczono proces, w oparciu o fałszywy materiał dowodowy, w celu ,,wykończenia'' go na terenie Anglii. Tego rodzaju taktyka była stosowana wielokrotnie przez komunistów. Na jaką pomoc członek S.P.K. może liczyć ze strony swego stowarzyszenia w takiej sprawie ?

Należy przyjąć, że siedmiu z ,,Puszczyka'' znajdowało się w największym niebezpieczeństwie gdyż grozi im (w chwili gdy piszę te słowa) deportacja do Polski. Jeżeli siódemkę z ,,Puszczyka'' przyjmiemy za ów tragiczny standard maksymalnego emigracyjnego niebezpieczeństwa to finansowa akcja S.P.K. na głowę zagrożonego wyraża się kwotą £ 14:5:8. Nie ma powodu przypuszczać, by polski działacz, pisarz czy polityk, zagrożony akcją komunistyczną, mógł liczyć ze strony S.P.K. na większą pomoc niż £ 15.

Jaki jest więc sens należeć do tego rodzaju stowarzyszenia jak S.P.K. i jakie płyną z tego korzyści ?

To nie jest pytanie retoryczne lecz rzeczowe, które słyszałem wypowiadane dziesiątki razy przez tytularnych członków S.P.K., którzy już dawno przestali płacić składki.

Gdyby S.P.K. zamiast apelować do społeczeństwa wzięło w całości na siebie koszt obrony siedmiu z ,,Puszczyka'', gdyby zaciągnęło pożyczkę czy obciążyło jeden z domów (jeżeli nie było innego wyjścia) — ci co

płacą składki mogliby powiedzieć owym niepłacącym : ,,płacimy ale wiemy, że gdy grupa Polaków znajdzie się w niebezpieczeństwie jest ktoś kto wyłoży pieniądze na obronę choćby przyszło dom sprzedać czy zadłużyć !"

Ale 15 funtów na głowę ? Do tego nie potrzeba S.P.K. — to można pożyczyć u sąsiada Anglika z naprzeciwka, któremu nie trzeba płacić składek przez całe życie.

S.P.K. nie jest zbyt popularną instytucją a ilość niepłacących członków jest znaczna. Zarząd S.P.K. zmarnował wspaniałą okazję by wykazać polskiemu społeczeństwu, że w owym Londynie, gdzie są dwa ,,rządy", dwa Skarby i tysiąc i jedna skłóconych z sobą organizacji jest przecież ponadpartyjne S.P.K. niezawodne i ofiarne. Osobiście jestem przekonany, że ów tysiąc czy dwa tysiące funtów wyłożone na obronę siódemki z ,,Puszczyka" byłyby doskonałą inwestycją, która by nie tylko się zamortyzowała ale przyniosła czysty zysk finansowy. Tego rodzaju akcja byłaby wywołała wielkie wrażenie i polscy ex-kombatanci pomyśleliby z dumą, że przecież mamy przynajmniej jedną organizację na którą warto płacić. Setki a może tysiące tych, którzy dziś w to powątpiewają — wznowiłoby płacenie składek.

Trudno jest oprzeć się wrażeniu, że na szczytach wielu naszych organizacji królują jednostki, które wychowały się w tradycji ideału Ligi Morskiej i Kolonialnej. Członkowie Ligi mieli obowiązek płacenia składek — nie mieli natomiast żadnych praw (z wyjątkiem prawa do noszenia odznaki w klapie marynarki). Owa nierówność pomiędzy obowiązkami a przywilejami była wyrównana tzw. ,,ideologią". Kto płacił składkę ,,budował polską potęgę morską i kolonialną". Tego typu stowarzyszenie jest zorganizowaną zbiórką w permanencji na tzw. ,,cele". (,,Cele" obejmują zwykle pensje kilku czy kilkunastu gentlemenów).

Wydaje się, że dość znaczny procent naszych działaczy w tej perspektywie widzi ideał emigracyjnych stowarzyszeń. Jeżeli się jednak zważy, że bardzo wielu emigrantów należy do brytyjskich ,,unionów", zawodowych stowarzyszeń i organizacji, które wzamian za płaconą składkę dają konkretne prawa, przywileje i korzyści — to trzeba stwierdzić, że znakomity schemat Ligi Morskiej i Kolonialnej nie ma żadnych szans powodzenia w organizacyjnym życiu na emigracji.

LONDYŃCZYK

Kraj

List z Polski

Niezmiernie ucieszył mnie list od Tomasza. Dawno nie miałem tak miłej niespodzianki. Byłem przekonany, że Tomasz już od lat nie istnieje, że pochłonął go Maelstrom wojny ostatniej. Pisany w Polsce stosunkowo niedawno, list ten wędrował po świecie i dotarł do mnie drogą okrężną — przez Chiny i Indie. Mam podejrzenie, że Czeng Li był w tym pomocny, jeśli żyje jeszcze.

Nie jest to właściwie list prywatny, lecz sążnista epistoła na czterdziestu stronicach. Tomasz nie wiele w niej pisze o sobie. Gdy zacząłem odcyfrowywać drobne nieczytelne jego pismo, stanęły mi w pamięci lata młodzieńcze, górne i chmurne, Petersburg krótko przed pierwszą wojną światową, białe noce, cyganeria studencka, nieustające wiece i niekończące się dyskusje, uniwersytet, na którego kilometrowym niemal korytarzu ścierały się wielkie idee. Nie uświadamialiśmy sobie jeszcze w całej pełni sentencji Hegla, że idee mają ręce i nogi, i to jak potężne, zabójcze ! Byliśmy obaj początkującymi terminatorami w olbrzymiej kuźni rewolucyjnej.

Drogi nasze rozeszły się. Po przewrocie bolszewickim spotykałem przelotnie Tomasza w Moskwie, już jako gorącego adepta komunizmu, a później, znowu po długim upływie czasu, zupełnie przypadkowo w Paryżu, w kawiarence Quartier Latin, gdzie przedstawił mi swego przyjaciela Czeng Li, młodego, a bardzo mądrego komunistę chińskiego.

Tomasz był serdeczny, ale dziwnie roztargniony, smętny, jakiś inny, niż dawniej. Zachwycał się Paryżem, który znał dobrze i kochał, jak wymarzone miasto. Czeng Li mówił proroczo o Chinach, uśmiechając się swymi bystrymi oczkami, które znikały w skośnych szparkach. ,,Europa — podrwiwał — raz tylko była zjednoczona i solidarna, gdy na początku tego wieku ekspedycja karna pod wodzą niemieckiego generała, hrabiego Waldersee, krwawo stłumiła nasze powstanie narodowe, splądrowawszy przy tej okazji świątynie Pekinu. Nie znam żadnej innej współpracy europejskiej''.

Przy czytaniu listu Tomasza przypomniała mi się również

inna scena, której byliśmy świadkami. Moskwa, w końcu lat dwudziestych, siarczysty mróz. Sucharewka — targ, gdzie ludzie *ancien régime*'u wyprzedawali za bezcen resztki swych fortun, nędzne okruchy dawnych wspaniałości. Pewnego razu, gdy z kilku kolegami włóczyłem się po Sucharewce, uwagę naszą zwrócił trzęsący się z zimna łachmaniarz o arystokratycznych rysach twarzy. Stał na szarym końcu w długim szeregu sprzedawców. Postawą swą przypominał mi barona ze znanej sztuki Maksyma Gorkiego ,,Na Dnie''. Podzieliłem się mym wrażeniem z Tomaszem. Łachmaniarz rozumiał trochę po polsku. ,,Zgadł pan'' — rzekł. — ,,Niechaj wolno mi będzie przedstawić się. Baron bałtycki Anatolij Orestowicz Osten-Sacken''. ,,Co ma pan baron do sprzedania?'' — zapytałem. ,,Wot eto'' — odpowiedział, wyciągając ze strzępów rękawa jedną kartę. ,,To dama pikowa, towarzyszu. Kupcie ją, dużo ja na niej przegrałem w życiu, może wam przyniesie szczęście''. Biedaczysko nie miał już nic innego do zaofiarowania prócz jednej karty z niezliczonych talij, które przewinęły się przez jego ręce w klubach. Żal mi go było i dałem mu garść rubli za tę symboliczną kartę. ,,Ciekaw jestem'' — zapytałem żartobliwie Tomasza — ,,jaką kartę wy będziecie sprzedawać, chyba asa kierowego?'' Tomasz żachnął się i rzekł: ,,Nieuleczalny utopisto, wciąż bujasz w obłokach i silisz się na dowcipy, nie rozumiejąc tego, co się dzieje dokoła''. Nieraz później wspominaliśmy z kolegami tę pikową damę, wdzięczny temat i tytuł do artykułu. Rozpisywali się o niej korespondenci zagraniczni.

Tomasz X., potomek magnackiej rodziny z Kresów, studiował matematykę i filozofię na uniwersytetach Rosji i Zachodu. Wyróżniał się wśród kolegów kompleksem psychicznym bardzo niepolskim, który w przeciwstawieniu do megalomanii nazwałbym mikromanią. Był skromny, małomówny, nieefektowny. Nienawidził nadętych frazesami patriotycznymi bonzów partyjnych. Jego logiczny, a przekorny umysł, pasja szukania prostych rozwiązań i posiadania zawsze racji, skłaniały go do marksizmu. Rogata dusza szlachecka, wrażliwa na krzywdę ludzką, będąca w ciągłej opozycji do rodziny i bliskiego otoczenia, znajdowała w socjalizmie najlepsze dla siebie ujście. Nie wiem, jaka była jego kariera w Rosji i pod jakim nazwiskiem działał, zanim wrócił do Polski, wydaje mi się cudem, że ocalał w ,,czystkach''. Nic o tym nie pisze w swym liście.

Tomasz był rozkochany w literaturze rosyjskiej, która pociągała go swą mocą, rozmachem i śmiałym stawianiem problemów, nie należał jednak do bezkrytycznych rusofilów. Był czystej wody kosmopolitą i to stanowiło dla niego największą atrakcję w międzynarodowym socjaliźmie. Nie wierzył w żadne inne koncepcje międzynarodowe i miał wstręt do wszelkich nacjonalizmów. Przy tym wszystkim był sentymentalnym i dumnym Polakiem. Znał dobrze kilka języków europejskich i był niezwykle oczytany. Nigdy przedtem nie pisywał do mnie listów. Zachowałem go w pamięci, jako człowieka o nieprzeciętnym wykształ-

ceniu, fanatyka prawdy, upartego ale z dobrym sercem. Staczaliśmy gorące boje dyskusyjne, nigdy nie mogłem zgodzić się z jego doktrynalnym podejściem, ale szanowałem jego poglądy i wyczuwałem w nich szlachetne intencje. Tym cenniejsze były dla mnie jego spostrzeżenia i komentarze w tym niespodziewanym liście, którego wyjątki przytaczam.



„Drogi przyjacielu. Zdziwi cię zapewne list mój. Dowiedziałem się niedawno, że istniejesz i ponosi mnie, by z Tobą pogawędzić, jak za dawnych czasów. Jestem straszliwie osierocony. Obracam się wśród ludzi, z którymi nic już mnie duchowo nie łączy, poza ciężką pracą. Mało kto tutaj w kraju pozostał przy życiu z naszego pokolenia. Młodzi mnie nie rozumieją, trudno znaleźć z nimi wspólny język. Chciałbym po prostu wywnętrzyć się przed Tobą, ja, niegdyś doktryner marksistowski. Po długich doświadczeniach odrzuciłem wiele z tego, w com wierzył i doszedłem do wniosków, które zapewne przypadną ci do serca. Dobrze pamiętam twoje anarchistyczne herezje w podejściu do wielkich problemów społecznych. I ja stałem się heretykiem. Twój Kropotkin miał dużo racji. Po tym, co przeżyłem, co widziałem i widzę dzisiaj nie tylko w Związku Radzieckim i u nas w Polsce, lecz w tendencjach na zachodzie Europy i w Ameryce (szczęśliwie się złożyło, że mogę śledzić waszą literaturę i prasę) nie znajduję innego wyjścia, jak krzewienie anarchizmu, jedynej odtrutki na największą truciznę jaka istnieje, na fetyszyzm państwa, kult scentralizowanej organizacji i władzy, czy jest to władza despotów i dyktatorów, czy też w waszych demokracjach rekinów kapitału, karteli przemysłowych, klik politycznych, potentatów prasy, kina, radia i wszystkich środków masowej sugestii. Piszę to, bo inaczej mógłbyś nie zrozumieć niektórych mych uwag i pomyśleć, że pomieszało mi się w głowie.

Chcę ci również wytłumaczyć na wstępie dlaczego tyle miejsca poświęcam rozważaniom o Sowietach i ogólnej sytuacji światowej, jakkolwiek domyślam się, że ciebie stokroć bardziej interesowałaby w liście z Polski relacja o tym co się tutaj dzieje. Postaram się dać ją w drugiej części mego listu, ale nie podobna traktować spraw tutejszych, jako zjawisk lokalnych w oderwaniu od Związku Radzieckiego i całokształtu sytuacji na świecie. Niech się wam nie zdaje, że my tutaj wskutek trudności kontaktu z zagranicą nic o tym nie wiemy. Śledzimy bacznie rozwój wypadków i na pewno dostrzegamy z daleka wiele rzeczy, których wy z bliska nie możecie dokładnie rozpoznać.

Opowiadano mi kiedyś o właścicielu prosperującego dziennika amerykańskiego, który nabrał takiego wstrętu do rutyny i blagi dziennikarskiej, że sprzedał go i zaczął wydawać pisemko, poświęcone „*information and indignation*". Sam je wypełniał, dając upust temu co naprawdę myśli i czym się oburza.

Chciałbym pójść w jego ślady, choćby w formie listów i mieć rozkosz mówienia niekontrolowanej, niczym nieskrępowanej prawdy. Sądzę, że ciebie i przyjaciół twych zainteresuje, jak patrzą się na sytuację światową ludzie z tej strony „kurtyny”, którzy nie mogą wypowiedzieć się w swoim kraju.

Każda propaganda kłamie i musi kłamać. Czy widziałeś kiedyś kominiarza, który nie zabrudził się przy swej robocie? Informacje o Polsce prasy zagranicznej nie stanowią pod tym względem wyjątku, zaś ludzie którzy stąd uciekają i od których oczekują sensacyjnych rewelacyj, nie mogą być z natury rzeczy bezstronni i muszą koloryzować fakty w ten czy inny sposób. To samo dzieje się *vice versa* z tą różnicą, że obsługa prasowa Związku Radzieckiego i jego satelitów obchodzi się z prawdą stokroć brutalniej, niż prasa na Zachodzie. Wiedzcie jednak, że na ogół, wbrew pozorom, czytająca publiczność po tej stronie, zwłaszcza w Polsce znacznie mniej wierzy swojej prasie i jest bardziej krytyczna, niż odpowiednik jej na Zachodzie.

Zacznę od małego *tour d'horizon*. Przepraszam za uogólnienia, ale jak ich uniknąć w niedoskonałej mowie ludzkiej. Najchętniej pisałbym znakami algebraicznymi. Niestety, nie dają się one zastosować do tego bałaganu. Wybacz mi również chaotyczność myśli i ryzykowność skrótów.



...*Exit* Hitler, weszła na scenę bomba atomowa, *exit* Stalin — weszła na scenę bomba wodorowa. Jeszcze ktoś odejdzie — wejdzie na scenę bomba kobaltowa, czy jakaś inna. I tak dalej w kółko. Poza tym, nie wiele nowego na Zachodzie. Konferencje, targi na boku, stara karuzela frazesów, od których można dostać mdłości, spotkania na wyższych czy niższych szczeblach mężów stanu, przypominają coraz bardziej Augustów cyrkowych, którzy wywijają koziołki, gdy służba uprząta arenę dla nowych popisów.

A na świecie dzieją się rzeczy, z których niedostatecznie zdajemy sobie sprawę. Przyczyny: za dużo władzy, za dużo techniki, za dużo środków zniszczenia, za dużo organizacji, planowania, demagogii, bierności mas ludzkich. Jeden z największych kryzysów w dziejach. Kryzys wszystkich wartości ideologicznych. Żyjemy resztkami twórczości intelektualnej i artystycznej minionych czasów, nie tylko nie wnosząc do nich nic nowego (poza wspaniałymi osiągnięciami fizyki i medycyny), lecz marnując te resztki. Literaturę i sztukę Zachodu końca 19-go wieku nazywano dekadencką, schyłkową. Dzisiaj, w połowie 20-go wieku jest ona stokroć bardziej schyłkowa. Nie ma źdźbła wiary i entuzjazmu. Raj pesymistów. Im więcej myślę o tym, tym bardziej dochodzę do przekonania, że ewolujemy w kierunku nowego kataklizmu, albo jakiegoś cudu renesansowego, bo długo ta depresja trwać nie może. Kataklizmu, w którym zginie cywilizacja Zachodu i Spengler okaże się prorokiem, cudu,

w postaci bezkrwawej likwidacji panujących dziś stadnych morderczych doktryn, jakiegoś powszechnego odrodzenia moralnego. Odpowiesz mi na te ponure refleksje, nie bez pewnej słuszności, że przesadzam, że przeciętnemu człowiekowi na świecie nie jest gorzej, lecz lepiej niż dawniej, że stopa życiowa podnosi się, a niebezpieczeństwo wojny da się zażegnać, że kryzys dotyczy znikomej myślącej mniejszości, bez której ostatecznie ludzkość może się obejść. Tak nie jest, bo nie wolno zapominać, że nie masy, lecz właśnie ta mniejszość zawsze i wszędzie rządziła i rządzi, tworzy cywilizacje, buduje i niszczy, rozstrzyga o losie ogółu. I w tej właśnie mniejszości gnieździ się najgroźniejsze zło; w oligarchiach władzy, kapitału i wysługujących się im ,,klerkach intelektualnych'', zdradzających swoje ideały. Aleksander Herzen, po upadku rewolucji 1848 roku, najtrafniej określił swe rozczarowanie, mówiąc o nieszczęsnych wysiłkach wspaniałej wówczas inteligencji: Widocznie nie jesteśmy lekarzami, lecz sami jesteśmy chorobą!

Zdobyłem tu z wielkim trudem wystrzępioną książkę George'a Orwella, ,,1984''. Zaczytujemy się nią. Jego ponura wizja jest dla nas stokroć bardziej przekonywująca, niż dla was. My ją już dzisiaj odczuwamy...

Są to wszystko rzeczy, które w żaden sposób nie dają się wytłumaczyć dialektyką marksistowską. Moja herezja nie posunęła się wprawdzie tak daleko, bym się nawrócił na jakąś wiarę religijną, ale gdy w czasie okupacji czytywałem Biblię, nieraz olśniewały mnie jej wizjonerskie błyski. Czy jest coś bardziej aktualnego, niż proroctwo Amosa: ,,Oto dni przychodzą, mówi panujący Pan, że poszlę głód na ziemię, nie głód chleba, ani pragnienie wody, ale słuchania słów Pańskich. Tak że się tułać będą od morza do morza, i od północy aż na wschód biegać będą, szukając słowa Pańskiego, wszakże go nie znajdą. Dnia onego pomdleją panienki piękne, nawet i młodzieńcy od owego pragnienia''.

Albo zakaz boski zrywania owoców z drzewa poznania. Gdy zastanawiam się nad głębszym sensem tej alegorii, nad zdobyczami nauki bez postępu moralnego ,nad owocami atomowymi, obawiam się, że nie będziemy spożywać ich w spokoju, że zrywanie ich może sprawić rozkosz tylko siłom szatańskim.

W Związku Radzieckim nie ma hamletyzujących Oppenheimerów, a gdyby się znaleźli, szybko by ich zlikwidowano, jako sabotażystów.

Ale dość już tego kaznodziejstwa. Przejdę teraz do rzeczy bliższych... Nazywacie nas na Zachodzie satelitami. To prawda i inaczej być nie może. W dzisiejszej sytuacji my obracamy się tu w Europie dokoła kolosa Moskwy — do czasu, do czasu, bo w Azji powstają siły olbrzymie — Chiny, Indie, prawie miliard ludzi. Śmieszne jest nazywać ich satelitami. A wy, czy nie jesteście dzisiaj satelitami Ameryki?

Przyjrzyjmy się temu kolosowi. Niech się wam nie zdaje, że panuje tu nienawiść dla Ameryki. Łatwo jest bałamucić tłumy

sloganami propagandowymi, ale nie można długo na nich jeździć. Technokratyczne Sowiety mają największy respekt dla potęgi amerykańskiej. Ale U.S.A. przedstawia dziś obraz niezwykle skłócony.

Największa produkcja, największa konsumpcja, największy potencjał wojenny i największe możliwości ratowania świata od nowych katastrof, najwięcej złota i bomb atomowych, czy wodorowych, największe bezhołowie w polityce zagranicznej, a wewnątrz demokratyczna dżungla, raj prymitywnych demagogów. Wspaniałości techniki obok ubóstwa programu i myśli społecznej, olbrzymia siła, wielki rozmach, połączone z prowincjonalnym konserwatyzmem czy to kapitału, czy mężów stanu o duszach pastorów, zupełna niezdolność do przewodzenia światu antykomunistycznemu, którego nie można zjednoczyć na planach Marshalla czy na innych zastrzykach dolarowych. Amerykański „*blue print mind*" jest pierwszorzędnym wykonawcą i organizatorem wielkiego businessu, ale jak dotąd, okazał się zupełnie pozbawionym wynalazczości w dziedzinie regulowania stosunków międzynarodowych.

A Związek Radziecki? Nigdy jeszcze pozycja jego nie była tak mocna na zewnątrz. W zasięgu jego wpływów znajduje się niemal połowa ludzkości. Jak zwykle, dobrze rozgrywa swą partię, wysoko licytuje, by gdy zajdzie potrzeba, trochę ustąpić. Idiotyzm uzbrajania Niemiec dał mu nowy wymarzony oręż propagandowy do ręki. Mam wrażenie, że na Zachodzie jeszcze niedostatecznie uświadamiają sobie efekt psychologiczny tego szaleństwa, którego żadne argumenty nie usprawiedliwią w oczach najszerszych mas ludzkich, pamiętających ostatnią wojnę.

Wspomniałem wyżej, że pozycja międzynarodowa Związku Radzieckiego jest dzisiaj niezwykle mocna. Inaczej się przedstawia sytuacja wewnątrz tego kolosa, niegdyś na glinianych, później na stalowych, czy stalinowskich nogach. Tu właśnie chciałem podzielić się z tobą garścią uwag.

...Ryby gniją od głowy. Chwilami mam wrażenie, że takie właśnie są perspektywy imperium radzieckiego. To nie masy zbuntują się przeciw komunizmowi. Masy wschodnie są cierpliwe fatalistyczne; znosiły przez tyle wieków carat, pod którym działo im się znacznie gorzej materialnie, niż dzisiaj, mogą więc jeszcze bardzo długo obchodzić się bez wolności politycznych w zachodnim znaczeniu tego słowa. Niegdyś ich potrzeby duchowe zaspakajała religia i dziś zapewne tkwią w nich instynkty religijne, które bolszewicy starali się skierować na bałwochwalstwo wodzów, czy też cudów industrialnych. Najlepszym dowodem tego jest mnożenie się dozwolonych w Sowietach sekt religijnych, m. in. anabaptystów. Ale nie wierzę, iż miliony kształcącej się w Sowietach młodzieży zaspakaja strawa duchowa, jaką karmi ją władza komunistyczna. Ta właśnie nowa sowiecka inteligencja, odgradzana hermetycznie od reszty świata, lecz jednocześnie wychowywana z musu na nauce i literaturze znienawidzonego oficjalnie świata niesowieckiego, powstanie prędzej czy

później przeciw wtłaczanym w nią formułom małej czy dużej politgramoty. Ciemny chłop rosyjski na przestrzeni wieków był zniewoloną ofiarą i carat starał się jak długo mógł, utrzymywać go w ciemnocie. Dzisiaj jest w Sowietach półtora miliona ludzi z średnim i wyższym wykształceniem, a inteligent rosyjski był zawsze rewolucjonistą. Z tej właśnie strony grozi panującemu reżymowi największe niebezpieczeństwo. Rozkład zacznie się u góry, nie koniecznie na najwyższych szczytach Olimpu radzieckiego, lecz wśród młodszego pokolenia inteligencji komunistycznej zarówno w aparacie państwowym, jak i w wojsku. Odpowiesz mi na to, że nie ma najmniejszego powodu, by te właśne żywioły obalały ustrój, który materialnie i moralnie zapewnia im maksimum osiągnięć w życiu. Ci, co tak mówią, lekceważą pierwiastek dynamiczny inteligencji rosyjskiej, a trudno przypuścić, by typ inteligenta rosyjskiego został doszczętnie wytępiony i nie odradzał się w bolszewiźmie. Gdyby tak było istotnie, nie byłoby nieustających ,,czystek'' na wyżynach partyjnych.

Racjonalizm marksistowski jest w gruncie rzeczy obcy mentalności rosyjskiej, która dominuje w konglomeracie Sowietów. Nie wierzę, iż wystarcza jej powodzenie ,,piatiletki'' i rekordy gospodarcze. Tołstoj i Dostojewski, Bieliński i Sołowjow, Czernyszewski, Bakunin, Kropotkin są jej prawdziwszymi wyrazicielami, niż Lenin i Stalin. Jeśli z historii Rosji można czerpać jakieś wskazania, to przede wszystkim tę prawdę, że myśl rosyjska jest irracjonalna, że burzy się przeciw doktrynie i organizacji. Jest ona fanatyczna, prymitywna, religijna, bardziej azjatycka, niż europejska, wybuchowa w zetknięciu się z kulturą Zachodu, światoburcza, nihilistyczna, pełna najjaskrawszych przeciwieństw. Bolszewizm był to wybuch wulkanu po wstrząsie pierwszej wojny światowej, którego lawa rozlała się po świecie. Wodzowie jego z Leninem na czele krwawo opanowali ten wybuch u siebie. Terrorem i niezrównaną propagandą, potężną wolą i błędami swych przeciwników — demokracyj zachodnich — talentem rządzenia olbrzymimi masami i pogardą dla wolności burżuazyjnych stworzyli oni z tej lawy wielkie imperium i potrafili znakomicie wyzyskać jej strumienie poza granicami Sowietów, lecz wulkan dymi się jeszcze. Pochłonął on niemal wszystkich największych wodzów. Pozostała po nich dyktatura bez dyktatora, sztuczny kolektyw epigonów. Jak długo utrzyma się ten stan rzeczy — na pytanie te trudno odpowiedzieć. Ale nie ulega wątpliwości, że kolos sowiecki jest mocniejszy na zewnątrz, niż w swym wnętrzu, i że po śmierci Stalina nastąpił bardzo znamienny zwrot w jego polityce, zwrot w kierunku zmniejszenia agresywności i szukania porozumienia z resztą świata na dłuższy okres czasu.

...Socjalizm zachodnio-europejski różnych odcieni popełnił wspólny błąd, posługując się metodami demokracji burżuazyjnej i starając się za wcześnie dojść do władzy. Wplątał się w sieci parlamentaryzmu z jego arytmetyką wyborczą i kombi-

nacjami partyjnymi, z jego kompromisami i rozgrywkami, zatracając czystość idei dla doraźnych korzyści, i gdy socjaliści zaczęli brać udział w rządach burżuazyjnych lub też sami obejmowali rządy w społeczeństwach niedojrzałych do socjalizmu, niewiele różniąc się w polityce wewnętrznej i zagranicznej od swych burżuazyjnych współzawodników, nastąpiło to, co musiało nastąpić, a mianowicie, że radykalne żywioły robotnicze i inteligenckie zaczęły ciążyć ku komunizmowi, który dla znacznych odłamów proletariatu i inteligencji stał się tym, czym niegdyś był socjalizm.

Podobny błąd lecz w innym kierunku popełnili komuniści sowieccy, również dla doraźnych korzyści, grając na dwóch klawiaturach : komunizmu i nacjonalizmu. Nie ma nic gorszego, niż mieszanki ideowo-społeczne. Mieszanka nacjonalizmu z wypaczonym socjalizmem dała faszyzm i hitleryzm. A mikstura komunizmu z nacjonalizmem i imperializmem, którą spreparowały Sowiety pod dyktaturą Stalina jest materiałem wybuchowym niemniej groźnym, niż bomba atomowa. I na niej najłatwiej mogą się wywalić Sowiety. Dla mnie było jasne, że po dojściu Stalina do władzy zacznie się proces rozkładowy ideowego komunizmu rosyjskiego, który w pierwszym swym okresie — po przewrocie bolszewickim miał wszelkie cechy międzynarodowego socjalizmu. Zrozumiesz teraz dlaczego ja, którego znałeś, jako marksistę, coraz gorzej czułem się w atmosferze stalinizmu i musiałem w końcu całkowicie odsunąć się od niego, zarówno jak inni liczni towarzysze moi, których większość została zlikwidowana...

...Jak widzę z waszej prasy, przyjęło się teraz na zachodzie słowo ,,koegzystencja'' i publicystyka łamie sobie głowy nad pytaniem, czy koegzystencja z Sowietami jest możliwa. Dawniej mówiło się o współpracy pokojowej. Ten stary termin wydaje się widocznie zbyt optymistyczny,mowa jest tylko o współistnieniu.

W swoim czasie, gdy komunizm sowiecki przechodził ciężki kryzys pod znakiem problemu, czy budowa socjalizmu w jednym państwie jest możliwa, Radek dał trafną odpowiedź, twierdząc, że taki socjalizm jest możliwy, ale będzie bardzo kiepski. To samo można powiedzieć i o koegzystencji pokojowej dwóch tak jaskrawo przeciwstawnych systemów, jak komunizm Związku Radzieckiego i demokracje burżuazyjne czy socjalistyczne reszty świata. W zasadzie ich współżycie pokojowe jest niemożliwe, w praktyce można je osiągnąć, ale nie na długą metę, gdyż musi w końcu nastąpić chwila, kiedy Sowiety będą czynnie, to jest militarnie dopomagać komunistom w tych krajach, gdzie komuniści wywołają wojnę domową, jak to było w Chinach, na Korei, w Indochinach itd. Według tezy sowieckiej komunizm szerzy się na świecie nie dlatego, że jest wspierany przez Moskwę, lecz wskutek warunków obiektywnych. Jest w tym oczywiście dużo prawdy, lecz z tą samą słusznością można byłoby utrzymywać, że idee demokracji zachodniej szerzyłyby się w Rosji, nie mówiąc już o satelitach, gdyby w krajach tych panowała taka

wolność polityczna, jak na Zachodzie. Wobec tego, że jest to nieosiągalne bez rewolucji w Sowietach, jedynym sposobem wyrównania szans obu systemów byłoby przejęcie przez Zachód metod sowieckich to jest likwidowanie komunizmu siłą i terrorem, jak zlikwidowana została opozycja w Sowietach. Ponieważ metody takie nie dają się zastosować na Zachodzie, byłoby to bowiem zupełną kapitulacją demokracji, koegzystencja pokojowa może trwać tylko, dopóki komuniści poza Sowietami nie są zdolni do wywołania przewrotu...

...Są sytuacje w których rzeczą najmądrzejszą jest ich przeciąganie, a nie przerywanie z tej prostej przyczyny, by nie było jeszcze gorzej. Zimna wojna jest zawsze lepsza od gorącej, a zła granica od wojny. Jesteśmy tutaj przekonani, że ani w Sowietach, ani w Stanach Zjednoczonych A.P. nie ma na czołowych stanowiskach ludzi, którzy chcieliby wywołać prewencyjną wojnę, choćby byli najgłębiej przekonani, że prędzej czy później musi ona wybuchnąć. Sprowokowanie jej nie leży w niczyim interesie — poza przemysłem zbrojeniowym, który zresztą doskonale prosperuje i przy zimnej wojnie — a dla zaspokojenia pewnych odłamów opinii wystarcza bojowa propaganda, w której znajduje ujście emocjonalna strona konfliktu dwóch wielkich bloków, na które świat jest podzielony.. .



...Nie wiem czy byłeś w Polsce po wojnie i kiedy, ale przypuszczam, że masz ogólne pojęcie o tym, co się u nas dzieje. Nie będę się więc szczegółowo rozwodzić nad faktycznym stanem rzeczy. Czytałem dużo korespondencji i artykułów o Polsce w prasie zagranicznej i polskiej emigracyjnej, ale stosunkowo rzadko natrafiałem na obiektywne relacje, czemu się zresztą nie dziwię, bo nie łatwo jest zagranicznym obserwatorom zorientować się dokładnie w nastrojach społeczeństwa i otrzymywać wiarygodne informacje.

Wkrótce odbędą się tutaj uroczystości dziesięciolecia obecnego reżymu. Trudno zaprzeczyć, że w dziedzinie produkcji przemysłowej, oświaty, odbudowy kraju i zdrowia publicznego bilans ostatnich dziesięciu lat w Polsce przedstawia się bardzo dodatnio.

Można kwestionować, czy jest to zasługa reżymu komunistycznego, czy w ustroju demokratycznym nie zostałyby osiągnięte większe jeszcze rekordy, czy *post hoc* jest tu *propter hoc,* ale każdy rząd księguje na swoją korzyść wszelkie pozytywne dokonania społeczeństwa w czasie gdy sprawował władzę. Zresztą trudno mówić o dobrej czy złej gospodarce w kraju, znajdującym się w całkowitej zależności od obcego mocarstwa. Jest ona taka, jaka być musi, a różnice mogą jedynie dotyczyć bardzo wąskiego marginesu w realizacji, dostosowanego do wymagań Z.S.R.R. planu oraz w sprawności aparatu administracyjnego. Wszystko planowane i budowane jest tutaj w ścisłym związku

z bieżącymi lub ewentualnymi zapotrzebowaniami Sowietów, a każda zmiana, jaka tam zachodzi musi odbijać się w życiu gospodarczym Polski. Ostatnio, po śmierci Stalina, dużo mówi się o pewnej liberalizacji kursu w stosunku do państw satelickich, ale jak dotąd nie daje się to odczuć. Należy jednak podkreślić pewne niewątpliwe korzyści, jakie daje gospodarczo Polsce wciągnięcie jej do bloku państw, kontrolowanych przez Związek Radziecki. Otwierają się dla niej wielkie perspektywy na Dalekim Wschodzie. Już carska Rosja była Ameryką dla przedsiębiorczości przemysłu i handlu Królestwa. Inżynierowie polscy odgrywali w niej wybitną rolę. Daleki Wschód był poważnym rynkiem eksportu dla Królestwa. Ale było to rzeczą małą w porównaniu z możliwościami, jakie stwarza pod tym względem wyzwalająca się Azja, zwłaszcza Chiny. Oczywiście, system sowiecki uniemożliwia wolność inicjatywy krajów satelickich, lecz, mimo to, nowe kontakty gospodarczo-kulturalne, jakie nawiązane zostały z olbrzymim rezerwuarem ludzkim Azji, dają szanse polskim eksporterom i siłom fachowym, jakiej dawniej nie było na tak wielką skalę. Stosunki handlowe Polski z krajami azjatyckimi stale się rozszerzają. Te właśnie ,,wyrąbywanie okna'' do Azji stanowi pewną kompensatę za ,,żelazną kurtynę'', oddzielającą ją od zachodniej Europy. Jeśli dodać do tego, że obecny kurs Sowietów zdradza pewne złagodzenie, perspektywy, o których wspomniałem, wydadzą się bardziej jeszcze obiecujące. Lecz szeroka opinia publiczna w Polsce nie bardzo wierzy w trwałość tego złagodzenia, do którego odnosi się z tradycyjną nieufnością.

Przeszło sto lat temu wielki liberał rosyjski Czaadajew pisał w swych ,,Listach filozoficznych'': ,,Na przekór wszelkim prawom o koegzystencji ludzkiej Rosja rozwija się tylko w kierunku własnego ujarzmienia i ujarzmienia innych narodów''. Słowa te zachowały swą aktualność, jakkolwiek ujarzmienie występuje pod innym szyldem. Jak wszystko, co dotyczy Rosji problemy te są pełne paradoksów i komplikacyj....

Opuszczam długie wywody Tomasza na temat niezrozumienia Rosji i bolszewizmu przez świat zachodni i bankructwa tego, co nazywamy polityką międzynarodową. Twierdzi on, że gdyby przedstawiciele jakiegoś innego zawodu popełniali tyle błędów, ile popełnili mężowie stanu zachodnich demokracyj, szczególnie w swej polityce ślepego oportunizmu i sromotnych ustępstw wobec Niemiec i Sowietów, prowadząc swe miłujące pokój narody do coraz straszliwszych katastrof wojennych i marnując zwycięstwo w wojnie ostatniej, uprawianie takiego zawodu byłoby uważane za przestępstwo stokroć cięższe, niż handel żywym towarem. Pisze on to, by uzasadnić rozgoryczenie zwolenników ,,zachodniej orientacji'' w Polsce, które zatacza coraz szersze kręgi. Przechodzi on następnie do uwag mniej ogólnikowych, kreśląc obraz nastrojów i stosunków w Polsce, nie tylko politycznych. Ku wielkiemu memu zdziwieniu wpada miejscami w ton inny, lżejszy, niepozbawiony ironii i sarkazmu.

,,Gdyby Polska — pisze — była krajem tropikalnym i obywatele mogli chodzić w adamowym stroju, byłoby tu znacznie lepiej. Zarobki starczą od biedy na życie, a na przyzwoite ubranie i wiele innych niezbędnych rzeczy poza żywnością trzeba zarabiać dodatkową pracą ponad siły. Obywatel musi się jak najbardziej obywać dla dobra przyszłych pokoleń. Paczki od krewnych i przyjaciół z burżuazyjnej części świata ratują dziesiątki tysięcy ludzi, zwłaszcza starszych. Jedną z najbardziej pożytecznych nauk jest dziś w Polsce paczkologia. Niemniejszą bolączką, niż problem odzieżowy jest sprawa mieszkaniowa. Niestety, mieszkań nie można otrzymywać w paczkach z zagranicy. Państwo buduje olbrzymie osiedla-falanstery, a trzeba czekać lata, by zdobyć najskromniejsze mieszkanko. Dostępne to jest tylko dla członków takiego czy innego kolektywu, przede wszystkim dla urzędników państwowych i dla uprzywilejowanych zawodów w kolejności hierarchicznej, według metody przyjętej w Sowietach. Czy wolno krytykować? Również, według wzorów radzieckich, dopuszczalna jest ,,samokrytyka'' to znaczy wzajemne wytykanie sobie błędów przez ludzi na ,,jednakowym szczeblu''. Niechby kto spróbował krytykować Rokossowskiego lub Bieruta...

List ten piszę w miesiącu ,,ruskim''. Tak lud nazywa świętowany obecnie tzw. miesiąc przyjaźni polsko-radzieckiej. Nie wyczarują tej przyjaźni tysiące akademij, odczytów, koncertów i różnego rodzaju uroczystości, do udziału których zmusza się społeczeństwo, poczynając od dzieci szkolnych, a kończąc na obywatelach w sędziwym wieku. Cała armia prelegentów wynosi pod niebiosa Sowiety i przeklina faszystowski Zachód. Zmobilizowane zostały wszystkie ośrodki propagandy, specjalne ekipy łączności miasta ze wsią objeżdżają kraj, by nie było zakątka, gdzie nie rozlegałyby się hymny pochwalne na cześć Związku Radzieckiego.

Wiesz dobrze, że nie byłem nigdy wrogiem Rosji, ale to, co się tutaj dzieje, robi ze mnie szowinistę polskiego. Diabli mnie biorą, ile razy patrzę się na ten dar Sowietów tzw. Pałac Kultury, piramidę na wieczną pamiątkę Stalina, która rozparła się w samym sercu Warszawy i panuje nad miastem. Krąży po Warszawie dowcip, że ten pałac to kara Boża za zburzenie Soboru. W danym wypadku jest jednak pewna okoliczność łagodząca. Trudno było rządowi tego daru nie przyjąć. Co innego uprawiana przez rząd kampania wychowawcza, której nie można nazwać inaczej, jak próbą rusyfikacji kraju, oczywiście nie językowej, lecz kulturalnej i duchowej przy pomocy prasy, radia, kina, teatru, literatury itd. Być może, na początku była presja ze strony Moskwy w tym kierunku, ale jestem przekonany, że później większą rolę odegrała w tym służalczość reżymu, zwłaszcza jego funkcjonariuszów propagandowych, często ludzi udających tylko komunistów, którzy wykonywują swe obowiązki z bezprzykładnym cynizmem. Zaryzykowałbym twierdzenie, że opór

szerokich mas ludowych w Polsce przeciw komunizmowi jest mniejszy, niż przeciw jego rusyfikatorskiej nadbudówce.

...Stare rządy carskie miały jedną mądrą zasadę. Nie wolno było krytykować rządów, ale nie zmuszano prasy, by gloryfikowała je. Za cara Mikołaja I-go wyszedł nawet dekret zabraniający tego. Wychodzono wówczas z założenia, że najłatwiej i najdłużej można rządzić obojętnymi, nie urabianymi przez żadną propagandę masami. Tę samą zasadę stosowano i do narodów podbitych. Prasa polska w Królestwie obowiązana była zamieszczać tylko komunikaty urzędowe. Rządy carskie nie domagały się od niej artykułów, wychwalających dobrodziejstwa niewoli. Gdyby w Polsce dzisiejszej nie karmiono bezustannie publiczności panegirykami na cześć reżymu, stosunek społeczeństwa do niego byłby może trochę mniej ujemny. Niedawno w jednym z teatrów warszawskich wystawiono sztukę tego rodzaju, której zadaniem była (bo wszystko musi mieć tu zadanie) gloryfikacja Urzędu Bezpieczeństwa (Bezpieki). Była to zupełna szmira, która po kilku przedstawieniach zeszła z afisza. W kołach teatralnych nazwano to fiasko ,,klapą bezpieczeństwa''. Humoru w Polsce jeszcze nie brak...

...Nie należy jednak, potępiać w czambuł lub wyszydzać wszystkiego co robi ten rząd. W porównaniu z Sowietami, a nawet z innymi demokracjami ludowymi, tutejszy reżym jest bez porównania łagodniejszy, bardziej ludzki. Pod tym względem ma on charakter polski, niesklonny do masowego przelewu krwi. Tu więzi się opozycję, ale nie zabija. Gomółkę i wielu innych odchyleńców zlikwidowano by w Czechosłowacji czy Bułgarii. W kołach rządowych jest sporo jednostek utalentowanych, uczciwych, z poświęceniem pracujących dla dobra kraju, których nie można nazwać agentami Moskwy...

...Nie pamiętam, czyje to *bon mot,* że były trzy epoki w historii : matriarchatu, patriarchatu i... sekretariatu. Sekretariat, mam tu na myśli biurokrację, to potęga we wszystkich ustrojach, szczególnie porewolucyjnych. Jest ona dziś w Polsce dokuczliwa, hamująca rozwój kraju i utrudniająca życie obywateli. Na domiar złego jest przepracowana nie tylko pracą w biurach, lecz szkoleniem się na prawowiernych komunistów. Ta plaga przymusowego szkolenia należy do najgorszych w kraju. Ludzie, którym po ciężkiej pracy odbiera się odpoczynek na indoktrynację komunistyczną, są tak zmęczeni i przybici, że tracą w ogóle zainteresowanie dla spraw publicznych, wpadając w bezwład myślowy, czy też nabierają wstrętu do komunizmu, nawet ci co początkowo ulegali jego urokowi.

Rząd ma wielkie kłopoty ze swą dyplomacją i personelem konsularnym. Może wysyłać zagranicę z całym spokojem tylko ludzi absolutnie pewnych, bo zawsze jest obawa, że emisariusze jego nie wrócą. Z pierwszej kadry dyplomatycznej, składającej się głównie z ludzi, którzy doszlusowali do reżymu mało kto pozostał na stanowisku. Jedni ,,wybrali wolność'', drugich nie wypuszczają z kraju i przenoszą na inne posady. Lecz nie wiele jest

kandydatów pewnych, reprezentacyjnych, znających języki i w ogóle nadających się do dyplomacji. Postanowiono więc nie liczyć się z kwalifikacjami fachowymi i wysyłać ludzi ze sfery robotniczej, ale za to wypróbowanych komunistów. Kilku takich ,,dyplomatów'' jest już na placówkach ,a będzie ich coraz więcej...

...Ucieczki zagranicę wywołują tu różne reakcje, zależnie od danej osoby i okoliczności. Jeśli są to śmiałe wyczyny, ludzie na ogół sympatyzują z uciekinierami. ,,To zuchy'' — mówią. Lecz inne ucieczki, czy też ,,wybierania wolności'' na miejscu, gdy istnieje podejrzenie, że dokonane zostały nie w celach politycznych, lecz dla łatwiejszego życia, są źle widziane i nie rozumieją tutaj, dlaczego robi się z tego zagranicą nieomal ,,bohaterstwo narodowe''.

Radio to broń potężna. Zachód ma w niej przewagę, jak w broni atomowej, ale trzeba się nią umiejętnie, mądrze posługiwać, tym bardziej, że jest to dla szerokich mas w Polsce jedyne źródło niekontrolowanych przez władze wiadomości ze świata. Nie ma zakazu słuchania rozgłośni zagranicznych. Sam nie należę do radiosłuchaczów i nie mam sądu o polskich audycjach Wolnej Europy, B.B.C., ,,Głosu Ameryki'' itd., ale spotykałem się z różnymi krytycznymi uwagami. Wszyscy bez wyjątku podnoszą wysoką wartość informacyj z tego źródła, nie tylko o wypadkach politycznych, lecz o życiu kulturalnym, odkryciach naukowych, literaturze, sztuce, chwalą również audycje dla młodzieży, natomiast wysuwane są zastrzeżenia przeciw stronie propagandowej, zwłaszcza przeciw zupełnie zbytecznemu patosowi frazeologii. Nie trzeba tu nikogo nawracać na patriotyzm.

...Emigracja polityczna jest zawsze skłócona, ale to, co się dzieje w Londynie, jest jakąś ponurą groteską, której sensu nikt nie może tu zrozumieć. Dziwne figle wyprawia historia z Polską emigracją. Skok od Mickiewicza do Mackiewicza — choćby na przestrzeni przeszło stu lat — to gruba przesada...

...Nie łatwo odpowiedzieć na pytanie, jak głęboko zakorzenił się komunizm w Polsce. Liczba członków partii komunistycznej nie daje o tym pojęcia. Jak twierdzą, wyrzucono z partii około 40 procent jej członków, i wciąż odbywają się czystki. Gdyby przeprowadzono obecnie wolne wybory, komuniści zdobyliby najwyżej 25 procent głosów. Młodzież jest bardziej skomunizowana od starszego pokolenia, robotnicy od chłopów, pracownicy umysłowi i aparat administracyjny od robotników. Jeśli podzielimy ogół w Polsce na mniejszość aktywną i olbrzymią większość bierną, powiedziałbym, że układ sił przedstawia się następująco. Wśród mniejszości aktywnej faktycznie lub potencjalnie, to znaczy komunistów u władzy, z jednej strony, i ich zdeklarowanych przeciwników, politycznie myślącej opozycji, z drugiej, siły są mniej więcej równe. Natomiast bierna większość społeczeństwa jest emoncjonalnie antyreżymowa. Składają się na to w dużym stopniu dwie przyczyny natury nieklasowej. Po pierwsze czynnik

religijny, po drugie fakt, że reżym jest narzucony przez Sowiety.

Wpływy Kościoła są nienaruszone, bodaj wzmogły się jeszcze wskutek represyj i prób wywołania frondy wśród duchowieństwa. Ktoś dowcipnie powiedział, że są teraz w Polsce katolicy rzymscy i reżymscy. Ci ostatni to mała grupka bez znaczenia.

Nie zmienia to wszystko faktu, że reżym jest mocny, choć krążyły ostatnio pogłoski, że wynikły tarcia na jego ,,szczytach''. Jeśli tak jest istotnie, byłyby one tylko produktem ubocznym tarć na Kremlu, bo rządzić tu mogą tylko ludzie, którzy cieszą się absolutnym zaufaniem Moskwy. Sytuacja rządów satelickich wydaje się dziś pewniejsza, niż za czasów Stalina, bo wówczas wystarczyło popaść w niełaskę, by stracić władzę, teraz musiałoby to być zdecydowane kolegialnie. Największym mężem zaufania Moskwy jest, oczywiście, marszałek Rokossowski, dlatego też nie ma takiej popularności w wojsku, jaką miał Świerczewski. Krążą o nim uszczypliwe anegdotki. Rokossowski ma brwi wysoko podniesione. Zostało mu to ponoć po ataku zdziwienia, gdy Stalin nagle zamianował go polskim generalissimus'em.

...Ogólne warunki życia w Polsce nie polepszyły się w ostatnich latach, mimo wielkich inwestycyj państwowych. Działa tu nieubłagane prawo ,,krótkiej kołdry''. Gdy naciąga się ją na głowę, ziębną nogi. Wciąż odczuwa się tu dotkliwie brak rzeczy najniezbędniejszych, które trudno dostać, mnóstwa przedmiotów domowego użytku. Podczas gdy w Związku Radzieckim nastąpiła znaczna poprawa pod tym względem, wyraźny zwrot w kierunku ułatwienia i uprzyjemnienia życia, Polski nie stać jeszcze na to. Nie zawsze jest to zresztą winą rządu, który w tych sprawach pozwala na ostrą krytykę swej prasie. Niewiele to jednak pomaga. Cechą chwili obecnej jest ciężka, wyczerpująca praca bez wytchnienia, bez nadziei, że w bliskiej przyszłości nastąpią lepsze czasy...



,,Nie wiem, czy list ten doczytasz do końca'' — pisze dalej Tomasz, wpadając w ton sentymentalny. ,,Wierz mi, że nie jestem grafomanem, ale nie mogłem oprzeć się pokusie podzielenia się z Tobą, stary przyjacielu, moimi myślami po tylu latach... Natrafiłem kiedyś na bardzo trafną definicję metody marksistowskiej, porównywującą ją do młotka, którym kolejarze wypukują przed odejściem pociągu koła parowozu i wagonów, by stwierdzić, czy nie ma w nich jakiegoś pęknięcia. Metoda ta jest bardzo cenna dla badania, ekspertyzy i interpretacji wielu zjawisk. Lecz staje się nieszczęściem, gdy ten młotek używany jest nie do rozjaśniania, lecz do rozbijania głów, do budowy więzień i utrzymania się u władzy. Nie przez labirynt tez i antytez nie przez sadyzm dialektyczny, ani piekło nacjonalizmów prowadzi droga do lepszego świata, lecz przez jedyny prawdziwy socjalizm, socjalizm serca.

...Wątpię, czy Cię kiedyś jeszcze zobaczę. Może wyjadę na Daleki Wschód. A strasznie chciałbym wiedzieć, czy ,,dama pikowa'' przyniosła ci szczęście? Dobrze pamiętam nasze włóczęgi po Moskwie i rozmowę po spotkaniu z baronem w łachmanach. Jakżeż świat się zmienił od tego czasu, ileż to marzeń pochowaliśmy na pobojowiskach ostatniej wojny...''

Tak się kończy list Tomasza.

List ten znacznie okroiłem i ocenzurowałem. Są w nim dłużyzny i miejsca nasiąknięte żółcią. Ale jest to świadek stuprocentowo wiarogodny i mam wrażenie, że dał on wierny obraz atmosfery w Polsce i tego co myślą tam o sytuacji na świecie ludzie o ,,niezniewolonych umysłach''.

LAERTES

Ankieta "Kultury"

CZY PRZEMIANY W POLSCE SĄ ODWRACALNE ?
CEL I CHARAKTER ANKIETY

Tematem ankiety jest problem : ,,Czy przemiany gospodarcze i społeczne, które — okresie 1944-1954 — nastąpiły na terytorium przedwojennego Państwa Polskiego oraz na Ziemiach Odzyskanych — są odwracalne ?'' Celem ankiety jest możliwie najbardziej obiektywna i konkretna odpowiedź na powyższe pytanie.

Redakcja ,,Kultury'' nie wiąże Uczestników ankiety gospodarczo-społecznymi granicami tematu, toteż wszelkie uwagi o przemianach, które zaszły w Polsce — ujęte z innych punktów widzenia (socjologicznego, psychologicznego, politycznego, prawnego itp.) — są także pożądane.

Redakcja nie ma nic przeciwko akcesoryjnemu poruszaniu spraw, związanych z przemianami, mającymi miejsce w innych krajach za Żelazną Kurtyną, prosi jednak o skoncentrowanie się przede wszystkim na zagadnieniach polskich, stanowiących właściwy przedmiot ankiety.

Redakcja ma nadzieję, że ankieta stworzy pewien przyczynek do teorii odwracalności przemian, pożądane jest jednak, żeby pierwiastki teoretyczne *nie* stanowiły punktu ciężkości odpowiedzi : przede wszystkim chodzi bowiem o ujęcie odnośnych problemów w danym konkretnym wypadku.

DZIEDZINY OBJĘTE ANKIETĄ

Dziedziny, o które tu chodzi, są następujące :

(a) Rolnictwo,
(b) Przemysł,
(c) Rzemiosło,
(d) Handel,
(e) Finanse,
(f) Sprawy społeczne.

PYTANIA

Redakcja prosi Uczestników ankiety, aby zechcieli odpowiedziec na wszystkie albo niektóre pytania, dotyczące wszystkich albo niektórych dziedzin:

1) Które z przemian są obiektywnie odwracalne, a które są obiektywnie nieodwracalne?

2) Które z przemian odwracalnych należałoby, po odzyskaniu niepodległości, pozostawić, a które — w drodze odpowiedniej kontr-reformy — uchylić?

3) Jeżeli dana reforma *powinna* być uchylona, to dlaczego? W jakich warunkach? W jakim stopniu? Czym powinien być zastąpiony stan rzeczy, przez nią stworzony?

4) Jeżeli dana reforma *nie* powinna być uchylona, to dlaczego? Czy po odzyskaniu niepodległości pożądany jest stan zbliżony do ustabilizowania się danej przemiany, czy też dalsza ewolucja? Kierunek tej ewolucji?

5) Czy w ogólności możliwy i wskazany jest powrót do przedwojennej struktury gospodarczej i socjalnej? Jeżeli w przedwojennej gospodarce było coś dobrego (złego), to co mianowicie? Na czym, konkretnie, to dobro (zło) polegało?

W INTERESIE JEDNOLITOŚCI FORMALNEJ CAŁEGO MATERIAŁU ANKIETOWEGO JEST RZECZĄ KONIECZNĄ, ABY OPRACOWANIE KAŻDEGO UCZESTNIKA ANKIETY — PRZEZ NIEGO SAMEGO — ZOSTAŁO PODZIELONE NA CZĘŚCI (ROZDZIAŁY) W TEN SPOSÓB, BY W DANYM ROZDZIALE BYŁA MOWA TYLKO O JEDNEJ DZIEDZINIE ORAZ BY ODPOWIEDZI NA RÓŻNE PYTANIA W RAMACH DANEJ DZIEDZINY BYŁY OD SIEBIE ODDZIELONE.

Redakcja prosi Uczestników ankiety, aby zechcieli rozpatrywać pytanie 3) pod dwoma kątami widzenia: przede wszystkim, jaka powinna być zasadnicza treść polityki gospodarczej i socjalnej bezpośrednio po wyzwoleniu, po drugie, jaka powinna ona być w czasie późniejszym, po uzyskaniu jako takiej równowagi ekonomicznej i stabilizacji politycznej.

WAZNE ZAŁOŻENIE

Prosimy Uczestników ankiety, aby Swoje opinie wiązali z warunkami rzeczywiście dziś w Polsce istniejącymi, aby zechcieli pisać przy założeniu, że warunki w chwili wyzwolenia będą te same, co warunki dzisiejsze. (Założenie to jest, oczywiście, nieścisłe, ale jest to jedyna „teza robocza", wyłączająca operowanie nieznaną rzeczywistością w nieokreślonej przyszłości, czego Redakcja chciałaby uniknąć.)

DODATKOWE OPINIE UCZESTNIKÓW ANKIETY

Jeżeli pewne opinie czy uwagi nie mieszczą się w ramach, określonych przez powyższe ,,Dziedziny'' i ,,Pytania'', to prosimy o łaskawe podanie tych dodatkowych wypowiedzi osobno pod tytułem ,,Dodatkowe uwagi''.

FORMA I CHARAKTER ODPOWIEDZI

Wchodzą w rachubę zarówno artykuły jak i krótkie notatki. Zarówno wypowiedzi zdecydowane jak i rozważania hypotetyczne. Zarówno pozytywne koncepcje rozwiązywania problemów, o które chodzi, jak i samo stawianie odnośnych problemów.

PERSONALIA

Redakcja zamierza zaznaczyć przy nazwiskach Uczestników ankiety wzmiankę o Ich stanowisku względnie rodzaju pracy przed wojną i po wojnie. Dla uniknięcia nieścisłości, prosimy o odnośne dane.

NAGRODY

Uczestnikom ankiety których odpowiedzi — dające najjaśniejszą orientację w omawianej sprawie — będą wydrukowane w ,,Kulturze'' Redakcja wypłaci honoraria autorskie. Autorzy wszystkich nadesłanych opinii otrzymają bezpłatny egzemplarz ,,Kultury'', omawiający ankietę.

TERMIN NADSYŁANIA ODPOWIEDZI

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa z dniem 1 kwietnia 1955. Odpowiedzi należy kierować do redakcji ,,Kultury''.

Europeizacja Saary

SAARA

Przede wszystkim kilka słów informacyjnych. Powierzchnia Saary wynosi tysiąc mil kwadratowych, ludność — 900 tysięcy. Geograficznie Saara stanowi enklawę, wciśniętą pomiędzy Francję, Niemcy i Luxemburg. Ekonomiczna charakterystyka tego

kraiku wyraża się najogólniej w tym, że jest on częścią skomplikowanego organizmu gospodarczego Ruhra-Luxemburg-Lotaryngia. Sieć tamtejszych stalowni, dookoła zagłębia węglowo-stalowego, należy do sześciu państw: Francja z Saarą, Niemcy, Holandia, Belgia i Luxemburg.

Saara jest klasycznym krajem ciężkiego przemysłu: stalowego i węglowego. Produkcja ciężkiego przemysłu, obrazowo mówiąc, wynosi 50 % globalnej produkcji, eksport ciężkiego przemysłu wynosi 2/3 całego eksportu. W cyfrach absolutnych produkcja ta nie jest oczywiście wielka, np. w roku 1953 Saara produkowała (średnio miesięcznie) tylko 224 tysiące ton stali i 1.368 tysięcy ton węgla. Ale jak zobaczymy poniżej, właśnie ta ilość stanowi w pewnym sensie języczek u wagi w stosunkach francusko-niemieckich i dlatego urasta do rzeczy bardzo ważnej w sensie politycznym.

Zagadnienie stali i węgla w nowoczesnym gospodarstwie europejskim rozwija się na tle historii stosunków politycznych niemiecko-francuskich w sposób nieuchronnie, raz po raz, zazębiający się o Saarę. Niemcy dwukrotnie, w 1870 i 1940, ustaliły jedność polityczną Saary ze sobą, gdy w tych latach anektowały Lotaryngię. Francuzi ze swej strony usiłowali odbudować jedność swego państwa z Saarą. To im się udało w tym sensie, że w nowszych czasach — poza okresem 1935-1940, gdy za sprawą Hitlera Saara poszła *zarück zum Reich* — była ona na ogół w orbicie francuskiej. Ale będąc francuska, choćby tylko w sensie ekonomicznym, nie przestawała jednak być jedną z kości politycznej niezgody pomiędzy Niemcami i Francją, gdyż Niemcy nigdy nie zapominają o prawach, które uważają za swoje prawa historyczne, a przycichają na ten temat tylko w okresach bezpośrednio poklęskowych.

Po drugiej wojnie światowej Francja nie anektowała Saary, ale ugruntowała w niej decydujące swoje wpływy. Powstał stan rzeczy, który ewoluował, a ostatecznie zaskrzepł w formach, które można by scharakteryzować w sposób następujący: 1) Saara odłączona politycznie od Niemiec, 2) połączona ekonomicznie z Francją poprzez walutę, związek celny i przynależność do francuskiego systemu komunikacyjnego, 3) Saara ma autonomiczne ustawodawstwo w pewnym zakresie i własny rząd, choć jej status państwowy nie został wyraźnie postawiony, 4) Francja kontroluje sprawy zagraniczne Saary, 5) rząd francuski jest właścicielem saarskich stalowni, 6) saarskie kopalnie węgla są w długoterminowym *lease* (dzierżawie) Francji, która je prowadzi i administruje i których inwestycje finansuje.

FRANCUSKI PUNKT WIDZENIA

Według międzysojuszniczego porozumienia w sprawie reparacji Francuzi mieli prawo zdemontowania, w szerokim zakresie, urządzeń technicznych w stalowniach Saary. Nie wykorzy-

stali tego prawa, pozostawili stalownie w całości, ale za to skonfiskowali je. Dziś rząd francuski ma np. 60 % udziału w zakładach Völklingen i 40% w Röchling i Neukirchen, ma w swym ręku wszystkie stalownie poniemieckie. Poczucie rządu francuskiego, że konfiskując przemysł po-niemiecki, postąpił słusznie, wynika nie tylko z prawa do otrzymania reparacji, ale także z faktu, że gdy Anglia i U.S.A. w latach 1947-1948 zgodziły się na ekonomiczną integrację Saary z Francją, to kwota francuskich odszkodowań została obniżona w stopniu nader istotnym. Oto jakby historyczny, z wojny się wywodzący, argument Francji na rzecz jej polityki w stosunku do przemysłu stalowego w Saarze.

Głównym jednak argumentem francuskiej tezy o łączności ekonomicznej Saary z Francją, jest wielkiej wagi fakt, który można zilustrować np. na cyfrach następujących. W roku 1953 średnia miesięczna produkcja przemysłu stalowego i węglowego, w tysiącach ton wynosiła:

Kraj	*Stal*	*Węgiel*
Francja	833	4.382
Niemcy	1.285	10.373
Saara	224	1.368

Z powyższego widać, że tylko dzięki produkcji Saary Francja może uzyskać stalowy, a więc i polityczny, parytet z Niemcami. Jeszcze w roku 1952 *Economist,* referując francuski sposób rozumowania, pisał: ,,Gdyby Francja i Niemcy jutro uruchomiły plan Schumana, to niemiecki udział w ogólnej puli stal-węgiel wynosiłby 35 %, francuski 34 %. Gdyby zaś Saara wróciła do Niemiec, udział francuski byłby 27 %, niemiecki 42 %. To oznaczałoby nie spółkę lecz uciemiężenie''. W zbliżony do tego sposób wypowiada się *van Naters,* który z ramienia Rady Europy opracował głęboko pomyślany plan rozwiązania problemu Saary. Twierdzi on, że przy koncepcji Saary ekonomicznie francuskiej udziały we Wspólnocie Stalowo-Węglowej są: Francja 32%, Niemcy 45%. Gdyby zaś Saara wróciła do Niemiec, to udziały byłyby: Francja 27%, Niemcy 53%. Jak widzimy, *van Naters* przedstawia sprawę jeszcze bardziej dla Francji pesymistycznie niż *Economist* na wypadek przyznania Niemcom parytetu ekonomicznego w Saarze. Raport *van Natersa* znakomicie wzmacnia tezę francuską.

Są też i inne argumenty na rzecz prymatu gospodarczego Francji w Saarze. Francja importuje z Saary węgiel w zakresie 1/3 całego swego importu węglowego oraz importuje stamtąd 1/6 całego importowanego przez się koksu, jest więc doskonałym odbiorcą Saary. Z drugiej strony Francja jest też wielkim dostawcą Saary, której dostarcza około 100% rudy żelaznej. Saara ekonomicznie bardziej bodaj zależy od Lotaryngii niż nawet od koksującego węgla Ruhry.

Inne, nie-ciężkie, przemysły powojenne Saary mają we Fran-

cji o wiele lepsze rynki zbytu niżby miały w Niemczech : nie ostałyby się w ramach państwa niemieckiego, gdyż nie mogłyby sprostać konkurencji niemieckiego przemysłu. Dalej, Saara jest ważnym rynkiem dla francuskich produktów rolnych. Produkuje ona zaledwie 1/15 potrzebnej żywności : oczywiście Francja może Saarę łatwiej wyżywić niż Niemcy, które produkują tylko 65% żywności koniecznej dla swych własnych potrzeb. Tak więc całokształt motywów gospodarczych przemawia za ekonomiczną integracją Saary z Francją z tym, że organiczna jedność saarskiego węgla i lotaryńskiej rudy jest motywem głównym. Ale w ogólnej hierarchii motywów jeszcze wyżej stoi oczywiście motyw polityczny, którym Francja operuje, a który cała Europa Zachodnia musi uznać i uznaje : chodzi o parytet, co najmniej o parytet stalowy Francji z Niemcami.

NIEMIECKI PUNKT WIDZENIA

Podczas gdy dla Francji zagadnienie Saary jest w swej istocie ekonomiczne a polityczne tylko pośrednio ze względu na wojskowe znaczenie przemysłu stalowo-węglowego, to argumenty niemieckie, które rozbrzmiewają w tej sprawie, są niemal czysto polityczne.

Niemcy przyznają, że Saara ma dla nich małe znaczenie gospodarcze. Prawda, że tu i owdzie słyszy się narzekania na to, że stopień rozwoju przemysłu niemieckiego, mimo olbrzymich postępów w tej dziedzinie, jest niedostateczny bo w porównaniu do roku... 1913 pozostaje w tyle za stopniem rozwoju przemysłów Francji i Anglii w stosunku do tegoż 1913 roku. Niemcy mówią też, że Ruhra po wojnie o wiele mniej zmodernizowała swój przemysł niż Francja, która wykorzystała powojenne trudności Niemiec oraz miała pomoc Marshalla, więc Niemcom należy się teraz jakieś sprawiedliwe wyrównanie poprzez parytet ekonomiczny w Saarze. Ten argument w ustach agresora, który przegrał wojnę, jest oczywiście nonsensem mimo, że brzmi ,,ekonomicznie''.

Główna treść tezy szowinistów niemieckich jest następująca: ludność Saary mówi po niemiecku, żyje na sposób niemiecki, czuje się niemiecka, więc jest niemiecka a co za tym idzie miejsce Saary jest w państwie niemieckim. Niemieckość Saary jest faktem, którego Francuzi nie kwestionują, tak jak rozumni politycy niemieccy w gruncie rzeczy nie kwestionują zasadności francuskiego prymatu ekonomicznego w Saarze i dziś nie domagają się już powrotu jej do państwa niemieckiego.

Najkonkretniejszy motyw niemiecki natury czysto politycznej jest jednak ten, że Niemcy boją się iż europeizacja Saary, przecząca zasadzie *zurück zum Reich* może stanowić precedens w sprawie Odry-Nisy. Przemysł niemiecki ma ponadto swoje specyficzne powody do goryczy, gdy słyszy, że wielkie stalownie, na przykład Röchling, mają być kontrolowane przez

Schneider-Creuzot. Nie bez słuszności mówi się zresztą: ,,Kto ma w ręku Völklingen, ten włada Saarą''. Tym żałosnym myślom ciężkiego przemysłu niemieckiego wtóruje niemiecka socjaldemokracja, która jest dosyć opozycyjna, aby utrudniać rozwiązanie problemu Saary, ale za mało socjalistyczna, aby rozumieć, że dla socjalistów to właściwie wszystko jedno, czy dane pakiety akcji przemysłowych znajdują się w rękach baronów Ruhry czy magnatów Lotaryngii.

SAARSKI PUNKT WIDZENIA

Ten jest najłatwiejszy do uchwycenia. Na zapytanie: do kogo chce należeć, do Francji czy do Niemiec, ludność Saary rozmaicie odpowiadała. Będąc, jak powiedziano, niemiecką w duszy, wyzwoliła jednak swą duszę z wszelkich kategorii patriotyczno-państwowych. Ludność ta idzie po prostu za swym interesem ekonomicznym: chce być w tym państwie, które jej gwarantuje większą prosperity.

W roku 1935 Hitler przyrzekał Saarze wielki dobrobyt w ramach wielkiej Rzeszy. ,,Za 10 lat nie poznacie swego kraju'', mówił. Przeprowadzono w tymże roku plebiscyt: 91% ludności głosowało za włączeniem Saary do *Reichu*. Hitler zamknął granicę saarsko-lotaryńską, to znaczy odciął Saarę od jej naturalnych źródeł żywności i rudy żelaznej. Deportował część ludności do innych części Niemiec. Spowodował daleko idące zubożenie Saary przez nieliczenie się z jej interesami. Po dziesięciu latach obywatele Saary rzeczywiście nie poznali swego kraju.

Po wojnie zrujnowane państwo niemieckie nie przedstawiało żadnej siły atrakcyjnej dla ludności Saary, nie mogło jej dać żadnych perspektyw dobrobytu. Francja natomiast szybko i dużo zrobiła na rzecz podniesienia gospodarki Saary. Nastroje saarskie zaczęły się przesuwać w kierunku łączności ekonomicznej z Francją. W wyborach 1952 do saarskiego *Landtagu*, mimo propagandy niemieckiej za bojkotem wyborów, głosowało 93% osób uprawnionych a przeciwnicy inkorporacji Saary do Niemiec otrzymali 88% wszystkich ważnych głosów.

Dziś hasłem jest europeizacja Saary. Dla apolityczno-praktycznych mieszkańców tego kraju europeizacja równa się, i słusznie, zachowaniu korzyści gospodarczych, wynikających z ekonomicznej integracji z Francją, plus korzyści, które wynikną ze zliberalizowania handlu z Niemcami. Korespondent B.B.C. zapytał niedawno dwóch ludzi, premiera i przywódcę opozycji w Saarze, jakby ich zdaniem wypadło dziś głosowanie w sprawie europeizacji, ile procent byłoby ,,za''. Zgodna odpowiedź była: 90 procent.

Te trzy cyfry: 91% za Hitlerem w 1935, 88% za Francją w 1952 i prawdopodobnie 90 % za europeizacją w 1954 charakteryzują wymownie stanowisko ludności Saary.

POROZUMIENIE I JEGO ZNACZENIE

Wziąwszy pod uwagę rzeczywistość ekonomiczną i polityczną, opisaną powyżej, Francja i Niemcy, zawarły kompromis, dający każdej stronie maksimum osiągalnych korzyści bezpośrednich i pośrednich. Niemcy zyskały suwerenność państwową, Francja obroniła swe żywotne interesy ekonomiczne i polityczne, Europa Zachodnia, jako całość, spełniła pierwszy warunek swego bezpieczeństwa. Saara otrzymuje statut europejski w ramach Unii Zachodnio-Europejskiej z tym, że Komisarz Europejski Saary, reprezentujący jej interesy w dziedzinie polityki zagranicznej i obrony, nie będzie ani Francuzem, ani Niemcem, ani obywatelem Saary. Rząd saarski będzie miał zapewnione szerokie pole działania poza dziedziną spraw zagranicznych i obrony. Istniejąca unia ekonomiczna Francji z Saarą zostaje zachowana z tym, że celem jest stworzenie stosunków gospodarczych niemiecko-saarskich na podobieństwo francusko-saarskich i że chodzi o stałe rozszerzanie współpracy gospodarczej pomiędzy Francją, Niemcami i Europą. Umowy wykonawcze, wynikające z układu, nie będą szły w kierunku, który by przesądzał charakter bilansu płatniczego pomiędzy francuskim obszarem frankowym a Federalną Republiką Niemiecką. W tych kilku słowach można by streścić istotę osiągniętego ostatnio przez Francję i Niemcy porozumienia, któremu U.S.A i Wielka Brytania dają swoje placet i zobowiązują się współdziałać we wprowadzeniu go w życie.

Układ ten, podpisany w Paryżu, wejdzie w życie po ratyfikowaniu go przez parlamenty francuski i niemiecki i po przyjęciu przez referendum w Saarze. Ratyfikacja francuska i saarskie ,,za'' są rzeczą niemal pewną, natomiast ratyfikacja niemiecka taką nie jest. Opozycja niemiecka przeciwko układowi jest bowiem silna, nawet we własnej partii Adenauera. Trudno więc twierdzić, że porozumienie stanie się rzeczywistością : nie mów hop, póki nie przeskoczysz przez ratyfikację. Ale przy założeniu, że układ wejdzie w życie, można go oczywiście już dziś ocenić.

Znaczenie to jest już niewątpliwie bardzo wielkie, może nawet przełomowe w dziejach Europy. *Schuman* powiedział, że Saara może być albo barierą, wrogo oddzielającą naród francuski od niemieckiego, albo łącznikiem tych dwóch narodów. Tak jest istotnie. Poprzez lata była ona jednym z głównych czynników, utrudniających organizowanie Europy, ostatnio zaś, w sposób dramatyczny, znów się zarysowało powiązanie problemu Saary ze sprawą bezpieczeństwa narodów Europy. Prawda, że przede wszystkim angielska koncesja na rzecz czynnego zaangażowania się w bezpieczeństwie kontynentu europejskiego zadecydowała o pomyślnym przełomie w rokowaniach paryskich, ale również jest prawdą, że Unia Zachodnio-Europejska nie mogłaby powstać nawet z udziałem Anglii, gdyby nie osiągnięto francusko-niemieckiego porozumienia w sprawie Saary. Tak więc jeszcze

raz okazało się, że mała Saara jest wielkim zagadnieniem europejskim, a przez to nawet światowym. Pozytywne znaczenie układu po wprowadzeniu go w życie mogłoby zostać przekreślone tylko w tym wypadku, gdyby Niemcy po-adenauerowskie w imię ,,pokojowego zjednoczenia swego kraju'', postawiły na kartę sowiecką i ostatecznie zostały skomunizowane.

Można przypuszczać, że europeizacja Saary, o ile temu towarzyszy rzeczywiste zlanie się ciężkich przemysłów Francji i Niemiec, oznacza, że wojna niemiecko-francuska staje się prawie fizyczną niemożliwością i że szanse współpracy gospodarczej francusko-niemieckiej znakomicie wzrastają, natomiast sowieckie szanse osłabienia Europy maleją. Równocześnie wzrastają też szanse planowania gospodarczego w skali europejskiej : Saarę nieraz nazywano ,,kluczem do europejskiego planowania gospodarczego''. Im dłużej trwać będą dobre stosunki francusko-niemieckie, tym bardziej będzie się konsolidował europejski charakter autonomicznej Saary, tym bardziej okrzepnie kiełkująca dziś integracja Europy. Zjawisko to, o ile uzyska dostateczny ciężar gatunkowy wpłynie nieuchronnie na politykę sowiecką : albo ją skłoni do zmiany stanowiska w sprawie zjednoczenia Niemiec w sensie pożądanym dla Zachodu, albo w sensie... tym bardziej aktywnego rozbijania dokonanego w Paryżu dzieła.

Układ paryski będzie też miał prawdopodobnie pewne bezpośrednie, szybkie następstwa w stosunkach francusko-niemieckich. Już się wyłaniają stare wspólne problemy gospodarcze jak np. ,,odwieczny'' problem regulacji Mozelli — problem nietrudny pod względem technicznym, ale kontrowersyjny ekonomicznie ze względu na interesy stron. Wyłonią się sprawy, związane z potrzebami inwestycyjnymi samej Saary, które mogłyby najskuteczniej być obsługiwane przez skombinowane kapitały francusko-niemieckie. Może wchodzą też w rachubę francusko-niemieckie inwestycje kapitałowe w północnej Afryce w zakresie budowy fabryk samolotów, co kiedyś proponował Schuman itd. Ale przede wszystkim układ stworzy pole do szybkiego rozszerzenia handlu francusko-niemieckiego z obustronną korzyścią. Że wzajemne korzyści handlowe mogą szybko być realizowane na podstawie układów życiowo mądrych, mieliśmy niedawno dowód w postaci rozwoju handlu węglem wewnątrz Wspólnoty Stalowo-Węglowej : w okresie pierwszych dziesięciu miesięcy roku 1953 handel ten wzrósł o 20% w stosunku do takiegoż okresu 1952, odkąd został zliberalizowany.

Obok gospodarczego zbliżenia, nastąpi też niewątpliwie i zbliżenie kulturalne pomiędzy Francją i Niemcami, o czym świadczą wydane ostatnio wspólne komunikaty francusko-niemieckie. Powojenne oddalenie się tych krajów w sensie kulturalnym było wyraźne i duże, co nie jest rzeczą dziwną, gdy wziąć pod uwagę ostatnie dwie wojny.

I wreszcie — rzecz to wielkiej wagi — rozwiązanie zagadnienia Saary jest blisko skuzynowane ze zmianą stosunku Anglii do spraw kontynentu europejskiego. *Reynaud* dowcipnie kiedyś

powiedział o Anglikach: „Mówią nam oni: drodzy Francuzi, idźcie naprzód, weźcie na siebie ryzyko, zróbcie brudną robotę w Domu Europy. Jeżeli okaże się on wygodny, to przyjdziemy i zamieszkamy w pokojach dla nas zarezerwowanych. A jeżeli dom zawali się nad waszą głową, to z największym żalem weźmiemy udział w waszym pogrzebie". A oto poprzez małą Saarę przyszła do Wielkiej Brytanii świadomość Konieczności Europejskiej. Byłoby zapewne zbytkiem optymizmu przypuszczać, że Anglia wnet przystąpi np. do Wspólnoty Schumanowskiej, ale po ostatnich wypadkach można sądzić, że taka możliwość, przynajmniej w zasadzie, jednak już się zarysowuje. Stalowo-węglowa jedność Europy jest prekursorem jej pełnej jedności politycznej.

Na „twarzy" nowej Europy, wyłaniającej się z tego wszystkiego, jest jednak jedna czarna plama: nieuwzględnienie faktu, że na dalszą metę nie można budować Europy jako pół-Europy to jest bez narodów zza Żelaznej Kurtyny. Taki europejski półświatek polityczny może być tworem tymczasowym, nie może być zjawiskiem stałym. Opisał tę rzecz, od strony gospodarczej, p. *Jerzy Zdziechowski* w znakomitym przemówieniu, wygłoszonym na Konferencji Ekonomicznej Ruchu Europejskiego. Powiedział on: „Trzeba dokładnie zdawać sobie sprawę z tego, że chroniczny deficyt Europy w stosunku do Stanów Zjednoczonych, wynoszący mniej więcej trzy miliardy dolarów rocznie, jest wynikiem przyczyn organicznej natury — podboju środkowej i wschodniej Europy przez Z.S.S.R. i wpływu zimnej wojny. Będzie on trwał dopóty, dopóki zasoby gospodarcze stu milionów Europejczyków nie zostaną zwrócone Europie zjednoczonej i wolnej... Wszystko, co wolny świat przedsięweźmie, idąc za wskazaniami opracowanymi przez drugą Westminsterską Konferencję Gospodarczą, może w obecnych warunkach mieć wpływ dobroczynny tylko na niektórych odcinkach gospodarki światowej. Złemu ono zaradzić nie potrafi. Zachwianą równowagę europejską może przywrócić jedynie włączenie państw środkowej i wschodniej Europy w orbitę Europy zjednoczonej".

NAUKI Z POROZUMIENIA

Rozwiązanie problemu Saary było niewątpliwie bardzo trudne, ale trzeba wziąć też pod uwagę pewne obiektywne, poza wolą stron stojące, momenty, które sprzyjały właśnie takiemu rozwiązaniu, jakie nastąpiło. Przede wszystkim sam geograficzno-ekonomiczny charakter tego kraju sprzyjał realizacji takiej czy innej koncepcji ponad-narodowej. W tymże kierunku działało kosmopolityczne w gruncie rzeczy nastawienie ludności saarskiej, niemieckiej z języka i pochodzenia, ale dalekiej od wszelkiego głębszego oddania „sprawie niemieckiej ojczyzny". W charakterystyce narodowej obywateli Saary występuje bowiem owa płynność, nieokreśloność którą tak często widzimy u ludności po-

granicznych, pomnożona w tym wypadku przez ultra-gospodarcze podchodzenie do zagadnień politycznych. Po trzecie, ludność ta wykazywała po wojnie, jeżeli nie stanowcze tendencje w kierunku stania się państwem całkowicie suwerennym, to w każdym razie demonstrowała chęć, żeby w sensie organizacyjno-politycznym być czymś odrębnym w stosunku do Francji i Niemiec. Wyrazem tego były np. żądania premiera Saary, aby miała ona własną reprezentację w organach Planu Schumana, czemu zresztą sam Schuman był przeciwny bo to by przesądzało ostateczny status Saary przed pozytywnym załatwieniem sprawy jej ,,europejskości''. Po czwarte, powrót Saary do Niemiec reprezentowałby nazbyt już jaskrawe zło gospodarcze i polityczne nie tylko dla Francji, ale i dla samej Saary : według opinii pewnego prawnika saarskiego oznaczałoby to dla obywateli Saary ,,wyższe podatki, obowiązek służby wojskowej niemieckiej, obowiązek przyjęcia części uchodźców z przeciążonych nimi, jak Schleswig-Holstein, *Länder*, obniżenie świadczeń socjalnych, dochodzących dziś do połowy budżetu, wreszcie — bezrobocie, którego dziś Saara w ogóle nie ma''. Te wszystkie względy zbiegły się z kategorycznym imperatywem zachodnio-europejskiej polityki obrony, i w rezultacie Saarę, ,,strukturalnie'' europejską — postanowiono politycznie zeuropeizować.

Od rzucenia hasła europeizacji do znalezienia konkretnej formuły europejskiej była jednak długa droga. Ciążyły bowiem nad sprawą nie tylko istniejące trudności rzeczowo związane z taką przemianą, ale i atmosfera ostatnich lat, w których Niemcy zaczęły się gospodarczo odradzać i politycznie butnieć. Nawet par excellence europejski polityk Schuman i najbardziej ,,europejski'' Niemiec Adenauer mieli trudności w dogadaniu się ze sobą na temat Saary. Tu dochodzimy do dwóch cech polityki niemieckiej — i nie tylko niemieckiej — choć z pewnością w tym wypadku nie francuskiej — które utrudniają konstruktywne rozwiązywanie ciężkich międzynarodowych problemów politycznych. Są to : przesadny nacjonalizm, często bezsensownie operujący tzw. ,,prawami historycznymi'' oraz nieprzejednany w żądaniach politycznych maksymalizm, przekraczający granice zdrowego rozsądku.

Przez długi czas żądaniem niemieckich nacjonalistów był bezwarunkowy powrót Saary do Niemiec. Dlaczego Saara miałaby wrócić do Niemiec ? Dlatego, że w okresach 1870-1918 i 1935-1940 stanowiła część terytorium niemieckiego. Ocena słuszności praw historycznych jest rzeczą skomplikowaną i delikatną, nie można operować tu żadnym szablonem. W każdym razie można jednak powiedzieć, że ,,prawa historyczne'' Niemiec do Saary są, w kontekście dzisiejszej sytuacji międzynarodowej takim samym absurdem, jakim np. w r. 1918 byłoby pretendowanie Rosji do zachowania terytorium polskiego dlatego, że miała je w długim okresie porozbiorowym. ,,Prawa historyczne'' Niemiec nie mogą być narzędziem dezorganizowania wolnego świata : gdyby Saara wróciła do Niemiec, Francja przeszłaby do

polityki izolacjonizmu w stosunku do Europy i ostatecznie odrodziłby się sojusz francusko-sowiecki na zgubę Europy. Sowiety grają właśnie na elementy szowinistyczne i izolacjonistyczne, podkopujące organizację jedności Europy.

Ale ten — na fałszywych prawach historycznych oparty maksymalizm niemiecki — nie mógł się ostać. Rząd niemiecki zrezygnował z powrotu Saary do Niemiec. Także Francja daleko odeszła od żądania, które kiedyś w niej rozbrzmiewało : odebrać Niemcom Ruhrę, choć niewątpliwie odebranie im Ruhry miałoby — w świetle doświadczeń lat 1870, 1914 i 1939 — pewne uzasadnienie. Francja i Niemcy porzuciły bezsensowną politycznie zasadę ,,wszystko albo nic'', ich punkty widzenia zbliżyły się do siebie pod ciśnieniem samego życia, powstała atmosfera rozsądnej rozmowy, sprzyjająca obustronnym ustępstwom i wreszcie, po latach bezowocnych pertraktacji, znaleziono konstruktywne wyjście z trudności. W ten sposób zdyskredytowana została jałowość i zgubność polityki, wynikająca z niedoceniania faktu, że Europa, mimo wszystkich dzielących ją różnic, stanowi jedność. Obie strony zdały egzamin z ,,europejskości''. Ale politycy zachodnio-europejscy muszą uzupełnić swoje wykształcenie polityczne : powinni zrozumieć, że jedność ta musi obejmować nie tylko zachodnią, ale także wschodnią Europę. Sprawę jedności Europy lepiej zrozumieć dziś, pięć minut do dwunastej, niż — jak w roku 1940, gdy Churchill proponował Francji wspólne obywatelstwo — jedną minutę po dwunastej. Z drugiej strony U.S.A. — *na zeuropeizowanie polityki Europejczyków* — muszą odpowiedzieć *uświatowieniem* polityki amerykańskiej : w sensie najszerszego uwzględniania interesów całego wolnego świata.

Z pertraktacji paryskich wyłoniła się nowa metoda traktowania spraw europejskich — *metoda twórczego kompromisu*. I to właśnie jest w nich rzeczą cenną : równie cenną, jak sam pozytywny ich wynik.

Stanisław ZARZEWSKI

Polska w bibliografii powojennych Niemiec (1945-1953)

1. PRACE PRZEDWOJENNE.

Niemiecka bibliografia poświęcała Polsce wiele uwagi już w międzywojennym dwudziestoleciu, a szczególnie w pierwszych latach wojny, 1939-1943. Opracowano wtedy rektrospektywne bibliografie na następujące tematy : Historia Polski, ze szczególnym uwzględnieniem ziem byłego zaboru pruskiego (*Lattermann*), Niemiecka mniejszość narodowa w Polsce (*Latterman, Mai, Gunzenhäuser*), Historia polityczna i gospodarcza Rzeczypospolitej Polski, 1919-1939 (*Gunzenhäuser*), Górnośląska Konwencja Genewska (*Ballée, Urbanek*), Stosunki polsko-niemieckie i kwestie graniczne, 1919-1939 (*Gunzenhäuser*), Prusy Wschodnie w polskim piśmiennictwie (*Neumann*), Mniejszość narodowa w Polsce 1919-1939, w tym specjalnie kwestia żydowska (*Gunzenhäuser, P. H. Seraphim*), Polityka zagraniczna Rzeczypospolitej Polski w latach 1919-1939 (*Gunzenhäuser*), Kwestia polska do r. 1919 (*Gunzenhäuser*), oraz Kampania wrześniowa z r. 1939 (*Gunzenhäuser*).

Z opracowań bieżących niewątpliwie pierwsze miejsce zajęła wielotomowa bibliografia tzw. gdańsko-polskiego korytarza oraz ziem granicznych, za lata 1931-1939, w opracowaniu dyrektora lipskiej biblioteki uniwersyteckiej, *Fritza Prinzhorna;* kładł w niej nacisk na aspekty polityczno-gospodarcze. Po rozbiorze Polski, Prinzhorn kontynuował tę pracę wydawnictwem ,,*Deutsche Reichsgaue im Osten und Generalgouvernement* (*Polen*)''. W roku 1943 *H. M. Meyer i H. Pflaum* ukończyli swoją ,,Wartheland-Bibliographie, 1939-1942'', którą później wydało niemieckie Towarzystwo Historyczne w Poznaniu.

W rejonie wschodnio-pruskim i pomorsko-wielkopolskim heraldykę opracowywał *Giese,* prehistorię *La Baume,* osadnic-

two i gospodarkę *Hein* i *Müller*; folklorem zajął się *Ziegler*, zaś *Postma* zebrał piśmiennictwo dotyczące związków historycznych Holandii z „Krajem Wisły".

W wyniku systematycznej pracy naukowców niemieckich doszło do tego, że każda z ziem polsko-niemieckiego przygranicza posiadała własne szczegółowe bibliografie, i tak: Niemenszczyzna (*Forstreuter, Prinzhorn*), Prusy Wschodnie (*Prinzhorn, Hein*), Suwalszczyzna i Białostockie (*Prinzhorn, Keit*), Pomorze i Wielkopolska (*Wermke, Keyser, Prinzhorn*), nawet Wołyń (*Hanisch i Karasek*). Specjalnie uprzywilejowany był Śląsk, przede wszystkim dlatego, że tam każde prawie miasteczko i powiat miały własne bibliografie, po wtóre na skutek działalności tzw. Komisji Historycznej dla Śląska, która od roku 1927 począwszy przystąpiła do publikacji gruntownie opracowanej wielotomowej „Śląskiej Bibliografii" (*Loewe, Boelich, Pax, Tischbierek, Gruhn*), doprowadzonej później w niektórych działach przez następców do roku 1941 (*Jessen, Willner, Rüffler, Haertel*).

Jeśli chodzi o sam Górny Śląsk, to został on prawie wyczerpująco opracowany w przeszło 600-stronnicowej bibliografii „Deutsches Grenzland Oberschlesien" (*Kaisig-Bellée-Vogt*), oraz w „Oberschlesische Bibliographie 1918-1939", suplemencie, ogłoszonym w „Deutsches Archiv für Landes- und Volksforschung" (IV zesz. 1), przez dwu ostatnich z tej spółki autorów. Bibliografię niemiecką interesowała nie tylko tematyka sąsiedzka, czy też polska o znaczeniu europejskim; także tematy wewnętrzno-polskie znajdowały swoich badaczy, jak o tym świadczą prace „Das geographische Schrifttum über Polen (1929-36)" (*Ploetschke*), czy inna, opublikowana w „Ostraum-Berichte" przez *Alfreda Szczuke* pt. „Das Schrifttum über die Binnenwasserstrassenpolitik des ehemaligen Polens 1918-1939".

Poza monograficznymi opracowaniami istniały w Niemczech przedwojennych bieżące, Polsce poświęcone, publikacje bibliograficzne o charakterze politycznym. Wydawał je przez wiele lat Instytut Wschodni w Gdańsku pod nazwą „Ostland-Berichte", w dwu równoległych seriach, z których seria B poświęcona była sprawom gospodarczym, zaś seria A nosiła podtytuł „Auszüge aus polnischen Büchern, Zeitschriften und Zeitungen".

W końcu nie należy zapominać o przeglądach piśmiennictwa polskiego, kontynuowanych przez pisma „Jomsburg", „Deutsche Monatshefte in Polen", „Deutsche wissenschaftliche Zeitschrift in Polen", a szczególnie o wyczerpującej bibliografii spraw polskich redagowanej przez *Luthra* i *Auberbacha* w czasopiśmie „Osteuropa".

II. POWOJENNE BIBLIOGRAFIE BIEŻĄCE

Powojenna bibliografia niemiecka, jak zresztą wszystko w tym kraju, podniosła się szybko z klęski. Jej centrala, Niemiecka Biblioteka w Lipsku, pod wytrawną dyrekcją oszczędzo-

nego przez wojnę *Uhlendahla,* wznowiła już w sierpniu 1946 r. wydawanie Bibliografii Narodowej (1-2). W miejsce dawnych półrocznych rejestrów treści, wydano za lata 1945/46-1951 roczne indeksy w postaci sporych tomów formatu czwórki, z których każdy prawie zawiera po kilkanaście tysięcy tytułów (3). Bibliografia ta, oparta na obowiązkowych egzemplarzach wydawców, rejestruje ogromną większość publikacji drukowanych w Niemczech, jest zatem najważniejszym źródłem i dla druków tematycznie związanych z Polską. Wartość jej pierwszych powojennych roczników jest jednak z polskiego punktu widzenia problematyczna, gdyż nie tylko że wykazują one luki, jeśli chodzi o wydawnictwa wysiedleńców niemieckich, ale co ważniejsze, przechodzą do porządku dziennego nad całą prawie produkcją wydawniczą polskich DP, którzy w latach 1945-1947/8 wydali w Niemczech przeszło tysiąc tytułów książek i broszur, o łącznym nakładzie kilku milionów egzemplarzy, oraz 300 tytułów prasy. Niemiecka Biblioteka Narodowa w Lipsku wydaje też, w formie periodycznie ukazujących się zeszytów o bieżącej paginacji, bibliografię rektrospektywną za okres dziesięciolecia 1941-1950 (4), zawierającą m. in. polonica okresu wojennego, wydawane na Śląsku, w ,,Warthegau'', i byłej Generalnej Gubernii, a także pozycje dotyczące Kampanii wrześniowej.

Ta sama placówka publikuje również bieżącą bibliografię dysertacyj przyjętych na niemieckich uniwersytetach w latach powojennych, począwszy od r. 1945 (5). Znajdujemy w niej dwojakiego rodzaju polonica : prace niemieckich studentów na polskie tematy, oraz dysertacje Polaków, studiujących po drugiej wojnie światowej na niemieckich uniwersytetach. Tych ostatnich jest już kilkadziesiąt pozycyj.

1 *Deutsche Nationalbibliographie. Reihe A: Neuerscheinungen des Buchhandels.* Gesamtverzeichnis des in Deutschland erschienenen Schrifttums und der deutschsprachigen Schriften des Auslands. Bearbeitet und hrsg. von der Deutschen Bücherei. Leipzig, VEB Verlag für Buch- und Bibliothekswesen, 1946-1953.

2 *Deutsche Nationalbibliographie. Reihe B: Neuerscheinungen ausserhalb des Buchhandels.* Bearbeitet und hrsg. von der Deutschen Bücherei. Leipzig, VEB Verlag für Buch- und Bibliothekswesen, 1946-1953.

3 *Jahresverzeichnis des deutschen Schrifttums.* Bearbeitet und hrsg. von der Deutschen Bücherei und dem Börsenverein der deutschen Buchhändler zu Leipzig. Leipzig, Verlag des Börsenvereins der deutschen Buchhändler, 1945/1946-1951. 4°.

4 *Deutsches Bücherverzeichnis 1941-1950.* Verzeichnis der in Deutschland, Oesterreich, der Schweiz und im übrigen Ausland herausgegebenen deutschsprachigen Verlagsschriften sowie der wichtigsten Veröffentlichungen ausserhalb des Buchhandels. Teil I: Titelverzeichnis der Bücher, Zeitschriften und Kartenwerke. Teil II: Stich- und Schlagwortregister. Bearbeitet von der Deutschen Bücherei. Leipzig, VEB Verlag für Buch- und Bibliothekswesen, 1952-1953. 4°.

5 *Jahres verzeichnis der deutschen Hochschulschriften, 1945/1948-1950. Bd 61-66.* Bearbeitet von der Deutschen Bücherei. Börsenverein der Deutschen Buchhändler zu Leipzig, (Leipzig) 1949-1953.

Poza tym dziełem podstawowym ukazują się coraz to częściej próby ujęcia dysertacyj poszczególnych dyscyplin naukowych z większej ilości uniwersytetów razem, jak np. opracowana przez *Röhricha* ,,Bibliografia desyrtacyj ludoznawczych na niemieckich uniwersytetach w latach 1945-1950 (6), czy też dysertacyj poświęconych specjalnym tematom, jak praca *Hanuscha:* ,,Osteuropa-Dissertationen 1945-1950'', opublikowana w ,,Jahrbücher für Geschichte Osteuropas'', a zawierająca około 60 poloniców. Zapewne względy polityczne podyktowały założenie w roku 1947 we Frankfurcie/M. drugiej Biblioteki Niemieckiej. Instytucja ta, pod naczelną dyrekcją *H. Eppelsheimera,* wydaje drugą bieżącą narodową bibliografię, opartą o egzemplarze obowiązkowe, w formie dwutygodniowych zeszytów (8), oraz w postaci półrocznych rejestrów formatu czwórki (9). Jeśli chodzi o polonica, bibliografia ta uzupełnia swoją lipską imienniczkę wydawnictwami uchodźców niemieckich, oraz wydawnictwami niektórych instytucyj zajmujących się zagadnieniami wschodnimi, i w ogóle prowadzi dokładniejszą rejestrację produkcji wydawniczej zachodnich stref Niemiec.

Ten sam materiał, staranniej opracowany, publikowany jest jeszcze raz, w bibliografii pięciolecia, 1945-1950, będącej subskrypcyjnym wydawnictwem periodycznym (10). Eppelsheimer wydaje też dwumiesięcznie selektywną bibliografię piśmiennictwa niemieckiego, przeznaczonego dla zagranicznego rynku księgarskiego, pt. ,,Das deutsche Buch'' (11). W obu tych wydawnictwach znajdują się polonica.

---

6 *Bibliographie volkskundlicher Dissertationen an deutschen Universitäten 1945-1950.* Zusammengestellt von Dr. Lutz Röhrich. Stuttgart, 1951. Str. 18.

8. *Bibliographie der Deutschen Bibliothek Frankfurt am Main.* Frankfurt/M., Börsenverein, (März) 1947-1953.

9. *Bibliographie der Deutschen Bibliothek Frankfurt am Main. Halbjahres-Verzeichnis Januar-Juni 1952.* 1952. Str. 322. 4°. *Halbjahres-Verzeichnis Juli-Dezember 1952.* 1953. Str. 375. 4°.

10. *Deutsche Bibliographie 1945-1950.* Verzeichnis aller in Deutschland erschienenen Veröffentlichungen und der in Oesterreich und der Schweiz im Buchhandel erschienenen deutschsprachigen Publikationen sowie deutschsprachigen Veröffentlichungen anderer Länder. Bücher und Karten. Teil I: Alphabetisches Titelverzeichnis. Unter Mitwirkung der Oesterreichischen Nationalbibliothek in Wien für die österreichischen und der Schweizerischen Landesbibliothek in Bern für die schweizerischen Titel bearbeitet von der Deutschen Bibliothek Frankfurt/Main. Frankfurt/Main, Buchhändler-Vereinigung G.m.b.H., 1952-1953. 4°.

11. *Das deutsche Buch.* Neuerscheinungen der deutschen Verlage. Im Auftrage des Börsenvereins deutscher Verleger- und Buchhändler-Verbände hrsg. von Hanns W. Eppelsheimer, Direktor der Deutschen Bibliothek zu Frankfurt am Main. Frankfurt/Main, Buchhändler-Vereinigung G.m.b.H., 1950-1953.

12. *Neuerscheinungen wissenschaftlicher Literatur aus den Ländern der Volksdemokratie, Albanien, Bulgarien, Polen, Rumänien, Tschechoslowakische Republik, Ungarn und der Volksrepublik China.* Berlin NW 7. Zentralstelle für Wissenschaftliche Literatur, I. 1952-1953.

Poza bieżącymi bibliografiami rejestrującymi mniej więcej całokształt niemieckiej produkcji wydawniczej, wychodzi w Berlinie bibliografia o charakterze specjalnym : „Centralne Biuro dla Piśmiennictwa Naukowego" wydaje w odstępach dwutygodniowych „Neuerscheinungen wissenschaftlicher Literatur aus den Ländern des Volksdemokratie, Albanien, Bulgarien, Polen, Rumänien, Tschechoslowakische Republik, Ungarn und der Volksrepublik China" (12). Są to przedruki pozycyj bibliograficznych, wybranych z oficjalnych bieżących bibliografij wymienionych państw.

Z bibliografij bieżących, drukowanych po czasopismach, najwięcej poloniców zawiera niewątpliwie przegląd piśmiennictwa wschodnio-niemieckiego i wychodźczego redagowany przez *Richarda Maia* w jego miesięczniku „Christ Unterwegs", wychodzącym w Monachium (13), oraz bibliografia historii współczesnej, opracowywana przez *Thilo Vogelsanga*, a publikowana jako dodatek do „Vierteljahresschrift für Zeitgeschichte" (14). W tym ostatnim wydawnictwie sprawy polskie podawane są pod hasłem rzeczowym, jak i w rubryce „Polen". Wskrzeszone po wojnie czasopismo „Osteuropa" (15), przynosi sporo poloniców w obszernej rubryce „Bücherschau" oraz w spisie „Dissertationen über Fragen Osteuropas", podobnież czyni „*Zeitschrift für Ostforschung*" w swoich „Besprechungen" (16).

3. „NIEMIECKI WSCHÓD" JAKO CAŁOŚĆ.

Wśród poloniców bibliograficznych powojennych Niemiec, najliczniejszą grupę stanowią prace dotyczące tzw. niemieckiego wschodu. Można je dla przejrzystości podzielić na takie, które traktują o „niemieckim wschodzie" w ogólności, i na regionalne bibliografie poszczególnych jego ziem.

Pojęcie „niemieckiego wschodu" nie rewidowane przez niemiecką geografię polityczną od lat, interpretowane bywa tu z wielką swobodą, co łatwo sprawdzić, przeciwstawiając sobie kilka publikacyj bibliograficznych z tego zakresu; dlatego też po-

13. *Christ Unterwegs*. Hrsg. und Hauptschriftleiter Dr. Richard Mai. München, Verlag Christ Unterwegs, 1947-1953 (miesięcznik).

14. VOGELSANG, Thilo : *Bibliographie zur Zeitgeschichte*. Beilage der „Vierteljahreshefte für Zeitgeschichte". Stuttgart, Deutsche Verlags-Anstalt, 1953.

15. *Ost-Europa. Zeitchrift* für Gegenwartsfragen des Ostens. Hrsg. von der Deutschen Gesellschaft für Osteuropakunde e.V. Schriftleitung Dr. Klaus Mehnert. Stuttgart, Deutsche Verlags-Anstalt, 1951-1953.

16 *Zeitschrift für Ostforschung*. Länder und Völker im östlichen Mitteleuropa. Im Auftrage des Johann Gottfried Herder-Forschungsrates e. V. hrsg. von Hermann Aubin, Erich Keyser, Herbert Schlenger. Marburg/L., N.G. Elwert-Verlag, 1952-1953.

jęcia „niemiecki wschód" używać będziemy li tylko w cudzysłowie.

Jak wynika ze sprawozdania *Joachima Brauna* (17), Göttinger Arbeitskreis był pierwszą instytucją, która po wojnie zaczęła gromadzić materiały bibliograficzne odnośnie „niemieckiego wschodu". Na zbiorach tych opiera się „Ostdeutsche Bibliographie", z ramienia, i według dyrektyw tejże instytucji, przez *Herberta Marziana* opracowywana, a ogłaszana corocznie w „Jahrbuch der Albertus-Universität zu Königsberg/Pr." (18). Poczynając od roku 1945 notuje ona sumiennie międzynarodowe piśmiennictwo czasopiśmiennicze i wydawnictwa samoistne na wybrane przez Göttinger Arbeitskreis tematy „niemieckiego wschodu", który pojmowany jest jako dawny Lebensraum des Auslanddeutschtums. Około połowy zebranych materiałów stanowi polsko-językczne piśmiennictwo. Bibliografia zgrupowana jest wokół czterech głównych działów, z których pierwszy rejestruje wszelkiego rodzaju dane bibliograficzne : poprzez prasę i kalendarze, aż do sprawozdań naukowych, drugi przedstawia materiały do „dziejów, kultury i gospodarki ziem ojczystych wysiedleńców", trzeci informuje o losie wysiedleńców w ich niemieckiej ojczyźnie, czwarty wreszcie przynosi „środkowo-europejskie problemy w międzynarodowej dyskusji".

Aczkolwiek bibliografii można by postawić niejeden zarzut natury technicznej, należy ją mimo to uznać za najlepszą w swoim zakresie. Polskiego czytelnika uderza anachronizm w traktowaniu granic politycznych. Wygląda to tak, że np. w rozdziale zatytułowanym „Einzelne Landschaften der Reichsgebiete" znajdujemy podrozdziały : „Reg. Bez. Grenzmark-Posen-Westpreussen", dalej „Westpreussen und Posen", „Schlesien, a) ganze Provinz...", po czym osobno także „Polen".

Wydany w roku 1953 w Marburgu „Schrifttum über den deutschen Osten, 1945-1951" *Hermanna Ristera* (19) jest spisem selektywnym, rejestrującym głównie piśmiennictwo polsko- i niemiecko-językczne. „Wschód niemiecki" autora pokrywa się na ogół z terenami, które Niemcy utraciły w wyniku drugiej wojny światowej. Materiał zgrupowano wokół tematów : „niemiecki wschód jako całość" (746 pozycyj), „ziemie południowo-bałtyc-

---

17 BRAUN, Joachim, Frhr. von: *Fünf Jahre Arbeit für den deutschen Osten*. Der Göttinger Arbeitskreis; Tätigkeitsbericht zu seinem fünfjährigen Bestehen. -Jahrbuch der Albertus-Universität zu Königsberg/Pr., Bd II. Str. 208-245.

18 MARZIAN, Herbert: *Ostdeutsche Bibliographie*. Das internationale Schrifttum seit 1945 über die Heimatgebiete der deutschen Heimatvertriebenen, das deutsche Flüchtlingsproblem und mitteleuropäische Probleme. Teil I: 1945-1948. Teil II: 1949-1951. -Jahrbuch der Albertus-Universität zu Königsberg/Pr. Berg. von Friedrich Hoffmann. Freiburg i/Br. - Frankfut/M., Dikreiter Verlagsgesellschaft m.b.H., 1952-1953. Bd II-III.

19 RISTER, Herbert: *Schrifttum über den deutschen Osten «1945-1951»*. Sonderdruck aus „Zeitschrift für Ostforschung". Marburg/Lahn, N.G. Elwert Verlag, 1953. Str. 82.

kie'' (236 poz.), oraz ,,dzieje niemiecko-polskich stosunków'' (236 poz.). Ubóstwo tematyczne bibliografii wynagradza fakt, że zebrano w niej piśmiennictwo naukowe szeregu dyscyplin jak geografii, ekonomii, socjologii, historii, a także dotyczące sztuk pięknych, stwarzając tym sposobem rodzaj przewodnika bibliograficznego.

Bibliografią najświeższej daty, bo doprowadzoną do stycznia 1953 roku, jest obszerna praca *Alfonsa Perlicka* (20), wydana przez Reńsko-Westfalskie Ministerstwo Opieki Społecznej. Autor tej pracowitej kompilacji operuje pojęciem ,,niemieckiego wschodu'' tak szerokim, że pokrywa ono nie tylko niemieckie historyczne tereny kolonizacyjne na północy, wschodzie i południowym-wschodzie Europy, lecz ogarnia również rdzenne Niemcy i Austrię. Schubert znalazł się w ,,Ostdeutsche Bibliographie'', z tego tytułu, że jego ojciec pochodził z Sudecczyzny, zaś Robert Koch dlatego, bo w latach od 1866 do 1880 przebywał w Poznańskim; oto dwa spośród wielu przykładów.

Pominąwszy te dziwactwa, bibliografia Alfonsa Perlicka, znanego śląskiego ludoznawcy, autora interesującego biograficznego dzieła o górnikach i hutnikach górnośląskich, przynosi szereg nowych tematów nie uwzględnionych, lub niedostatecznie uwzględnionych przez poprzedników, a ciekawych dla polskiego badacza, że wymienimy tu problematykę młodzieży wysiedleńczej, ,,niemiecki wschód'' w nauczaniu szkolnym oraz wschodnioniemiecką literaturę piękną i muzyczną. Perlick zadał sobie też trud skompletowania licznych wydawnictw seryjnych, świadczących o bardzo ożywionej produkcji wydawniczej niemieckich uchodźców i wysiedleńców.

Z wydawnictw zajmujących się całością ,,niemieckiego wschodu'' pod kątem widzenia pojedyńczych dyscyplin naukowych należy wymienić *Herberta Schlengera* ,,Deutsches Schrifttum zur Landeskunde der Gebiete ostwärts von Oder und Neisse (1930-1951)'' ogłoszone w ,,Geographische Rundschau'' (21), pracę *Rolfa Schmidta* w ,,Berichte zur deutschen Landeskunde'' (22), *Forstreutera* ,,Ostdeutschland und Randgebiete (1947-1950)'' w ,,Berichte für deutsche Landesgeschichte'' (23), oraz ubogą w polonica ,,Bibliographie der Arbeitsgemeinschaft deutscher wirtschaftswissenschaftlicher Forschungsinstitute in

---

20 PERLICK, Alfons: *Ostdeutsche Bibliographie.* Verzeichnis der seit 1945 erschienenen selbsttändigen Veröffentlichungen. (Troisdorf, Rheinl.) ,,Der Wegweiser'', 1953.. Str. 155. -Schriftenreihe für das Vertriebenenwesen, Arbeitsheft Nr. 21.

21 SCHLENGER, Herbert: *Deutsches Schrifttum zur Landeskunde der Gebiete ostwärts von Oder und Neisse «1930-1951».* -Geographische Rundschau, 1952, Nr. 1. Str. 29-35.

22 SCHMIDT, R(olf) D(ietrich): *Polnisch besetzte Gebiete* (1.5.1945-31.12.1945) -Berichte zur deutschen Landeskunde, 1948-1951, V-IX.

23 FORSTREUTER, Kurt: *Ostdeutschland und Randgebiete «1947-1950».* Literaturbericht. -Berichte für deutsche Landesgeschichte. 1951. Str. 210-226.

Frankfurt/M." (24), podającej publikacje z zakresu gospodarki niemieckiej i międzynarodowej, wydane w Niemczech od chwili zakończenia drugiej wojny światowej, w opracowaniu *Krulla.*

Na temat „niemieckiego wschodu" w ogólności, istnieje ponadto szereg opracowań bibliograficznych, posiadających jedynie wartość popularyzatorską. Należy tu opracowana przez *Bernd Jahnsa,* a przez Towarzystwo Pestalozziego wydana „Die Ostlandkunde im Unterricht der Schulen" (25), która kładzie szczególny nacisk na literaturę piękną, podając także rzadki w innych bibliografiach materiał dotyczący widowisk scenicznych ,tańców ludowych, jak również „wschodnio-niemieckich" filmów naukowych i serii przeźroczy. Również szkolnym celom służyć ma „Führer durch das Schrifttum über den deutschen Osten und Südosten", broszura wydana przez Ministerstwo Oświaty Dolnej Saksonii (26). Wreszcie, jako dodatek do wydawnictwa wysiedleńczego „Der Wegweiser" ukazały się dwa zestawienia *Prof. Birke:* „Ostdeutsches Schrifttum 1951" (27), oraz „Ostdeutsches Schrifttum 1952" (28), poświęcone literaturze pięknej na wschodnio-niemieckie tematy.

(c. d. n.)

Jan KOWALIK

---

24 (KRULL, Dr. Dr.): *Bibliographie der Arbeitsgemeinschaft deutscher wirtschaftswissenschaftlicher Forschungsinstitute in Frankfurt/Main.* Frankfurt/Main-Höchst, 1949. Str. 66.

25 JAHNS, Bernd, Schulrat a.D.: *Die Ostlandkunde im Unterricht der Schulen.* Eine Bibliographie der Neuerscheinungen zur Ostlandkunde 1945-1952. Kattenes/Mosel, 1953. (Str. 28) - Schriftenreihe der Deutschen Pestalozzi-Gesellschaft, Heft 2.

26 *Führer durch das Schrifttum über den deutschen Osten und Südosten.* Beilage zum Schulverwaltungsblatt für Niedersachsen vom 15. Dezember 1951 (Heft 12/1951). (Hannover, Druckerei H. Osterwald, 1951). Str. 7.

27 *Ostdeutsches Schrifttum 1951.* Bearbeitet von Prof. Dr. Birke, Waldbröl, Rheinl. (VHB. — Beilage zum „Wegweiser" — 11. 1951. Str. 8).

28 *Ostdeutsches Schrifttum 1952.* Bearbeitet von Prof. Dr. E. Birke, Waldbröl, Rheinl. (VHB. — Beilage zum „Wegweiser" — 12. 1952). Str. 11.

Przestroga dla innych

OPOWIADANIE STAREGO EMIGRANTA

Rozdział Pierwszy, w którym czytelnik poznaje bohaterów naszego opowiadania.

Do końca września 1944 roku żyła w Warszawie rodzina złożona z ojca, matki i córki. Ojciec urodził się o parę lat za późno by walczyć w Legionach lub pracować w Komitecie Narodowym, a nawet by należeć do ,,Zarzewia'' czy innej tajnej organizacji młodzieżowej. Być może dla tego do żadnej partii czy obozu politycznego nigdy nie należał. W ostatnich latach przed wojną doszedł on (jego zdaniem zbyt powoli, a zdaniem niektórych znajomych — zbyt szybko) do średniego stanowiska. Jednym słowem możemy go zaliczyć do tego szczęśliwego pokolenia, które dzięki układowi stosunków osiągnęło marzenie ludzkości : pozostania do końca swego życia na emigracji młodym.

W toku wydarzeń, których nie potrzebujemy Ci, Czytelniku, przypominać, rodzina ta znalazła się po wojnie w Zachodniej Europie, skąd po paru latach wyjechała za ocean.

Zauważyłeś niewątpliwie, Czytelniku, że skład rodziny naszego bohatera nie rokuje utrzymania na dłuższą metę liczebnego stanu elementu polskiego. Co więcej, w wypadku wojny, na którą przywódcy polityczni narodu powołają uchodźctwo, nikt z tej rodziny nie stanie do szeregów, bo wiecznie młode pokolenie emigracyjne nie nadaje się już do dźwigania broni. Znasz niewątpliwie, Czytelniku, rozprawy naszego uczonego przyjaciela W. A. Zbyszewskiego, nie zdziwisz się zatem, że przybycie do nowego kraju osiedlenia nielicznej rodziny, nie tylko nie obniżyło stopy życiowej tubylców, ale że rodzina ta po ciężkim okresie pierwszych lat doszła z czasem do stopnia względnego dobrobytu.

Rozdział Drugi, w którym czytelnik zaczyna się domyślać o co chodzi.

Przed kilku laty zwróciło się do naszego bohatera paru znajomych z propozycją współpracy w świeżo zorganizowanej placówce Skarbu Narodowego. Żona jego dobrze przyjęła ten projekt, natomiast córka, jak słyszeliśmy, powiedziała: „Nie mieszaj się do polityki i zbierania pieniędzy na starych idiotów w Londynie". Możemy Cię zapewnić, Czytelniku, że bohater nasz spokojnie wytłumaczył swej córce, że Skarb Narodowy i jego współpracownicy są zupełnie apolityczni, że pieniądze przeznaczone są na cele bezsporne („Nie chciałabyś aby arrasy wawelskie zgniły w piwnicy z braku konserwacji?"), a nie na utrzymanie panów w Londynie, którzy są ramolami, a nie zawsze idiotami. Argumenty te jednak nie zdołały przekonać osoby tak młodej, że nie mogła przed wojną oglądać arrasów, bo słyszeliśmy — rzecz w którą trudno uwierzysz Czytelniku — że panienka ta w kilka miesięcy potem gdy ojciec, jak powiedziałby znakomity nasz pisarz Gombrowicz, uhonorowany już był pracą w Skarbie Narodowym — wystąpiła publicznie na zebraniu polskiego klubu studenckiego przeciw zbiórce na Skarb Narodowy.

Mijały lata, a Skarb się rozwijał. Dzięki zgodnym wysiłkom szeregu osób i ofiarności setek jednostek wpływy z roku na rok rosły o 80 % pomimo, że miejscowa gazeta drukowała artykuły, że w Skarbie siedzą sami „sanatorzy". Ponieważ ta sama gazeta pisała także często o Brześciu, Berezie i wrześniu, bohater nasz zaczynał czasami wierzyć, że on sam jest współodpowiedzialny za te tragiczne zdarzenia. Robił jednak swoje nadal, i nie raz czytając korespondencję napływającą do Skarbu Narodowego nie mógł się oprzeć niezgodnym uczuciom: wzruszenia nad ofiarnością ludzi prostych, i irytacji, że piszą w sposób tak patetyczny. W miarę wzrostu wpływów przybywało pracy, i coraz częściej żona robiła mu wymówki, że zmęczony wraca z nocnych posiedzeń, i że niedziele spędza nad rachunkami zamiast na odpoczynku. Słyszeliśmy także, że córka często mówiła: „Rzuć ten Skarb, i lepiej coś napisz. „Kultura" pewno wydrukuje, a może nawet doczekam się, że zobaczę twoje inicjały w dziale „Czytelnicy o Wiadomościach"".

Rodział Trzeci, w którym okazuje się, że nic się nie zmieniło na świecie.

Po pięciu latach pobytu na drugiej półkuli bohater naszego opowiadania złożył podanie o przyjęcie obywatelstwa kraju osiedlenia. Równocześnie zaś napisał list do przedstawiciela naszego państwa na emigracji, w którym zawiadomił go, że wszczyna starania o obce obywatelstwo i wyraził żal, że władze polskie

nie zdobyły się na wydanie ustawy o podwójnym obywatelstwie, która pozwoliłaby osobom w jego położeniu zachować polską przynależność państwową. W parę dni potem otrzymał uprzejme potwierdzenie tego pisma z zawiadomieniem, że przesłane ono zostało do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Londynie, celem dalszego przekazania, według kompetencji. Rzeczywiście w miesiąc potem nadeszło pismo z Ministerstwa Obrony Narodowej w Londynie, które w związku z nadesłanym przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych listem naszego bohatera, przesłało uchwały Rady Ministrów i Rady Narodowej oraz kwestionariusz do wypełnienia. Drukowana uchwała Rady Ministrów z 9 lipca 1946 stwierdziła, że ,,przyjmowanie obywatelstwa obcego przez Polaków na obczyźnie nie byłoby zgodne z polską racją stanu i interesem narodowym'', a w uchwale z dnia 28 kwietnia 1950 Rada Narodowa ,,zwraca uwagę wszystkich Rodaków na obczyźnie, że ustawodawstwo polskie nie przewiduje podwójnego obywatelstwa'', stąd każda zmiana obywatelstwa polskiego na obce pociąga za sobą szereg złych następstw moralnych i narodowych.

Ze wstydem musimy powiedzieć, że bohater naszego opowiadania, pomimo tak poważnych ostrzeżeń pochodzących z ust czołowych mężów naszej emigracji, nie zawahał się wypełnić załączonego kwestionariusza, co przyszło mu tym łatwiej, że wszystkie jego pytania zmierzały do ustalenia jego ostatniego przydziału oraz przydatności do służby wojskowej w następnej wojnie, a bohater nasz (prosimy Cię, Czytelniku, byś nie brał tego terminu dosłownie) miał jeszcze przed ostatnią wojną w swojej książeczce wojskowej kat. ,,D'' (,,pospolite ruszenie bez broni w ręku''). Po dalszym miesiącu nadeszło pismo z Konsulatu Generalnego w Dublinie, że w związku z podaniem o wyrażenie zgody na przyjęcie obcego obywatelstwa (bohater nasz, wstyd nam to powiedzieć, podania nie pisał, ani o zgodę nie prosił) winien jest nadesłać opłatę konsularną w wysokości £ 1.4.0. Po wpłaceniu tej sumy nadeszło zaświadczenie z Dublina, że ze strony ustaw Państwa Polskiego nie ma przeszkód ażeby Pan ten nabył obce obywatelstwo.

Zdziwisz się czytelniku, ale bohater nasz znalazł nieoczekiwaną przyjemność w korespondowaniu z urzędami w Londynie i Dublinie. Na twarzy jego widzieliśmy rozrzewnienie gdy czytał te pisma zaopatrzone liczbą porządkową, zredagowane stylem prostym i pozbawione wszelkich obcych naszemu duchowi formułek w rodzaju : ,,Your obedient servant'', ,,Yours very truly'' lub ,,Veuillez agréez, Monsieur, l'expression de mes sentiments distingués'' jakimi urzędy krajów w jakich przebywa od dziewięciu lat zaopatrują niepotrzebnie swoje listy.

Rozdział Czwarty i Ostatni,
w którym wszystko znajduje szczęśliwe rozwiązanie.

Bohater naszego opowiadania (z coraz cięższym sercem używamy tego określenia) otrzymał obce obywatelstwo. W lecie 1954 roku nastąpiły znane Ci, Czytelniku, wydarzenia polityczne w Londynie. Równocześnie wpływy na Skarb Narodowy nie tylko przestały rosnąć, jak to było dotychczas, ale załamały się katastrofalnie. Przybywało pracy, korespondencji, posiedzeń i narad nad tym co robić aby Skarb w tej sytuacji ratować. Bohater nasz przypomniał sobie wówczas jak to przed ośmiu laty, gdy pewnemu znajomemu, który z emigracji zdecydował się wracać do kraju, i pocieszał się, że nic mu nie grozi, ,,bo nigdy nie zajmował się polityką'', powiedział : ,,Ale teraz polityka zajmie się Panem''. Teraz nim samym zajęła się polityka na emigracji, i pomyślał że młoda córka miała rację.

Równocześnie, i tu Czytelniku zauważysz objawy wynarodowienia naszego bohatera, zaczęły go trapić różne inne myśli. Słyszałem, że stawiał on niezrozumiałe pytanie, czy należy prowadzić zbiórkę, która nie może dać żadnych poważnych wyników finansowych, wobec tego, że — jak twierdził — emigracja przeżywa swój trzeci kryzys zaufania, a tym samym rozprzężenia organizacyjnego i warunków, w którym mogą powstać prawdziwe czy urojone nadużycia. Mówiono nam również, ze słusznym oburzeniem, że człowiek ten tak dalece przesiąkł wstrętnym nam zwyczajem przeliczania wszystkiego na pieniądze, iż twierdził, że należy zawiesić działalność, gdy czas i wysiłek obrócony na wydobycie pieniędzy nie stoi w żadnym stosunku do wyników finansowych. Nic też dziwnego, że człowiek taki, co Czytelniku przyjmiesz z ulgą do wiadomości, usunął się od pracy w Skarbie Narodowym. Mówiono nam, że równocześnie zawiadomił, że płacić składki będzie tak długo jak długo przeznaczane będą na bezsporne cele narodowe.

Na przykładzie losów tego człowieka (termin bohater nie chce nam spłynąć na pióro) widzisz, Czytelniku, jak wszystko się słusznie układa na tym świecie. Jednostki słabe, pod byle pozorem, rzucają pracę społeczną i przyjmują obce obywatelstwa co, jak mówi uchwała Rady Narodowej z dnia 28 kwietnia 1950 roku ,,pociąga za sobą : 1) przejście pod sztandar obcy spod sztandaru Rzplitej Polskiej w toku walki o jej wyzwolenie''... i ,,4) poważne narażenie swego potomstwa na wynarodowienie''. Równocześnie widzisz, Czytelniku, że nie tylko Rada Narodowa daje Ci moralne wskazania obywatelskie, ale także, że nieprawdą jest co mówią złe języki, że wskutek braku funduszów urzędy nasze są nieczynne. Wręcz przeciwnie; każdy obywatel na obczyźnie może korespondować z placówkami dyplomatycznymi, Ministerstwem Spraw Zagranicznych, Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, Ministerstwem Obrony Narodowej i Generalnym Konsulatem w Dublinie (z tym os-

tatnim, za niewielką opłatą). Wreszcie zapewniam Cię, Drogi Czytelniku, że nie ma co żałować zepsutych jednostek, które zamiast innych zachęcać do płacenia, rzucają pracę zasłaniając się trudnościami wynikłymi wskutek słusznych sporów o legalizm. W pracy zastąpią ich z ochotą przedstawiciele stronnictw politycznych, a Jedność Narodowa nastąpi bez nich niedługo, może już wtedy gdy będziesz opowiadanie to czytał.

Jan KLONOWICZ

Polacy w Legii Cudzoziemskiej

Francuska Legia Cudzoziemska nie prowadzi statystyk narodowościowych. Wskutek tego trudno jest powiedzieć ilu Polaków służy obecnie w jej szeregach. Wiadomo jednak, że trzon Legii stanowią Niemcy, Polacy i Włosi. W akcji w Indochinach brały udział czołgi o egzotycznych nazwach : „Krakowiak", „Ślązak", „Warszawa"....

Panicz który przegrał w karty rodowy majątek czy romantyczny zdradzony kochanek — to powieściowo-filmowi reprezentanci Légion Etrangère. W rzeczywistości drogi wiodące do Legii są znacznie bardziej prozaiczne. Dla wielu Polaków — zwłaszcza z terytorium Niemiec — biuro werbunkowe Legii bywało jedyną dostępną drogą wiodącą w świat.

O polskich legionistach głucho jest w prasie emigracyjnej i o ile nam wiadomo — żadna z polskich instytucji czy organizacji nie uważa za swój obowiązek opiekować się stale Polakami w Legii.

Organizacje organizacjami ale niestety wiadomo, że jak coś ma być zrobione musimy to zrobić sami. Przede wszystkim chodzi o książki i czasopisma. By zapoczątkować tę akcję, „Kultura" przekazała Dowództwu Legii 1.725 tomów, które zostały rozdzielone przez Legionowy Wydział Opieki nad Żołnierzem (Service du Moral et des Oeuvres de la Légion Etrangère) pomiędzy biblioteki i szpitale. Z listu, jaki otrzymaliśmy z dowództwa Legii Cudzoziemskiej wynika, że władze francuskie doceniają w pełni cel naszej akcji i gotowe są do najżyczliwszej współpracy w tej dziedzinie.

Sprawa jest prosta. Jeżeli my nie będziemy pamiętali o Polakach w Legii — to któż o nich będzie pamiętał. Apelujemy do organizacji, instytucji, bibliotek i osób prywatnych. W Londynie w piwnicach różnych instytucji butwieją tysiące książek. Setki tomów pochłonęły papiernicze młyny angielskie. Książka polska w londyńskiej piwnicy to jak skrzynia z amunicją wrzucona do stawu. Wszystkie książki polskie winny być w czynnej służbie. Apelujemy do naszych Czytelników by pomogli nam w tej mobilizacji z pamięcią o Polakach w Legii, którzy w odległych zamorskich garnizonach są niewątpliwie z zapomnianych najbardziej zapomniani.

X.

Książki

O antologiach i antologii

Antologie poezji polskiej nie liczą się niestety na tuziny. Nie tylko nie mamy takich ,,żelaznych'' antologii, jak angielska *Palgrave's Golden Treasury*, czy choćby również zaczynające wchodzić do żelaznego repertuaru antologie *Everyman's Library*, *Oxford Book of English Verse* czy nowsza Penguina. Wiadomo, że u nas każde pokolenie zaczyna od nowa, więc co dwadzieścia lat wydaje się też nową antologię. Nie mamy też niestety wielu antologii o węższym zakresie, tak jak — znowu angielska — antologia poetów XVII wieku, ani też antologii ,,poezji czystej'' jak francuska Thierry Maulnier (i w nieco podobnym duchu angielska *The English Galaxy of Shorter Poems*).

Do antologii poezji samego złotego wieku zabrakłoby u nas zapewne materiału. Z antologią poezji od Kochanowskiego do Kochowskiego (a więc do 1700) poszłoby lepiej, choć wątpię czy bez zbytniej pobłażliwości dałoby się zebrać więcej niż sto stron. A i tak lwią część miejsca zająłby Kochanowski, po nim Morsztyn.

Istniała w swoim czasie antologia poezji Młodej Polski (Feldmana), jej ostatnie wydanie ukazało się bodajże w 1918, była popularna, ale dziś się już jej nie przedrukowuje, może i słusznie.

Łatwiej już byłoby wydać antologię polskiej poezji romantycznej, o co jednak — o ile mi wiadomo — nikt się jeszcze dotąd nie pokusił. Ukazało się natomiast ostatnio kilka antologii specjalnych, jak na przykład (wydana po raz pierwszy już przed wojną) antologia świeckiej poezji średniowiecznej Vrtela-Wierczyńskiego, czy też antologia poezji ariańskiej. Większość utworów zamieszczonych w tych antologiach trudno jednak zaliczyć do poezji.

Można się zastanowić czy rewizja spojrzenia na poezję co dwadzieścia lat nie jest niezbędna. A w każdym razie korzystna. Zarówno antologia Grydzewskiego, która ukazała się wkrótce po wojnie w Londynie jak i późniejsza antologia Ważyka i Kotta (,,Czytelnik'' 1951) miały pewne znaczenie odkrywcze.

Trudno zdecydować, czy zadaniem antologii poetyckiej ma być odkrywanie nowych horyzontów czy też stworzenie pewnego rdzenia ,,wierszy które lubimy'' wszyscy i które są właśnie niejako ową żelazną antologią, do której każdy może na własną rękę dorzucać odkrywane przez siebie utwory. Taki rdzeń niewątpliwie istnieje. Zdaje się pewne, że w każdej antologii poezji polskiej znajdzie miejsce Sępa sonet ,,I nie miłować ciężko i miłować nędzna pociecha'', Słowackiego ,,Pogrzeb kapitana Mayznera'' lub ,,Smutno mi Boże'', Norwida ,,Bema pamięci rapsod''. Można by ciągnąć tę listę dalej. Ale o tym za chwilę.

Antologia W. Borowego, która ukazała się nakładem londyńskiego ,,Veritasu'' 1) ma pewne dane na to, aby stać się taką żelazną antologią, jak wspomniana wyżej *Golden Treasury*. Jest to drugie wydanie antologii, która ukazała się po raz pierwszy w roku 1930. Książka w chwili śmierci prof. Borowego była niemal zupełnie gotowa i miała się ukazać w Polsce. Dowiadujemy się o tym z przedmowy, w którą miała być zaopatrzona książka i którą przedrukowano w wydaniu londyńskim. Wynika z niej też, że Borowy zamierzał sam napisać nową przedmowę i że książkę przerobił, usuwając z niej 128 utworów, siedemnaście nazwisk, w tym Daniela Naborowskiego, Wincentego Pola, Orzeszkową, a dodając trzydzieści sześć nazwisk, 143 utwory. Jak piszą (niedoszli) wydawcy krajowi : ,,drugie wydanie Antologii jest naprawdę zmienione, a pierwsze nie straciło przez to racji bytu''.

Wydawcy londyńscy zaopatrzyli książkę w notatkę, w której piszą, że książka w Polsce ukazać się nie mogła ,,ze względów nie trudnych do odgadnięcia''. Trzeba przyznać, że względy te nie rzucają się w oczy od razu. Jeżeli porównamy antologię Borowego z antologią Ważyka i Kotta, którzy są bodaj że obaj członkami partii, to zobaczymy że i tamta nie zawiera tak wielkiej ilości wierszy ,,komunistycznych''. Różnica leży może w proporcji (14 stron Lenartowicza, tyleż Syrokomli, a tylko 8 Norwida), zapewne i w zadeklarowanym założeniu. Książka Ważyka zawiera bowiem bardzo bojową przedmowę, w której mało mówi się o poezji, a wiele o różnicach społecznych, rozwarstwieniu klasowym itd. Ale sama antologia jest odkrywcza, zwłaszcza co do poezji XVII wieku (gdzie o akcentach ,,postępowych'' w sensie społecznym nie ma zresztą mowy, ale ciekawe jest ,,odkrycie'' arian i krypto-arian : Morsztynów i Potockiego). Pod tym względem antologia Borowego jest uboższa.

Co ważniejsze, być może, to to że przedmowa Borowego jest wyznaniem wiary w wieczne wartości poezji. Wspominając sprowadzenie prochów Słowackiego do Polski pisze on : ,,żadne zasługi historyczne nie mogłyby były nadać żywego tętna tym

(1) *Od Kochanowskiego do Staffa.* Antologia liryki polskiej, ułożył Wacław Borowy. Wydanie drugie, ze zmianami. Londyn 1954, nakładem katolickiego ośrodka wydawniczego ,,Veritas''. LVI i 429 stron in 12° (w tym 376 stron tekstu). Nakład 3.000 egzemplarzy.

uroczystościom, gdyby nie było ludzi, do których... bezpośrednio i po prostu przemawiają słowa tych poetów; gdyby nie było ludzi, którym w pewnych chwilach życia, jako wyraz własnego stanu duchowego, nasuwają się na usta słowa: *Serca nie zleczą żadne złotogłowy,* albo (w zupełnej choćby niezgodzie z realnymi warunkami):

Z tobą! o! z tobą, gdzie białe mewy.

Rozeszło się więc zapewne o deklarację anty-marksistowską, jaką było owo „w zupełnej choćby niezgodzie". Może i niektóre wiersze zamieszczone przez Borowego nie spodobały się. Za dużo na przykład Norwida i Krasińskiego. Tego ostatniego dwa wiersze dość antypaństwowe. Pierwszy wcale apokaliptyczny:

Syn przeciw ojcu pochwyci za ostrze,
Brat przeciw bratu — siostra przeciw siostrze.

I bić się będą rodziny — wsie — grody,
Powiaty — kraje — aż całe narody
Odspołecznieją — i będą, jak trzody...

Chorować razem będą wielkie mnóstwa
Na gorszą klęskę niż klęskę ubóstwa:
Na niezłowieczą chorobę bezbóstwa.

I drugi, w którym widocznie dojrzano aluzje aktualne:

O, wiem, że Polska bój zwycięski toczy,
O! nie zginęła i nigdy nie zginie —

Lecz my czyż ujrzym ją w chwały godzinie? —
Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy.

Obu tych wierszy nie ma oczywiście w antologii Ważyka (o ich wartościach poetyckich można by zresztą dyskutować). Ale nie ma tam też wiersza Norwida, który umieszcza Borowy, „Na zgon śp. Jana Gajewskiego, polityczno-polskiego emigranta":

Długo patrzyli ludzie prostej wiary
Na dziwowiska oświaty zachodniej
I myśleć śmieli, że to do pochodni
Skradziony ogień Bogu — bez ofiary!...

Co dziwniejsze, nie ma u Ważyka i Kotta „Fortepianu Szopena", który chyba każdy z nas zaliczyłby do owego żelaznego repertuaru poezji polskiej. Oprócz wymienionych wyżej dwóch wierszy Słowackiego jeszcze trzy inne jego utwory są wspólne

obu antologiom. Są to *Rzym, Rozłączenie* i *W pamiętniku Zosi Bobrówny* (Niechaj mnie Zosia o wierszyk nie prosi). U Grydzewskiego znajdują się te same wiersze Słowackiego. Istnieje więc pewien żelazny repertuar.

Z drugiej strony jasne jest dlaczego nie ma u Ważyka i Kotta wiersza *Do matki :*

Zadrży ci nieraz serce, miła matko moja,
Widząc powracających i ułaskawionych;
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja
I tak wielkie wytrwanie w zamiarach szalonych.

Ale ostatecznie skoro się pomyśli, że działalność całej ówczesnej emigracji, a już szczególnie Słowackiego, tak niewiele carskiej Rosji zaszkodziła, to trudno sobie wyobrazić lepszy hołd złożony ,,wieczystości'' poezji niż opuszczenie tego właśnie wiersza w antologii Ważyka i Kotta. Można by, nawiązując do tego, co niedawno pisał w ,,Kulturze'' Paweł Hostowiec, powiedzieć, że w wieczność poezji (jak i w potęgę słowa) wierzą — obok profesorów literatury — cenzorzy i ich współpracownicy, nawet jeżeli jako dobrzy marksiści twierdzą głośno co innego. Warto dodać, że z nowszej poezji nic się prawie nie podobało Ważykowi i Kottowi poza Niemojewskim, Or-Otem, Tetmajerem, Tadeuszem Micińskim, B. Ostrowską (1 wiersz) i Staffem. Borowy ma tu 155 utworów pięćdziesięciu czterech poetów. Może najbardziej właśnie epoka nowoczesna zaszkodziła mu w oczach cenzorów, bo :

Jak na mechanizm przystało
myśli masz ryte w metalu
krążą po dziwnych kółkach (*nigdy nie wyjdą z tych kółek*)
jesteś system mechanicznie doskonały
i nagle coś się zepsuło

Oto płaczesz
po kątach trudno znaleźć przeszły tydzień
linie proste falują — zamiast kwadratów romby
w każdym głosie słychać w całym bezwstydzie
Ostatecznego Dnia trąby

Otworzyły się oczy niebieskie
widzą razem witrynę sklepową i Sąd
przenika się nawzajem tłum — archanioły i ludzie
chmurne morze faluje przez ląd...

(*Czechowicz*)

O ile pierwsze wydanie antologii Borowego zatrzymywało się zgodnie z tytułem na Staffie, to drugie powinno by się wła-

ściwie nazywać ,,Od Kochanowskiego do Baczyńskiego''. Autor kosztem szeregu usuniętych utworów (przeszło setka) dodał 63 strony dwudziestu trzech poetów, urodzonych po Staffie a zmarłych przez rokiem 1945. (Oprócz tego dodał około 80 utworów wcześniejszych poetów). Tak wielki jest brak jakiejkolwiek antologii poezji lat 1918-1945, a najlepsza antologia jaka była, wydana w 1939 przez L. Frydego, jest zapewne i w Polsce nie do znalezienia, że nawet i ta skromna dokładka, której miejsce byłoby w jakimś dodatku-appendixie na końcu książki, jest mile widziana. Daje nam bowiem oprócz Czechowicza także Leśmiana, Zegadłowicza, Sebyłę, Szenwalda. Niestety, o ile z czysto oportunistycznych powodów wita się ją życzliwie, to ze względów bardziej zasadniczych trudno się cieszyć tą inowacją. Książka Borowego była zaplanowana w roku 1930 dobrze i celowo. Dodanie dwudziestu trzech poetów tę konstrukcję zwichnęło. W roku 1930 Staff należał, wraz z Tetmajerem, do okresu już zamkniętego, tak jak dziś skamandryci. Ale nowa zasada, aby drukować tylko tych, co już nie żyją, sprawiła, że tylko drugorzędni skamandryci (Liebert) znaleźli się w tomie, a brak Tuwima i Wierzyńskiego. Być może również, że tu Borowy przyjął taki kompromis, aby nie być zmuszonym do drukowania Tuwima i Iwaszkiewicza, a opuszczenia Wierzyńskiego i Lechonia. Podobnie jest w antologii Czechowicz i Sebyła, a brak Brzękowskiego i Piętaka. A wreszcie, w granicach przyjętych przez Borowego, brak wybitnego poety Piwowara, zamordowanego w roku 1940. Tak więc struktura tego dodatku jest najzupełniej nienaturalna. Nie ma żadnego powodu, by umieszczać osiem wierszy Lieberta (na 10 stronach), jedynie dlatego, że jest przedstawicielem Skamandra a tylko pięć wierszy (na pięciu stronach) Leśmiana, poety o wiele wybitniejszego. I trzy tylko wiersze Czechowicza. Pod tym względem kryteria przyjęte w antologii Grydzewskiego były już trafniejsze, choć wybór utworów, być może i z powodu ówczesnych warunków londyńskich, był bardzo nierówny i niereprezentatywny.

Ta niesprawiedliwość cyfrowa jest zresztą bodaj symptomem tylko. Borowy, który czuł się jak u siebie w domu w poezji XVIII wieku, robi wrażenie zagubionego w poezji współczesnej. Trzeba zapewne oddalenia, aby móc ocenić ,,wieczyste cechy'' utworu, toteż obawiać się można, że ta część antologii Borowego nie wejdzie w skład żelaznego repertuaru poezji polskiej.

Być może i w przedostatnim okresie, to jest od Kasprowicza do Staffa, można by się spierać z wyborem prof. Borowego. Tak więc dziwi nieco umieszczenie aż szesnastu wierszy Kasprowicza (na 23 stronach) i aż dwudziestu dwu Staffa (co prawda tylko na 13 stronach). A Słowacki ma tylko osiemnaście wierszy na 16 stronach. Czyżbyśmy tu mieli do czynienia z ,,różnicą pokoleń''? I czyżby wiersze Staffa i Kasprowicza przemawiały inaczej do pokolenia Borowego niż do pokolenia urodzonego w dwudziestoleciu? W każdym razie wydaje mi się, że można by zrobić zupełnie inny wybór z Kasprowicza, umieszcza-

jąc choćby wiersz „Pamiętam te piaski nad wodą", a z „Księgi ubogich" wiersz „Rzadko na moich wargach" (żelazny repertuar), ze Staffa zaś wiersz, który chyba już także wszedł do żelaznego repertuaru : „O szyby deszcz dzwoni". Może jednak się mylę i może ktoś urodzony w 1932 uzna i te wiersze za nieciekawe. Czyżby więc poezja nie była wieczna ?

A jednak z Wyspiańskiego wybrał prof. Borowy, w przeciwieństwie do Kotta i Ważyka, dwa najbardziej nadające się do antologii wiersze (skoro zdecydował nie wycinać fragmentów z dramatów): *Wesoły jestem, wesoły* oraz *Pociecho moja, ty książeczko*.

Jakkolwiek by było, to — jeżeli pominiemy ten sporny okres najbliższy nas i przezornie pominięty w antologii Ważyka i Kotta (są to w ogóle panowie wielce przezorni) antologia Borowego zawiera obok żelaznego repertuaru szereg odkryć. Nie jest już dziś chyba odkryciem Sęp-Szarzyński :

Pokój — szczęśliwość, ale bojowanie
Byt nasz podniebny. On srogi ciemności
Hetman i świata łakome marności
O nasze pilno czynią zepsowanie.

ale jest nim ciągle jeszcze Potockiego żałosny lament :

Gdzie się podziały skarby Krezusowe,
Kędy puścizny drogie Attalowe,
Godne dziedzictwa pana świata wszego,
Rzymu wielkiego ?

. . . .

Gdzie teraz Samson i Herkulesowie,
Gdzie Atlas, co więc obłoki na głowie
Z gwiazdami nosił, ramion nie ruszając,
Niebo wspierając ?

. . . .

Weszli pod ziemię, a moc ich serdeczną
Zła śmierć mogiłą przywaliła wieczną ;
Znaku ich nie masz, wszyscy zaginęli,
Jak śnieg zniknęli.

Oczywiście Benisławskiej nie ma u Ważyka (reakcja):

A Ty, o Boże, Boże sprawiedliwy
A razem Ojcze, Ojcze litościwy,
Racz, racz zbawiennym rozgrzać ogniem Twoim
Lód w sercu moim !

Odkrywczość Borowego nie ogranicza się do wierszy religijnych. Są i wiersze miłosne:

Słońce zagasło, ciemna noc wstaje,
Ze mną kochany mój się rozstaje;
Świadczę wami, gwiazdy!
Żem ja na czas każdy
Przyjacielem mu była zawżdy.

Wieczór nastąpił, Hesper wychodzi;
Ode mnie smutny miły odchodzi.
Pohamuj twej drogi,
Przyjacielu drogi!
Nie odstępuj mnie, dziewki ubogiej.

Miesiąc roztoczył promień różany,
A mnie opuszcza mój ukochany;
Zostań na godzinę,
Powiedz mi przyczynę,
Czemu odchodzisz biedną dziewczynę?

Blisko północy, już słyszeć dzwony,
Mnie rękę daje mój ulubiony;
Potrwaj proszę mało,
Jeszcze nie świtało,
Pójdziesz, gdzieć będzie się podobało.

Jutrzenka zeszła, moje jedyne
Serce w daleką śpieszy gościnę, —
Poczekaj na chwilę,
Niechaj krotochwile
Zażyję, z tobą gadając mile.

Już na pół zbladły rumiane zorze,
Przyjaciel wyszedł mój na podworze;
Postój, me kochanie!
Skoro słońce wstanie,
Odjedziesz, kędy będzie twe zdanie...

(*Zimorowic*)

Ale właściwie nasza poezja, poza poezją patriotyczną, jest letnia. Nie mamy wierszy namiętności czy żaru religijnego jak u Johna Donne (poza kilkoma wierszami Sępa). Nie ważę się jednak twierdzić, jak większość czytelników Morsztyna, że wiersze takie, jak

Goreję, Panie; coraz większy wstaje
Ogień palący wnętrzności w perz suchy;
To Twoje dzieło bez żadnej otuchy
Kona i z swym się gościem już rozstaje.

są nieszczere, czy są ćwiczeniami stylistycznymi. Zresztą nie ma to żadnego znaczenia. Ale poza tym nasza poezja jest właśnie czysto liryczna i jako motto mógłby jej służyć wiersz Gałczyńskiego: *Liryka, liryka, tkliwa dynamika, angelologia* (z tym gorzej) *i dal.*

Skoro już mowa o wierszach patriotycznych, to jednym z pierwszych (po Kochanowskim) jest Kochowskiego doskonały *Nagrobek mężnym żołnierzom...* który słusznie znalazł miejsce u Borowego, choć większość wydawców, o przeczulonym smaku, go opuszcza:

Nie z marmuru w mauzolu,
Nie w ceglanym grobie
Ale w otwartym polu
Odpoczywasz sobie.

Tu wracam jeszcze na zakończenie do poezji miłosnej, ale nowszej. Wiersz Rydla, który odkrył mi Borowy:

Od Krakowa czarny las
Nad tym lasem tęczy pas —
Ona tam daleko,
Gdzieś za siódmą rzeką,
Lecz Bóg tęczą związał nas.

Z kolorowych siedmiu strug
Most przez niebo zrobił Bóg:
Po tęczowym moście,
Aniołowie noście
Serce moje do jej nóg.

Ale to już raczej piosenka ludowa niż wiersz, a w każdym razie przejście do poezji ludowej, a poezja ludowa to całkiem inna kwestia, którą trudno się tu zajmować.

Jak wspominaliśmy, losy antologii prof. Borowego są dość niezwykłe. On sam zmarł w październiku 1950, zostawiając książkę bez nowej przedmowy, ale niezwykle starannie przygotowaną do druku. Oto co piszą niedoszli wydawcy krajowi: „Wygląd graficzny książki chciał autor mieć jak najściślej podobny do pierwszego wydania, o czym mówi notatka z 31. 1. 1949. Szata zewnętrzna książki jest zawsze ważna, ze względów estetycznych, ale w tym wypadku Antologia stanowi pewien wzór przemyślenia każdego szczegółu w sposobie podania materiału literackiego i naukowego w druku. Odnosi się to do kompozycji okładki, doboru czcionek, kolumny drukarskiej, stosowania kursywy, petitu, różnego rodzaju nawiasów, nawet jakości i koloru papieru. Wzór taki mógłby służyć do dyskusji na studiach edytorskich".

Toteż można wyrazić żal, że — jak piszą wydawcy londyńscy — szata graficzna nie odpowiada szacie, jakiej pragnął

autor i, zwłaszcza, że zastąpiono ze względów technicznych kursywę drukiem rozstrzelonym. Ale oczywiście zasługa „Veritasu", który wydał antologię w wielkim jak na poezję (szczególnie na emigracji) nakładzie 3.000 egzemplarzy (1), jest godna podniesienia. Zasługi prof. Borowego dla poznania poezji polskiej, dawnej i teraźniejszej, są tak znane, że byłoby prawie nieprzyzwoitością je podkreślać. Jeżeli zaś pozwoliliśmy sobie nieco wyżej na krytykę antologii, której autor nie może już bronić, to chyba właśnie — choć to się może zdawać paradoksalne — w duchu nie krytyki a polemiki, tak jak się dyskutuje z kimś, kto jest ciągle jeszcze żywy i obecny.

Andrzej VINCENZ

Jeszcze biografia świętych

Krew męczeników pierwotnego chrześcijaństwa „rozpryśnięta po ścianach katowni i schodach gmachów publicznych" zbierano do ampułek błękitno-krzemiennej barwy — pisze Norwid, ampułek składanych w katakumbach; i „nie była prawie jedna kropelka krwi wylana bez uszanowania jej i omodlenia braterskiego współwyznawców".

Nikt nie zachował i zachować nie śmiał żadnej relikwii po ludziach pomordowanych w hitlerowskich obozach śmierci. Wiatry rozniosły ich popioły na cztery strony świata.

W liczbie tych ofiar straty żydowskie wynoszą 6.093.000, czyli 73 % wszystkich Żydów europejskich. Te cyfry, oraz wypadki tamtych lat przypomina nam książka poświęcona pamięci Edith Stein, Żydówki niemieckiej, rodem z Wrocławia, doktora filozofii, uczennicy a następnie najbliższej powiernicy i asystentki Husserla.

Edith Stein ochrzciła się w 1922 roku, mając lat trzydzieści,

(1) Antologię Kotta i Ważyka wydano w propagandowo wielkim nakładzie 20.000, ale innych poetów w kraju wydaje się w nakładzie od 3.000 do 10.000. Samego Ważyka wydał w 1950 „Czytelnik" w nakładzie 5.350 egzemplarzy. Widzimy, że emigracja nie ma się tu co wstydzić, tym bardziej, że ubóstwo firm emigracyjnych nie pozwala na drukowanie więcej niż mogą sprzedać, a w Polsce wydawnictwa państwowe drukują nieraz na wyrost, na koszt obywatela, płacącego podatki czy daniny w naturze. I książki leżą. Przeglądam katalog „Domu książki" w Warszawie z marca 1954. Zarówno wybór wierszy Ważyka z roku 1950, jak trzy inne jego tomiki, jak i antologia Kotta i Ważyka wydana w lutym 1951, są ciągle na składzie.

wstąpiła do Karmelu w 1933 i zginęła w Oświęcimiu w 1942, jako Żydówka i katoliczka. Zostało bowiem stwierdzone, że aresztowanie 1.200 Żydów-katolików w Holandii w sierpniu 1942 było odwetem za niezależną postawę Episkopatu holenderskiego w stosunku do władz okupacyjnych. Pośród tych Żydów-katolików, podwójnych wrogów hitleryzmu, w kilka dni później zgładzonych, znalazło się około piętnastu księży, zakonników i zakonnic.

Życiorys karmelitanki, napisany przez bezimienną zakonnicę francuską(1), jest wzorem tego rodzaju pracy. Skromność i ścisła rzetelność sprawozdawcza autorki, jej kultura filozoficzna, dobór materiałów : wspomnień rodzinnych, świadectw kolegów, towarzyszy, uczennic i słuchaczy, księży i profesorów, aż do zeznań świadków ostatnich dni jej życia w obozie przejściowym w Westerbork w Holandii są splecione z fragmentami jej własnych pism filozoficznych, pedagogicznych i hagiograficznych, które rysują ewolucję duchową filozofki-karmelitanki od fenomenologii Husserla do filozofii św. Tomasza aż po całkowite pogrążenie się w doktrynę mistyczną św. Jana od Krzyża.

Najważniejsze prace Edyty Stein nie mogły być drukowane za jej życia w Niemczech. Wybór jej pism w pięciu tomach ukazał się więc dopiero w latach 1950-1951 w wyd. Herdera w Freiburg-in-Briesgau i u Nauwelaertsa w Louvain (2). Kilka rozpraw i studiów, począwszy od 1922 ukazało się w Rocznikach Husserla i po czasopismach współczesnych. Inne pozostały w rękopisach jak np. tłumaczenie Listów i Dzienników Newmana, przed jego nawróceniem.

Edith Stein pochodziła z ortodoksyjnej rodziny żydowskiej. Jako siódme i ostatnie dziecko zamożnego kupca drzewnego urodziła się we Wrocławiu 12 października 1891 roku, w wieczór Dnia Sądnego. W tym dniu najwyższy kapłan kładł kiedyś ręce na symbolicznego kozła, a obarczywszy go grzechami całego ludu, wypędzał na pustynię. Tę datę urodzenia uznała matka Edyty za dobrą dla dziecka wróżbę.

Późniejsze nawrócenie najmłodszej, ukochanej i najbardziej obiecującej córki, która zdobywała już imię i uznanie w świecie naukowym było ciosem dla starej pani Stein; bardziej jeszcze przebolała wstąpienie jej do Karmelu. Ale właśnie od matki dziedziczyła neofitka siłę charakteru, jasność wyboru, wierność powziętym zobowiązaniom.

Chowana od dziecka w surowych przepisach prawa mojżeszowego przystosowała się Edyta bez trudu do ascezy chrześcijańskiej, a następnie do twardych reguł Karmelu. Wszystko było w niej prostotą, jasnością i czujną uległością Woli Bożej.

Pani Stein umarła niezachwianie wierna jedynemu Bogu Żydowskiemu.

---

(1) *Edith Stein, par une moniale française*. Ed. du Seuil, Paris 1954.

(2) Obejmują one *Kreuzwissenschaft*, *Endliges u. Ewiges Sein*, *Untersuchungen über die Wahrheit* (niem. tłum. De Veritate św. Tomasza z Akwinu) oraz *Pädagogische Studien*.

Szczególne wymowne są świadectwa młodzieży, zwłaszcza uczenic i młodych zakonnic kolegium Dominikanek w Spirze, w którym Edyta spędziła osiem lat na stanowisku profesorki wyższych klas i mentorki nowicjuszek zakonnych.

,,Naprawdę wszystko jej zawdzięczamy — wyznaje jedna z nich — byłyśmy jeszcze bardzo młode, a jednak potrafiła nas zdobyć wszystkie, wpływ jej pozostawił też na nas niezatarte ślady. Widząc ją co do dnia pogrążoną w modlitwie na mszy św., przeczuwałyśmy już wtedy utajoną tajemnicę tego życia przemienionego wiarą. Nie pamiętam jej słów, które bym mogła przytoczyć... Może to wina mojej pamięci? Ale co spamiętałam to przede wszystkim świadectwo jej milczenia. Działanie jej polegało mniej na słowach aniżeli na tym czym była''.

,,Wszystko w niej jest absolutnie prawdziwe...'' powiedział Husserl, dowiadując się o niepojętym dla niego postanowieniu Edyty Stein wstąpienia do Karmelu.

Wpływ jej niezwykłej umysłowości i wyjątkowego daru jasnego, zwięzłego wyrażania się w słowie i piśmie były tak ważkie, że spowiednik Edyty sprzeciwiał się długo wstąpieniu jej do Zakonu, mimo, że powołanie do życia kontemplacyjnego uzyskała chyba wraz z łaską chrztu. Dopiero kiedy zarządzenia hitlerowskie zamknęły jej dostęp do uniwersytetów O. Walzer, opat benedyktynów w Beuron, duchowy jej kierownik od 1928 roku, uległ jej prośbom. I wówczas, powiada — ,,pobiegła do Karmelu jak dziecko, które się rzuca radośnie w objęcia matki''.

Rozum swój i wiedzę, rozgłos uczoności, uznanie i przyjaźń ludzką, miłość rodziny, ból matki zostawiła Edyta u furty Karmelu w Kolonii aby zdobyć możność i wolność uwielbiania nieskończonej tajemnicy Bożej.

Swojej mistrzyni nowicjatu powiedziała z prostotą: ,,Wiem, że żadne ludzkie dokonania pomóc nam nie mogą, jedynie Męka Chrystusa; pragnieniem moim jest wziąć w niej udział''. (*...daran Anteil zu haben ist mein Verlangen.*)

Na żądanie przełożonych Edyta Stein, po obłóczynach Siostra Benedykta od Krzyża, powróciła do prac filozoficznych, aby napisać ostatnie swoje dzieło o św. Janie od Krzyża pt. ,,Wiedza Krzyża'', ponadto skreśliła szereg biografii o świętych swego zakonu i innych.

W niedzielę Męki Pańskiej 1939 roku przesłała przełożonej swego klasztoru w Kolonii następującą prośbę na piśmie:

,,Niech Jej Przewielebność łaskawie mi dozwoli ofiarować się Sercu Jezusa jako ofiara przebłagania za pokój świata. Niech królestwo Antychrysta upadnie o ile to możliwe bez wojny światowej i niech nastanie naprawdę nowy ład. Chciałabym spełnić tę ofiarę dziś jeszcze, bo to dwunasta godzina. Wiem, że jestem niczym, ale Jezus tego chce. Z wezwaniem podobnym zwrócił się zapewne w tych dniach do wielu innych dusz...''

Ze stron tej szczupłej książeczki promieniuje pokój, którego świat nie daje i światło autentycznej świętości.

Mimowoli nasuwa się porównanie Edith Stein — Siostry

Benedykty od Krzyża z Simone Weil. Obie Żydówki, obie obdarzone wspaniałym umysłem, rozległą wiedzą i zdolnościami dialektycznymi przy żarliwym, niestrudzonym i bezkompromisowym dążeniu do poznania prawdy, tylko prawdy. Obie mimo różnego podejścia do wiary chrześcijańskiej, były wpatrzone w Krzyż i Ofiarę Chrystusa.

Siostra Benedykta nie będąc odcięta od pnia wyznania Mojżeszowego przyjęła chrześcijaństwo jako dopełnienie Zakonu a śmierć jako ofiarę przebłagania za naród swój i Kościół katolicki.

Dla Simone Weil tradycje żydowskie były obce; swoją awersją do Starego Testamentu objęła również Kościół jako poczęty z ducha Izraela; Chrystusa, którego poznała na drodze męki i poniżenia, którego kochała, wywodziła z drogich jej religii antycznych. Różniły się też w swojej postawie wobec świata i jego spraw. Simone całym natężeniem bohaterskiej woli wstąpiła w walkę ze złem, przyjmując realnie i dobrowolnie jako swój udział całą krzywdę i poniżenie człowieka. Czuła się odpowiedzialnym świadkiem swojej epoki, odpowiedzialnym za każdą niesprawiedliwość wyrządzoną człowiekowi, zawsze gotowa rzucić własne życie na szalę sprawiedliwości. Siostra Benedykta, w pokorze i poddaniu się woli Bożej, zdobyła pełnię łaski pokoju a wreszcie upragniony udział w ofierze Chrystusa.

„...ilekroć wspomnę Ukrzyżowanie, wyznawała Simone Weil — w pożegnalnym liście do O. Perrin — tylekroć popełniam grzech zazdrości".

„...*Scientia crucis* — wiedzy tej nie da się zdobyć w żaden inny sposób jak tylko na drodze istotnego cierpienia pod ciężarem krzyża — pisała S. Benedykta do przełożonej Karmelu w Echt, skąd ją Gestapo wyrwało. — Od pierwszej chwili miałam to głębokie wewnętrzne przekonanie i powiedziałam z głębi serca: *Ave Crux, spes unica!...*"

Siostra Benedykta zginęła w Oświęcimiu 9 sierpnia 1942 roku, Simone Weil umarła w Londynie, 24 sierpnia 1943 roku na skutek dobrowolnych wyrzeczeń i wyczerpujących jej słaby organizm umartwień; do końca szukała prawdy w nigdy nienasyconym jej upragnieniu i do końca nie zgodziła się na przyjęcie sakramentu chrztu.

Maria CZAPSKA

Notatki wydawnicze

W roku 1947 Sartre poświęcił w „Les Temps Modernes" wielki artykuł materializmowi dialektycznemu. „Ta purytańska i kłamliwa doktryna — pisał — niesie ze sobą nadzieje najgorętsze i najczystsze; ta teoria która radykalnie przeczy wolności człowieka stała się najpewniejszym narzędziem

jego uwolnienia". Z tak postawionej tezy wyciągał Sartre następujący dylemat etyczny stojący przed intelektualistą, który łączy nadzieję ludzkości z komunizmem : „Zdradzić w imię prawdy interesy klasy uciemiężonej, albo zdradzić prawdę aby służyć proletariatowi" .

To zdanie mogłoby służyć jako motto wielkiej powieści Simone de Beauvoir, *Les Mandarins* (Gallimard, 1954). Simone de Beauvoir jest żoną Sartre'a. Może właściwsze jest tu w głębokim znaczeniu słowo „towarzyszka". Jest ona uczennicą swego męża, pisarką dużej klasy. Ma za sobą poważny wkład do filozofii egzystencjalnej, zwłaszcza w wielkim dziele poświęconym psychologii kobiecej („Le Deuxième Sexe", Gallimard, 1950).

„Mandaryni" (sama ironia tytułu zapowiada już gorzką świadomość autorki) to pisarze, publicyści, dziennikarze, studenci — cały Paryż intelektualny w latach 1944-1949. Nad tłumem postaci drugorzędnych góruje Robert Dubreuilh — ledwo transponowana postać Jean Paul Sartre'a i Henri Perron, który ma szereg cech Albert Camusa.

Les Mandarins są wielkim freskiem obyczajowym powojennego Paryża. Pomiędzy „Tabou" i „Rose Rouge", pomiędzy „Flore" i „Deux Magots" ta młodzież — i jej starsi mistrzowie — żyją trudnym życiem nowozdobytej wolności moralnej. Nie ma tu śladu hipokryzji nie ma też postawy „wyzywającej", gdyż dla tej grupy burżuazyjna opinia jest już zlikwidowana. Pozostaje „Huis Clos" z tysiącem postaci. Ale jeśli powiązania seksualne są skomplikowane i bogate, jeśli morderstwo, a nawet zdrada nabierają w egzystencjalnym świecie wydźwięku, zależnego od konkretnych okoliczności, jeśli upadają wszelkie kategoryczne nakazy, tym niemniej wszystkie postacie Simone de Beauvoir żyją pod znakiem problemu etycznego, wszystkie uczestniczą w jednym kompleksie winy. Ich wspólny problem jest , słowami autorki : „avoir sa conscience pour soi" — mieć, w tradycyjnym słownictwie, „spokojne sumienie". Gdyż przecież łatwo jest „pozwolić sobie na drobne skrupuły sumienia, które łatwo rozbroić. Ale nie można nigdy zapomnieć że „w tym samym czasie, we wszystkich zakątkach ziemi, są ludzie wykorzystywani, głodzeni, mordowani". Na tym problemie polegała zawsze moralność i etyka całej lewicy. Ale komunizm — a właściwie stalinizm — skomplikował ten problem dodatkowo.

Skomplikował, gdyż, podobnie jak Sartre, „Mandaryni" znają prawdę o komuniźmie. Zdają sobie sprawę, że wstępując do partii przestaną być wolnymi ludźmi, a staną się sługusami; że komuniści nie zawahają się przed żadnym kłamstwem, żadną zdradą, żadnym oszczerstwem, jeśli będzie tego wymagać linia partii; że każdą niezależną lewicę — nawet jeśliby chciała z nimi współpracować — zohydzą i obrzucą błotem przy pierwszej różnicy zdań. Ale to dotyczy jeszcze tylko metod partii we Francji. „Mandaryni" znają straszną prawdą o procesach moskiewskich; wiedzą o obozach koncentracyjnych o łagrach, o niewolnictwie; wiedzą — słowami autorki — „że także w Z.S.S.R. ludzie gnębią aż do śmierci innych ludzi".

I tu powstaje dylemat wypowiedziany w okrzyku Roberta Dubreilh : „Ah, gdyby tylko komuniści nie uniemożliwiali nam stania się komunistami !" Nostalgia „Mandarynów" pozostaje niezmieniona : „Zgubić się w łonie wielkiej partii, połączyć swą wolę z olbrzymią wolą zbiorową : cóż za spokój, cóż za siła ! Skoro się tylko otworzy usta, przemawia się w imieniu całej ziemi, przyszłość staje się własnym, osobistym dziełem : „Ça vaut bien la peine d'encaisser bien des choses". Warto przejść do porządku nad wielu rzeczami ? Nie ! „Encaisser" — to raczej : warto nadstawić grzbiet pod razy. Inna postać — tym razem komunista — wyraża podobną myśl, w odwrotnym porządku, mówiąc : „Nie ma rzeczy na którą bym się nie zgodził, aby nie opuścić partii".

Centralny konflikt powieści wzięty jest niemal bez zmian z życia. Perron — Camus opuszcza Dubreuilh-Sartre'a w chwili gdy staje przed nimi

dylemat : czy ogłosić prawdę o sowieckim świecie koncentracyjnym, czy ją zamilczyć. Dubreuilh jest równie głęboko przekonany jak Perron, i jak sama autorka, że łagry istnieją, że cierpią i umierają w nich miliony ludzi, skazanych bez sądu, wykreślanych ze świata żyjących przez NKWD. Perron zaprotestuje wstępnym artykułem w swoim dzienniku „Espoir" (rozpoznajemy tu „Combat"). Dubreuilh będzie milczał.

Dubreuilh, kiedy jeszcze, na początku powieści, wierzy w możliwość stworzenia niezależnej lewicy, mówi : „Nie można się powstrzymać od myślenia tak jak się naprawdę myśli : nie sposób wyjść z własnej skóry. Bylibyśmy wszyscy bardzo złymi komunistami". Niestety, staną się wszyscy (z drobnymi wyjątkami) bardzo dobrymi krypto-komunistami, wiernymi towarzyszami podróży.

Zasługą Simone de Beauvoir jest uczciwa, inteligentna analiza tego procesu. Dlaczego ci ludzie, szlachetni, bezinteresowni, nadzwyczaj inteligentni ulegają w końcu dialektyce której kłamstwo przejrzeli, zgadzają się bez protestu na niesprawiedliwość i ucisk z których zdają sobie sprawę ? Grają tu różne motywy. Po pierwsze, większość robotników francuskich jest komunistyczna. Miraż solidarności z najbardziej upośledzonymi ziomkami jest niezwykle silny. Perron jest w rozpaczy kiedy myśli że po jego artykule przeciw sowieckim obozom nie będzie już widział robotników w granatowych kombinezonach kupujących „Espoir" w drodze do fabryki. I jeszcze : Nienawiść do burżuazji której kłamstwa wydają się tym intelektualistom jeszcze bardziej niebezpieczne i nieuczciwe od kłamstw komunistów. Pewność że istnieje tylko wybór pomiędzy dwoma złami, dwoma zbrodniami, i że wobec tego lepiej świadomie wybrać te zbrodnie które są dokonane „w imię całej ludzkości". Wiara w „nowe społeczeństwo" które jednak, poprzez zbrodnie, ucisk i fałsz, przyniesie „rewolucja". Wreszcie — chorobliwa nienawiść do Ameryki. ‚Jakto, więc wolisz Amerykę od Rosji ?" pyta Dubreuilh Perrona. „Oczywiście nie !" — odpowiada Perron, mimo że już postanowił protestować przeciw sowieckim łagrom.

I tak „Mandaryni" stają się towarzyszami podróży. Nie wstąpią do partii. Zachowają złudzenie pewnej wolności. I będą w tych warunkach jeszcze bardziej przydatni komunistom w zewnętrznych wystąpieniach.

Przechodziłem niedawno koło największej komunistycznej księgarni Paryża. Ze zdumieniem zauważyłem że „Les Mandarins" zajmują na wystawie honorowe miejsce. Jakto ? Oto książka mówiąca prawdę o komunizmie, książka przyznająca rację wszelkim argumentom antykomunistów, którą komuniści sami polecają swej „postępowej" klienteli ? Ale przecież komunistyczne kłamstwo o „sowieckim raju" jest zwykłym elementarzem dla tłumu. Może cenniejsza, dla drobnej elity, jest ta uczciwa książka która tłumaczy jak można być solidarnym z komunistami znając całą prawdę o Sowietach i o komunizmie. Powstaje cała hierarchia „użyteczności". Sartre zataja prawdę o sowieckim świecie koncentracyjnym, aby nie szkodzić komunistom. Simone de Beauvoir mówi jak Sartre zataja tę prawdę i z kolei staje się użyteczna komunistom.

Czy naprawdę użyteczna ? Wydaje mi się że trzeba już podzielać „kompleks" pro-komunistycznej lewicy aby zaślepienie i poświęcenie „Mandarynów" mogło mieć przekonywujący oddźwięk. Jeśli się jego nie podziela, odczuwa się szacunek dla autorki, sympatię dla jej bohaterki, Anne, żony Dubreuilha, ale również żal za to że „Mandaryni" płacą tak wysoką cenę za iluzję „spokojnego sumienia".



Roger Stéphane mógłby być jedną z postaci w powieści Simone de Beauvoir. Zresztą osoby które rozpoznajemy pod pseudonimami w *Les*

Mandarins — Sartre, Camus, Koestler, Aragon — występują także w dzienniku Stéphane'a, *Fin d'une Jeunesse* (La Table Ronde, 1954). Roger Stéphane odegrał dość ważną rolę w Résistance, był więźniem Vichy. Pierwsza część jego dziennika, dotycząca lat wojny, wydana została zaraz po uwolnieniu Paryża („Chaque Homme est lié au monde", Sagittaire, 1944). Młody Stéphane — miał wtedy 24 lata — stał się z dnia na dzień sławny. Przedmowę do jego dziennika dał wtedy komunizujący d'Astier — a Mauriac w „Figaro" poświęcił mu gorący wstępny artykuł. Stéphane nie był komunistą, ale jak niemal każdy młody lewicowy liberał we Francji: „nie stanie się nigdy antykomunistą, gdyż istnieje tylko jedna kategoria ludzi gorsza od komunistów: antykomuniści".

Fin d'une Jeunesse opisuje lata 1944-1947. Wielką zaletą tego dziennika jest absolutna szczerość autora. Nie oszczędza on swoich politycznych przeciwników, ani swoich politycznych przyjaciół. Nie oszczędza też samego siebie. Całość jest ważnym świadectwem stanu duchowego i umysłowego całego odłamu pokolenia młodych francuskich intelektualistów, którzy uwierzyli w komunistyczny mit „Historii" — i których „Historia" rozczarowała. Jest to znów zagadnienie politycznego „zaangażowania" pisarza. Stéphane był, razem z Claude Bourdet, jednym z twórców lewicowego i neutralistycznego tygodnika „L'Observateur", który zachowując pewną niezależność stale troszczy się o „solidarność" z komunistami. Stéphane wystąpił z „Observateur". Dziennik jego zakończony jest post-scriptum napisanym obecnie— w siedem lat po zakończeniu samego dziennika. W tym głębokim i uczciwym eseju, określa on swój obecny stosunek do komunizmu: „Z pewnością, należę do „lewicy"; i wydaje mi się że, w przeciwieństwie do wielu innych ludzi, rozumiem na czym to stanowisko polega: wierzę że wszelki punkt widzenia który nie stanowi proklamacji absolutnej równości ludzi i ras jest nie do przyjęcia; nie wierzę w świętość własności prywatnej. Ale jeśli podaję w wątpliwość uprzywilejowany charakter własności prywatnej środków produkcji, nie potrafię przekształcić w „zasadę" technicznych korzyści jej obalenia ani choćby przez chwilę uwierzyć, że obalenie własności prywatnej pociągnęłoby za sobą skutki moralne czy metafizyczne". Stéphane przestał wierzyć w mit. Ale może ten mit w ogóle zanikł? — :

„Egzaltujący mit rewolucji i jej liryczne słownictwo przestało istnieć. Tak jak przestało istnieć zbawienne znaczenie rewolucji. Może rewolucja zyskała na skuteczności przez to co utraciła w swoim romantyźmie. Jedynie wtajemniczeni to wiedzą, czy wiedzą przynajmniej do czego dążyli. Dziś, na Zachodzie, komunizm pozostał najskuteczniejszym środkiem dla klasy robotniczej przeciwstawienia się uciskowi. We Francji, komunizm jest nie tyle doktryną co żądaniem lepszych warunków życia i godności ludzkiej... Nie jest przypadkiem fakt, że p. Malenkow łatwiej mógłby znaleźć wspólny język z przewódcami amerykańskimi, niż z robotniczym aktywistą z Paryża, nie jest przypadkową swoboda z jaką poruszają się technokraci wewnątrz partii komunistycznych".

Roger Stéphane jeszcze wierzy w pozytywne strony komunizmu. Ale przestał wierzyć w możliwość — dla pisarza — służenia komunizmowi. Ideologicznie książka Stéphane'a pełna jest sprzeczności i wahań. Wartość jej — poza świadectwem — polega na wielkim talencie pamiętnikarza, czy reportera. Kapitalna rozmowa z Malraux, ciekawe spotkania z Koestlerem, z Orwellem — te strony książki warte są wszelkich teoretycznych rozważań.



Emmanuel d'Astier jest politykiem, bardziej niż pisarzem. Arystokrata z rodu admirałów i dyplomatów, d'Astier jest deputowanym „progresyw-

nym", redaktorem kryptokomunistycznej ,,Libération", bierze czynny udział w światowym ruchu ,,Obrońców Pokoju". Francuski Dominik Horodyński czy Konstanty Łubieński. Co prawda zaczął swą ,,karierę" trochę wcześniej, zanim runął jego burżuazyjny świat. Z kongresów ,,Pokoju", z kampanii wyborczych wśród komunistów, z przedpokoju Thoreza wraca jeszcze do rodzinnego dworu w Sigue, wchodzi w gobelin swego dzieciństwa. Krewni ambasadorowie, clubmani z Jockeya, admirałowie widzą w nim ,,karierę potworną, ale jeszcze godną poszanowania", tłumaczą ,,jego szaleństwo ambicją (w najwyższym sensie tego słowa) wytrwałością która chce zapobiec zniszczeniu". D'Astier (który w swej ,,powieści" występuje pod swoim własnym nazwiskiem) przeczy tym zarzutom. Daje mętne argumenty ,,miłości człowieka". Ale na próżno by w nim szukać rozdarcia Simone de Beauvoir, rozpaczy Roger Stéphane. Jego książka *L'été n'en finit pas* (Julliard, 1954) osadzona jest w komunistycznej fikcji, w komunistycznym banale. Będzie zapewne wydana przez ,,Czytelnika".

Tradycja ,,czerwonych hrabiów" dziwnie upadła. Nie ma już płomiennych Saint-Justów, szczodrych Mirabeau. Arystokratom, którzy weszli w ich służbę, wyznaczają komuniści rolę marginesową. Ci gładcy, obyci panowie będą zwykle spełniali rolę różnego pokroju ,,wtyczek". Nadają się oni do międzynarodowych kongresów do ,,kontaktów" z katolikami, do wygłaszania patriotycznych frazesów. Pełno ich w książce d'Astier. Kończy się ona zresztą swoistym apelem do zjednoczenia narodowego : ,,En fin de compte, il faut réunir"...

L'été n'en finit pas ma duże powodzenie we Francji, zapewne przede wszystkim dlatego, że jest to książka z przejrzystym kluczem. Prezydent Auriol, Bidault, Jules Moch — cała galèria francuskich polityków pod ledwo zmienionymi nazwiskami. Mimo humanitarnych motywów, autor interesuje się najbardziej polityczną kuchnią. Dlatego zapewne tak gładko przyjmuje maskę komunistycznego zakłamania. Obozy koncentracyjne, procesy moskiewskie i praskie, powstanie robotników w Berlinie — d'Astier wie o tym chyba równie dobrze jak każdy inteligentny człowiek, komunista, centralista, czy antykomunista. Simone de Beauvoir tłumaczyła nam mistrzowsko jak ,,Mandaryni" o tym wiedzą i jak mimo konfliktów sumienia stawiają na komunizm. D'Astier wspomina tylko o ,,melancholii" Polki z przedwojennego towarzystwa, która w Warszawie pyta go z utęsknieniem o Paryż. Dlatego, jeśli książki Simone de Beauvoir i Roger Stéphane są analizą pewnej formy zakłamania, książka d'Astier jest zakłamaniem w akcji.



,,Dziennik" Paul Léautaud znaliśmy z urywków które ukazywały się w ,,Mercure de France" i w ,N.R.F." przed wojną, w ,,Table Ronde" i w ,,Parisienne" po wojnie. Obecnie będzie wydana całość. Pierwszy tom *Journal Littéraire* (Mercure de France, Paris 1954) dotyczy lat 1893-1906. Dlaczego ,,Dziennik Literacki", w odniesieniu do tych zapisków tak szczerych, tak osobistych ? Odpowiedź daje może sam Léautaud, pisząc : ,,Troska o moje dzieło literackie odegrała znaczną rolę w sposobie w jakim pokierowałem mym życiem, jeśli w ogóle nim kierowałem". A więc nie tyle ,,dziennik literacki", co ,,dziennik literata". Ale Léautaud nie ma nic z ,,literata" w sensie kariery, ,,kuchni", intrygi. Co za pogarda dla ,,akademickich markizów". Jakież obrzydzenie (równoważone chęcią zdobycia pieniędzy) kiedy mu grozi jedna z pierwszych nagród Goncourt.

Jest to oczywiście dziennik egotysty : ,,Mogę się interesować jedynie samym sobą. I w dodatku wcale tego nie żałuję". Ale zarazem dziennik wspaniałego pisarza i człowieka o wielkim uroku, pomimo pozorów oschło-

ści i cynizmu. Oschłość wydaje mi się u niego rezultatem wielkiej uczciwości wewnętrznej. Nie umiał on nigdy „zaprawić" miłości, przyjaźni czy szacunku najdrobniejszym nawet kłamstwem. Chciał zawsze być samym sobą — stąd obawa przed „idealizmem", niechęć do wszelkiego sentymentalizmu. Jego mistrzowie — to Chamfort, Stendhal, Baudelaire, Mallarmé.

Ze zdziwieniem obserwuję jak poważni krytycy gorszą się tym pamiętnikiem, łamią ręce nad „potwornością" człowieka. Może wobec wizji dzisiejszego Léautaud, starego mizantropa, otoczonego trzydziestoma kotami, bezdomnymi psami, gęsiami które spacerują po biurku, ubranego jak ostatni „clochard" z wolteriańską mycką na głowie, ten dziennik młodego człowieka, okrutnie szczery, wydaje mi się wzruszającym dokumentem ludzkim.

◆

Nikos Kazantzaki jest zapewne najlepszym współczesnym pisarzem greckim. Jego powieść *Alexis Zorba* (Plon 1954) to wędrówka po Grecji ze starym chłopem, mędrcem, pełnokrwistym Sokratesem. *Alexis Zorba* przypomina Henry Millera. Przetrwał, jako postać, nawet pewien estetyzm autora.

◆

Paul Barton, to pseudonim młodego czeskiego syndykalisty, który aż do praskiego zamachu stanu stał na czele sekcji organizacyjnej centralnej rady syndykatów czeskich, starając się bezskutecznie przeciwdziałać infiltracji komunistycznej. Obecnie wydaje w Paryżu doskonały biuletyn poświęcony Czechosłowacji. Jego książka *Prague à l'Heure de Moscou"* (Pierre Horay, 1954), składa się z trzech części. Pierwsza część poświęcona jest procesowi praskiemu z roku 1952, druga walce klanów partyjnych o władzę od końca wojny aż do śmierci Stalina i Gottwalda, trzecia systemowi za pomocą którego Kreml rządzi Czechosłowacją od założenia Kominformu aż do roku 1954. Autor podkreśla trzy aspekty zasadnicze życia reżymu : technikę „amalgamów", wewnętrzne konflikty i stosunki z Moskwą. Paul Barton bardzo słusznie dokumenty z procesu Slanskiego użył jako „motyw przewodni" swej książki : proces ten może być uważany jako esencja komunistycznych metod. Świetnie udokumentowana i ciekawa książka zawierająca szereg oryginalnych interpretacji.

(j)

Przegląd miesięczników

Jugosławia wydaje, po francusku, oficjalny miesięcznik pt. *La Revue de la Politique Mondiale*. W ostatnim numerze, ciekawy artykuł I. Dobrawca, o „Walce Klas w Z.S.S.R.".

◆

Cahiers du Sud (10, Cours du Vieux Port, Marseille) jest jednym z tych prowincjonalnych miesięczników literackich, które, podobnie jak „La Tour de Feu" zaczynają przewyższać poziomem „N.R.F." i inne uznane paryskie „revues". Październikowy numer poświęcony jest „Nowej poezji włoskiej" i zawiera doskonałe krytyki i tłumaczenia.

◆

Tradycję Jarry podtrzymują *Cahiers du Collège de la Pataphysique* (2, rue des Beaux-Arts, Paris 6). „Patafizyka" — wszechnauka wynaleziona

przez profesora Faustrolla, genialną postać Jarry'ego — zawiera skarby absurdu i błyskawicznej prawdy. W październikowym numerze — olśniewający „Traité des Patagrammes" René Daumala.



W listopadowym numerze *La Nouvelle N.R.F.* piękny tekst młodego poety „Les Petits Choses". „Drobne rzeczy, to faktura naszych dni... To ziarno życia, sól ziemi". Bisiaux mógłby być lirycznym potomkiem Paul Léautaud.



W *Arts* (z 10 listopada) sensacyjny artykuł o genezie „Diable au Corps" Radigueta. Ciekawa rozmowa z p. A., modelem Marty: „Radiguet był nieznośny i zarozumiały. Kiedy poznał Cocteau, stał się niemożliwy". Ale wszystko wskazuje na to że powieść Radigueta jest niemal dosłowną relacją prawdziwych wydarzeń...



W *Revue de Métaphysique et de Morale* ciekawe „Wprowadzenie do filozofii sztuki" Bernarda Groethuysen, który w bardziej ścisłym języku filozoficznym stawia tezy podobne do teorii Malraux.



W *Revue de Paris* (listopad) artykuł André Maurois o Emily Dickinson, zbyt mało znanej poetce amerykańskiej z XIX wieku, której niezwykłe wiersze zapowiadają nieraz Mallarmé.

(j)

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

ASTIER (D'Emmanuel). *L'Été n'en finit pas.* Roman. Pp. 324. (Ed. Julliard, Paris, 1954, frs 690).

LAMMING (George). *Les îles fortunées.* Roman. Traduit de l'anglais par Colette Audry et Henriette Étienne. Pp. 338. (Ed. Julliard, Paris, 1954, frs 900).

LEWIS (Norman). *La Terre d'Or.* Voyage en Birmanie. Pp. 330. (Ed. Julliard, Paris, 1954, frs 900)

FREUSTIÉ (Jean). *Auteuil.* Roman. Pp. 222. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1954).

CALDWELL (Erskine). *Un Patelin nommé Esthervìlle.* Traduit de l'américain par Charles Lecoteley. Pp. 251. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 500).

MORIO (Daniel). *La deuxième chance. Roman.* Pp. 175. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 350).

COMPTON-BURNETT (Ivy). *Une famille et son chef.* Roman. Traduit de l'anglais par J. Robert Vidal. Pp. 258. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 500).

MIOMANDRE (de Francis). *L'oeuf de Colomb.* Roman. Pp. 250. (Ed. Grasset, Paris, 1954, frs 480)

PLISNIER (Charles). *Roman.* Papier d'un romancier. Pp. 252. (Ed. Grasset, Paris, 1954, frs 495).

BEAUVOIR (de Simone). *Les Mandarins.* Roman. Pp. 579. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 900).

URIS (Léon M.). *Le cri de la victoire.* Pp. 566. ,Ed. Plon, Paris, 1954, frs 900). Traduit de l'américain par René Jouan.

WEINTRAUB (Wiktor). *The poetry of Adam Mickiewicz.* Pp. 302. (Edited by Cornelis H. Van Schooneveld, Leiden University, II, 1954).

DAVET (Michel). *Barbara.* Pp. 253 (Ed. Plon, Paris, 1954, frs 420).

ZWYCZAJNA (Ołena). *Ohlanuwszyj nazad...* Str. 230. Wyd. Dniprowa Chwyla, Monachium, 1954).

DOKUMENTY CHWILI

KEMP (Robert). *Moscou reçoit.* Pp. 145. (Ed. Grasset, Paris, 1954, frs 330).

MACKIEWICZ (J.). *Il massacro della foresta di Katyn.* Pp. 264. (Ed. Paoline, Roma, 1954. Cena lir. 950).

Les archives secrètes de la Wilhelmstrasse. V. Livre II.: Le Proche-Orient, L'Amérique Latine, La Question juive. Pp. 158. (Ed. Plon, Paris, 1954).

GAMELIN (Général). *Manoeuvre et Victoire de la Marne.* Pp. 359. Ed. Grasset, Paris, 1954, frs 885).

ROHAN. *Heimat Europa.* Pp. 355. (Eugen Diederichs Verlag, Düsseldorf, 1954, DM. 16,80).

Europe. Nine panel studies by experts from Central and Eastern Europe. Str. 146. (Wyd. przez Free Europe Committee, Inc., New Yourk, 1954).

DAVID (Claude). *L'Allemagne de Hitler.* Pp. 124 (Ed. Presses Universitaires de France, Paris 1954).

HISTORIA

DE GAULLE (Charles). *Mémoires de guerre.* Vol. I. L'Appel. 1940-1942. Pp. 692 (Ed. Plon, Paris, 1954, frs 1.200).

PASZKIEWICZ (Henryk). *The origin of Russia.* Pp. 556. (Nakł. George Allen and Unwin Ltd., Londyn, 1954. Cena 63 sh.).

AUPHAN (Amiral). *Les convulsions de l'histoire ou le drame de la désunion européenne.* Pp. 428. (Ed. Les Iles d'Or, Diffusion Plon, Paris, 1954, frs 960).

RÓŻNE

LAMIRAND (Georges). *Le rôle social de l'ingénieur.* Pp. 301. (Ed. Plon, Paris, 1954).

GIBRAN (Kahlil). *Prorok.* Przekład Wandy Dynowskiej. Str. 96. (Nakł. „Cedr i Orzeł, 1954).

HONIGWILL (Ludwik). *Sharp answer to Sharp.* Str. 88. (Published by Polish Socialist Alliance in U.S.A., New York, 1954).

Antemurale. Str. 155. (Nakł. Institutum Historicum Polonicum Romae, Rzym, 1954).

Bulletin de la Commission Internationale des Juristes. Octobre 1954. Str. 39. (Haga, 1954).

GIZBERT-STUDNICKI (Wacław) *Mickiewicz and his Country.* Str. 8. (Nakładem autora, St. Zjedn.).

Anthologie de la deuxième décade 1940-1950. Pp. 418. (Ed. de la Maison du Poète, Bruxelles 1954).

GROUSSET (René). *L'homme et son histoire.* Pp. 243. (Ed. Plon, Paris, 1954, frs 450).

Rocznik Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Rok 1953-1954. Str. 92. (Wyd. przez T-wo z zasiłku inż. W. Z. Łukaczyńskiego, Londyn).

Le lieu d'origine des Huns par Philippe Lozinski. Pp. 90-111. (Odbitka z Rocznika 1953, Facultad de filosofia y letras. Instituto de Historia Antigua y Medieval, Buenos Aires).

GUERDAN (René). *Vie, grandeur et misères de Byzance.* Pp. 270. (Ed. Plon, Paris, 1954).

POLÓWIEC (Henryk). *Przeciw zdradzie socjalizmu i demokracji.* Str. 35. (Nakł. Członków PPS., Londyn, 1954, cena 2 sh.).

TROJAN (I.). *Liberum veto przeciw jedności narodowej.* Str. 16. (Wyd. Londyn, 1954, cena 1 sh.).

BARTON (Paul). *La communauté européenne de détente. Le drame de l'émigration dans la guerre froide.* Pp. 68. (Supplément de la revue „Preuves", Paris, 1954, frs 90).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Dopiero w tych dniach doszedł mnie numer 80 „Kultury" z artykułem pana Zarzewskiego pod tytułem „Zjednoczenie bez treści", w którym obszerny ustęp poświęcony jest osobie prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego pana Stanisława Mikołajczyka. Muszę stwierdzić, że artykuł ten, obok pewnego niesmaku, przede wszystkim wywołał moje zdziwienie. Miałem prawo spodziewać się, że autor niewątpliwie ciekawego, głęboko ujętego i pod wielu względami słusznego artykułu „Fetysze i fikcje emigracji" podejdzie do sprawy polityki Mikołajczyka również w sposób ciekawy i głębszy tymczasem spotkałem się w nim z powszechnie znanymi i wielokrotnie już powtarzanymi zarzutami, prócz jednego nowego, stanowiącego największe „curiosum" to jest odpowiedzialności Mikołajczyka za powstanie warszawskie. Mam wrażenie, że gdyby ten artykuł ukazał się jeszcze o miesiąc później to obecny stan rzeczy w Londynie również obciążyłby osobę Mikołajczyka. W jednym tylko punkcie artykuł pana Zarzewskiego odbiega od dawnych szablonów, a mianowicie gdy stawia sprawę wyłącznie na płaszczyźnie politycznej, podkreślając z całą słusznością, że rozważanie spraw tego rodzaju w atmosferze zarzutów natury moralnej nie sprzyja sądom spokojnym i obiektywnym. Pan Zarzewski nie uważa przeto Mikołajczyka za zdrajcę czy nawet złego Polaka, uważa go natomiast za katastrofalnie złego i naiwnego polityka. W każdym razie jest to już pewien postęp. Muszę stwierdzić, że nie znam osobiście prezesa Mikołajczyka, nie należałem przed wojną do Polskiego Stronnictwa Ludowego, nie pojechałem do kraju, nie współpracowałem z „rządem jedności narodowej" i nie miałem z nim nic wspólnego. Po zakończeniu moich funkcji jako poseł polski w Chile reprezentujący nasz Rząd na wygnaniu, i przeniesieniu się do Montevideo, ojczyzny mojej żony, kontynuowałem i kontynuuję akcję przeciwko reżymowi w kraju. Muszę również stwierdzić, że na zapytanie jednego z przedstawicieli Polskiego Stronnictwa Ludowego poza granicami kraju, mającego bezpośredni kontakt z Mikołajczykiem w pierwszych miesiącach 1946 roku, co do ewentualnej współpracy z rządem jedności narodowej otrzymałem odpowiedź będącą wówczas wyrazem poglądów Mikołajczyka w sensie negatywnym. Na politykę Mikołajczyka wyrobiłem sobie swój własny pogląd i zanim jeszcze wszedłem z nim w kontakt, co nastąpiło po jego przyjeździe do Stanów, broniłem jej w prasie emigracyjnej wychodzącej w Buenos Aires i stanowiska mego dotąd nie zmieniłem.

Zanim odpowiem na poszczególne zarzuty stawiane przez pana Zarzewskiego uważam za konieczne stwierdzić, że zdaniem moim sytuacja Polski po zakończeniu wojny była tak ciężka, że wymagała akcji na kilku frontach. Podobnież, jak uważam i uważałem, że tak zwane różnice orientacyjne podczas pierwszej wojny światowej miały każda swoje uzasadnienie i stanowiły coś w rodzaju wzajemnej reasekuracji tak też i w sytuacji wytworzonej w 1945 roku konieczna była przynajmniej do czasu polityka na dwa fronty, polityka reasekuracyjna — pewnego rodzaju podział ról. Podczas gdy słuszne było, że jedni przywódcy polityczni polscy pozostali poza granicami kraju i tam kontynuowali politykę protestu wobec aliantów, było również potrzebne ażeby znaleźli się politycy z dużą odwagą cywilną i odwagą w ogóle (gdyż znacznie wygodniej i bezpieczniej było pozostać zagranicą), którzy udaliby się do kraju celem podjęcia tamże walki w imię zasad demokratycznych i istotnych interesów polskich przeciwko tym, którzy pod osłoną bagnetów rosyjskich chcieli krajowi narzucić swą wolę. Takim właśnie politykiem był Mikołajczyk. I różnica pomiędzy nim a pozostałymi politykami emigracyjnymi polega na tym, że ci ostatni walczyli jedynie słowami podczas kiedy ten przeszedł do czynów, poszedł sam w paszczękę lwa i tam nieustraszenie i bez przerwy walczył aż do chwili dopóki możliwości tej walki stały się zupełnie beznadziejne. Że tak było dowodem tego słowa pana Stefana Korbońskiego w jego niezmiernie wartościowej książce „W imieniu Rzeczypospolitej", który pisze: „Później, zamiast planowanej przez komunistów współpracy rozwinęła się pomiędzy nimi a Stronnictwem Ludowym zażarta walka. Po raz pierwszy w historii chłopi stanęli na czele narodu walcząc zażarcie z nową okupacją wspierani w tej walce przez wszystkie warstwy społeczeństwa. Próba sił w referendum dała w rzeczywistości olbrzymią przewagę Polskiemu Stronnictwu Ludowemu. Później nastąpiła odmowa, utworzenia z komunistami bloku wyborczego i wybory same, w czasie których dziesiątki tysięcy członków Polskiego Stronnictwa Ludowego przeszło przez więzienia. Tylko człowiek złej woli lub głupi, oceniający tę sprawę z bezpiecznego oddalenia, może nazwać to współpracą z komunistami". A któż jeżeli nie Mikołajczyk stał po śmierci Witosa na czele tego stronnictwa. Mikołajczyk, nie zapominajmy, przez fakt zajmowania stanowiska wicepremiera w rządzie jedności miał możność znacznie skuteczniej bronić Polaków przed komunistami i kierować stronnictwem.

Pierwszy zarzut pana Zarzewskiego polega na tym, że Mikołajczyk rzekomo zrzekł się Lwowa i Wilna, żeby ratować niepodległość co mu się nie udało. Mam wrażenie, że autor artykułu nie przeczytał książki Mikołajczyka pod tytułem „The rape of Poland", gdyż w przeciwnym razie nie byłby się tak wyraził. Stanowisko Mikołajczyka do uchwał jałtańskich było takie same jak stanowisko czynników kierujących polityką kraju czyli Rady Jedności Narodowej. To stanowisko zostało również w sposób jasny określone przez ostatniego delegata Rządu na Kraj pana Stefana Korbońskiego, który brał udział w obradach Rady. „Istnieje, mówi pan Korboński, spór na emigracji czy rada zaakceptowała Jałtę czy też ją odrzuciła. Należy stwierdzić, że Rada Jedności oświadczyła gotowość wzięcia za podstawę do rozmów mających na celu uregulowanie stosunków polsko-sowieckich postanowień konferencji krymskiej, wypowiedziała się za ujawnieniem podziemia i za jak najśpieszniejszym utworzeniem rządu jedności narodowej. Uznano Jałtę za zło konieczne, które Polskę krzywdzi, ale do którego kraj musi się zastosować. Naturalnie przy takim podejściu do Jałty nie może być mowy o jej akceptacji ani o odrzuceniu". Takie też było stanowisko Mikołajczyka, który bynajmniej nie oddał Lwowa i Wilna, ani nie pogodził się z ich utratą, lecz stanął wobec faktów dokonanych i przyjął to jako zło w danym momencie nieodwracalne. Ktoś, kto przeczytał pamiętniki Churchilla i książkę Mikołajczyka przekona się z jaką energią bronił Miko-

łajczyk Ziem Wschodnich. To stanowisko Mikołajczyka w niczym nie przesądziło sprawy na przyszłość, przeciwnie jest prawdopodobne, że Zachód gdyby mógł, chętniej by oddał Polsce z powrotem utracone ziemie wschodnie niż zgodził się definitywnie na nasze granice zachodnie. Tu należy podkreślić niewątpliwe zasługi Mikołajczyka co do Ziem Odzyskanych. On to w znacznym stopniu przeforsował, że na konferencji w Poczdamie nastąpiły decyzje acz dla nas niezadawalające, ale lepsze niż można było oczekiwać, o ile chodzi o granice zachodnie. Mikołajczyk jadąc do kraju nie łudził się i zdecydował się na swój powrót z ciężkim sercem, wzywany przez swe stronnictwo i przyjęty przez naród z entuzjazmem. Pojechał ażeby wypełnić ciężki ale konieczny obowiązek : utrudnić opanowanie Polski przez komunistów, próbować ratować zagrożoną śmiertelnie niepodległość, a jeżeli to się uda — udowodnić wobec świata, że pomimo najdalej idących poświęceń, jakakolwiek polityka z komunistami i Rosją jest niemożliwa.

Nie tylko Mikołajczyk, ale cały szereg najwybitniejszych polityków demokratycznych w krajach za żelazną kurtyną próbowali wprowadzenia do tych krajów zasad, opartych na demokracji, wszyscy więc zgodnie z teorią pana Zarzewskiego byli nic nie rozumiejącymi głupcami. Możliwe, że nawet istniały w tym kierunku pewne złudzenia ale te złudzenia podzielali i mężowie stanu wielkich demokracji, z których niektórzy do dzisiaj jeszcze rządzą na Zachodzie.

Bardzo łatwo jest twierdzić obecnie, że wszystko to należało przewidzieć. Gdyby tak było, to niewątpliwie cała polityka światowa poszłaby innym torem.

Odnośnie wyborów to właśnie one wykazały, więcej niż inne fakty, brak prawdziwej wolności w Polsce, co zupełnie zapoznaje autor artykułu. Wybory te były jedną ciężką walką prowadzoną przez P.S.L. przeciwko komunistom, i stały się tym momentem decydującym, po którym dalsza tak zwana walka legalna okazała się niemożliwa. Przez sam fakt jednak wyborów podniósł się duch w kraju i siła oporu a poza tym stało się widoczne dla świata zachodniego do czego dąży Rosja. Fakt ten, i kryzys w Czechosłowacji więcej niż cokolwiek bądź innego otworzyły oczy demokracjom zachodnim i to było jednym z celów polityki Mikołajczyka. Godne ubolewania jest, że Zachód ograniczył się tylko do protestów wobec tak jaskrawego i haniebnego pogwałcenia postanowień podpisanej przezeń umowy jałtańskiej.

W dalszym ciągu autor zarzuca Mikołajczykowi, że zamiast jechać do kraju powinien był pozostać zagranicą i protestować. Tu rzuca się w oczy, że mimo niepochlebnych epitetów, jakie się dostały Mikołajczykowi, mimowoli wychodzi na to, że był on jedynym politykiem polskim, którego protest mógł odnieść pewien skutek. Czy autor zapomniał o innych politykach, którzy wszak pozostali zagranicą i zgodnie z tezą autora nic innego nie robili tylko wciąż protestowali, ale te protesty widocznie nie miały dla pana Zarzewskiego żadnego znaczenia, dopiero protest Mikołajczyka mógł się stać „kapitałem politycznym dla sprawy polskiej". Niezbyt to pochlebne dla tych pozostałych polityków. I zapytuję, Szanownego Autora, cóż nam dały dotychczas te protesty ? Ja sam nic innego nie robię tylko protestuję, ale to nie znaczy ażebym miał uważać za idiotę tego, który był zdania, że obok polityki protestów poza granicami kraju należy przede wszystkim zacząć od protestów w samym kraju i po to tam pojechał, narażając nie tylko swą wolność ale i życie. Gdyby Mikołajczyk był pozostał zagranicą powiększyłby grono owych polityków londyńskich, którzy dzisiaj dość słabo zdają egzamin nie tylko wobec emigracji, ale i wobec całego kraju. Ja myślę, że przeciwnie, przez fakt wyjazdu do kraju i podzielenia losu Narodu w tragicznym momencie przejścia z jednej okupacji do drugiej Mikołajczyk stwo-

rzył sobie kapitał, który kiedyś kraj potrafi ocenić, choć emigracja nie życzy sobie, jak twierdzi pan Zarzewski, mieć go pośród siebie.

Odnośnie ujawnienia podziemia doradziłbym autorowi zapoznać się z cytowaną już książką Korbońskiego oraz książką samego Mikołajczyka. Korboński stwierdza zdecydowanie że ujawnienie podziemia było koniecznością.

Wreszcie zarzut co do powstania (o ile wiem dotąd nikt takiego zarzutu Mikołajczykowi nie stawiał) tym bardziej mnie dziwi, że wszak nie tak dawno, z okazji 10-lecia powstania, ukazały się artykuły Bora-Komorowskiego, który nie tylko nie wysuwa podobnie absurdalnego zarzutu, ale stwierdza wyraźnie, że powstanie, w tych warunkach jakie się wytworzyły, stało się koniecznością, podobnież wyraża się cytowany już kilkakrotnie Korboński. Trzeba było aż dziesięciu lat, żeby ów zarzut ujrzał światło dzienne.

Punktów co miał uczynić Mikołajczyk po swojej nieudanej misji nie będę szczegółowiej omawiał, gdyż albo są to rzeczy mało poważne, jak to, że miał on oddać się w ręce bezpieki, albo nie odpowiadają rzeczywistości, jak na przykład, że Mikołajczyk nie starał się ratować ludzi podczas gdy wiadomo, że dzięki niemu tysiące ludzi zostało zwolnionych z łagrów, więzień bezpieki i aresztów lub że nie napisał książki, przeciwnie, napisał i z tej książki wynika, że próba jakiegoś *modus vivendi* z komunistami zawiodła. Jakąż jeszcze książkę miał napisać Mikołajczyk skoro swoją książkę zatytułował „Gwałt nad Polską" ? Czy miał ukorzyć się przed politykami londyńskimi, których obraz tak pięknie kreśli sam autor w drugiej części swego artykułu ? Książka Mikołajczyka była przetłumaczona na szereg języków obcych i wywołała duże wrażenie w całym wolnym świecie. Co by było przyszło z konfliktu ze sprzymierzeńcami, którzy byliby nad nim przeszli do porządku dziennego, przyznam się, nie rozumiem. Co do Rosji, to wszak wiadomo, że ta wszelkimi sposobami sprzeciwiała się przyjazdowi Mikołajczyka do Polski; już to samo wskazuje w czyim interesie leżało, żeby nie jechał, a następnie uważała go za swego zdecydowanego wroga i wiadomo, że jednym z argumentów komunistycznych ażeby w żadnym wypadku nie dopuścić do zwycięstwa P.S.L. w wyborach była obawa, jakie stanowisko zajmie Rosja.

Zarzut, że dzięki Mikołajczykowi Zachód uznał Bieruta jest wysoce naiwny. Znając, jak znamy, całą politykę Zachodu, nie można mieć najmniejszej wątpliwości, że prędzej czy później, może dwa miesiące później, Zachód uznałby jakikolwiek rząd w Polsce, bez względu na to, czy Mikołajczyk byłby do Polski pojechał, czy nie. Przecież tenże Zachód uznał wszystkie rządy krajów za żelazną kurtyną.

Przez swój wyjazd do Polski Mikołajczyk dodał otuchy pogrążonemu w najgłębszej rozterce Narodowi polskiemu; pozostawienie w tym momencie Narodu własnemu losowi po przejściach powstania i tragedii Jałty byłoby wpłynęło wysoce ujemnie na jego psychikę i ułatwiło znacznie zaprowadzenie reżymu komunistycznego w kraju. Działalność jego i jego stronnictwa odroczyły ostateczne skomunizowanie Polski, które rozpoczęło się po jego ucieczce, o kilka lat i przyczyniły się do utrwalenia odporności narodu, szczególnie chłopów, którzy do dnia dzisiejszego są ciężkim orzechem do zgryzienia dla reżymu. Jeżeli nawet można by dyskutować czy krok jego był słuszny czy nie, to należy lojalnie uznać, że był podyktowany najgłębszą troską o losy Polski i że politycy, którzy dzisiaj odrzucają współpracę z Mikołajczykiem, a których dotychczasowy bilans pracy na emigracji jest raczej nikły (być może bez ich winy) uzurpują sobie prawa, które należą do całego Narodu i wyrządzają swoim stanowiskiem krzywdę sprawie polskiej, wymagającej istotnego złączenia wszystkich elementów którym dobro Polski leży na sercu.

W końcu jest dla mnie niezrozumiałe, jaki cel miał autor w publikowaniu tego artykułu przez odświeżanie tak zwanej sprawy Mikołajczyka, który

wszak po swojej ucieczce z kraju współpracował przez długi czas z Kongresem Polonii w Stanach, a ponadto ze stronnictwami, które podpisały tak zwany akt zjednoczenia. Przecież chyba nie leży w interesie sprawy polskiej pogłębianie jeszcze więcej rozdźwięków i chaosu jaki zapanował ostatnio w ośrodkach akcji polskiej na emigracji.

Władysław MAZURKIEWICZ,
były długoletni poseł R.P. w krajach Ameryki Południowej.
Montevideo.



Szanowny Panie Redaktorze,

Podziwiając zawsze zdrowy rozsądek i realizm „Londyńczyka" zaskoczony jestem że i on uległ tak rozpowszechnionej w polskim Londynie modzie „bezpartyjności", przyłączając się do chóru tych, którzy odmawiają stronnictwom politycznym prawa do występowania w imieniu społeczeństwa.

Argument brzmi : 95 procent ogółu emigracji nie należy do żadnej partii politycznej. Z tego rzekomo wynika że „reprezentacja partii politycznych" cieszy się poparciem 5 procent społeczeństwa emigracyjnego". Wysuwając słuszny skądinąd postulat wyborów „Londyńczyk" najwyraźniej zakłada, że wybrani zostaną ludzie nie mający z partiami nic wspólnego.

Wydaje mi się, że emigracja nie zasługuje na taką ocenę, gdyż jeśliby ją uznać za słuszną, to trzeba by dojść do wniosku, że emigracja polska jest jakimś dziwolągiem politycznym, niepodobnym do żadnego innego społeczeństwa demokratycznego.

Istotnie, nie znam przykładu społeczeństwa, którego nawet 50 procent, nie mówiąc już o 95, nie potrafiłoby zmieścić się w ramach istniejących partii. Przejrzałem ostatnio wyniki wyborów w różnych krajach w roku 1953. Otóż w większości tych krajów niezależni nie dostali ani jednego mandatu : w Australii, Danii, Południowej Afryce, Niemieckiej Republice Związkowej, Norwegii, Islandii i we Włoszech. Tylko w Japonii zdobyli 4 procent. W Austrii tzw. liga niezależnych uzyskała wprawdzie 10,8 procent, ale pod tą nazwą kryje się wyraźny kierunek polityczny, mianowicie byli hitlerowcy. Jednym słowem w społeczeństwach demokratycznych ludzi do tego stopnia bezpartyjnych, by nie głosowali na istniejące partie, jest bardzo a bardzo mało.

Czy znaczy to, że wszyscy należą do partii ? Bynajmniej. Wszędzie w krajach demokratycznych ilość ludzi należących do stronnictw i płacących składki, stanowi tylko nieznaczny ułamek tych, którzy w wyborach stronnictwa popierają. Toteż nikomu nie przyszłoby na myśl oceniać popularności np. M.R.P. we Francji po ilości członków.

Ci, którzy odnoszą się negatywnie do wszystkich istniejących partii, zazwyczaj dają wyraz swemu nastawieniu przez niebranie udziału w wyborach. Ale takich wyborów, w których wyborcy głosowaliby przeciw wszystkim istniejącym partiom, jeszcze nie było.

Sądzę że nie byłoby inaczej na emigracji. W wyborach do których stanęłyby ugrupowania należące do Tymczasowej Rady Jedności Narodowej bodajże każdy Polak na emigracji znalazłby takie, które by mu odpowiadało. Nawet bezpartyjni mają swoją Grupę Społeczną.

Można sprzeczać się, która z partii ma większe poparcie, a która mniejsze. Natomiast trudno jest kwestionować że wspólna reprezentacja wszystkich ugrupowań politycznych przemawia w imieniu olbrzymiej większości społeczeństwa. Wybory wykażą jedynie jak wygląda na emigracji popularność każdego z nich.

Trzeba zresztą pamiętać że wybory na emigracji nie byłyby normalnymi wyborami. Londyńczyk twierdzi, że wszyscy którzy płacą na Skarb Narodowy muszą mieć jednakowy wpływ na kontrolę nad Skarbem w drodze wyborów. Ale płatnicy Skarbu rozsiani są po całym świecie. Czy mamy więc przyjąć, że liczna rzesza Polaków w Australii wyśle swoich kilku reprezentantów do nowej reprezentacji, tak samo Polacy z Argentyny i z Kanady itd. Wpływy ze Skarbu ledwie starczyłyby na przejazdy ! W najlepszym razie emigracja rozsiana po świecie mogłaby wybrać do tej reprezentacji ludzi zamieszkałych w Wielkiej Brytanii, głównie w Londynie. Tymbardziej więc trudno byłoby sobie wyobrazić wybór niezależnych, lokalnych działaczy, znanych bezpośrednio wyborcom.

W praktyce wybory zapewne ograniczą się do Wielkiej Brytanii. Ale wyłoniona z niej reprezentacja miałaby mniejszy tytuł do przemawiania imieniem całej emigracji, niż reprezentacja obejmująca wszystkie kierunki polityczne.

Trzeba by szukać rozwiązania które by te wyjątkowe okoliczności uwzględniało. Społeczeństwo emigracyjne ma pełne prawo do zabrania głosu w sprawach publicznych. Polonia brytyjska, a tak samo Polonia francuska, australijska itd. może wyłonić w drodze wyborów swoje przedstawicielstwo, które by miało poważną rolę do odegrania.

Może to czy inne stronnictwo obawiać się wyborów, ponieważ liczy się z możliwością, iż wykazałyby jego słabości. Są inne, które wyborów nie boją się. Ale żadne wybory nie zmienią faktu że reprezentacja obejmująca w s z y s t k i e ugrupowania jest reprezentacją całego narodu.

Łączę wyrazy poważania.

Aleksander BREGMAN

Londyn.



Szanowny Panie Redaktorze,

Dziś dopiero na koniec świata doszła „Kultura" 9/83. P. Mieroszewski zajmuje się tam naszym kryzysem politycznym i rozbudową organizacyjną Polonii w diasporze.

Z zupełnej gmatwaniny pojęć i nadmiaru władz J. Mieroszewski widzi wyjście szerokie ale wykonanie wydaje się proponowane nieszczęśliwie.

Organizacyjne powiązanie dziesięciu milionów ludzi — jednej trzeciej obywateli Państwa z 1939 roku — to zadanie o wiele ważniejsze niż londyńskie rozgrywki, kto Polskę na Zachodzie będzie reprezentować ?

Pracę tę wykonać tylko może nowa organizacja związana ze wszystkimi istniejącymi, a zwłaszcza : w oparciu o Polonię amerykańską. Nie może to być (sądzę !) Skarb Narodowy, dotąd nie wszędzie popularny, miejscami ze względów politycznych zwalczany, teraz dzielący się na komisje finansujące Prezydenta i Rząd, Triumwirat i Egzekutywę, a wreszcie wyczekujące „na wyklarowanie sytuacji" np. w Australii.

Polonię mogą stworzyć tylko ludzie młodzi dosłownie i młodzi duchem, nie przywiązani biurokratycznie do form, których nie wypełnia się treścią. Starzy, ze swoim państwem fikcji, legalizmu bez szacunku dla prawa, z oczekiwaniem jutrzejszej od dziesięciu lat wojny jako recepty na wszystkie polskie i światowe dolegliwości, z nawykami lat które minęły, gadulstwem bez czynu, a czynem w uchwale — wielkości tej sprawy nie pojmą, a więc nie wykonają. Bezdusznym tłumem urzędników zapełnią nowe „szczyty" organizacyjne : utkwią w mrzonkach o przeszłości.

Przez analogię przypominam sobie czerwiec 1946 rok. Ppłk. dypl. Jedziniak przyleciał do Ancony dla organizowania S.P.K. Dowódca Korpusu zgodził się. Wielu starszych oficerów przyjęło ten pomysł jako... rozbicie wojska. Rozwiązanie Polskich Sił Zbrojnych było już przez rząd brytyjski zadecydowane, serdeczne listy premiera z zaleceniem powrotu do kraju, rozdane żołnierzom. Na odprawie Sztabu Korpusu miałem przedstawić konieczność zorganizowania S.P.K. Było jednak nad nami błękitne niebo Italii, opalone i w miarę otyłe, dobrobytem zwycięzców tryskające twarze i ta pewność siebie rozlana wokół, którą daje mundur, czołgi i działa zaparkowane w porządku, wozy sztabowe przed gmachem. Kiedy patrzyłem po tych postaciach w oczach ujrzałem, dobrze mi znane, odbicie wiary w jutrzejsze „Tito u bram Italii, wojna z Rosją murowana". Straciłem kontenans i choć nie sięgam do kieszeni po słowa, mówiłem blado, bo to było przeciw ich i mojej własnej naturze, kołyszącej się w ułudzie snu o szpadzie w Italii, wtedy naszej.

Fikcja trwałości naszego małego wojska, już zadekretowanego na dobrowolno-przymusowe roboty cywilne dla Anglosasów, była niemniejsza niż fikcja Państwa dla ludzi wciągniętych w jego orbitę. Ci ludzie wieku przeszłego nie zrealizują Polonii w diasporze. Muszą się znaleźć inni !

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

S. ŻOCHOWSKI

Australia.



Wielce Szanowny Panie Redaktorze !

Nadzwyczaj interesujący artykuł Londyńczyka w nr 10/84 pisma Panów skłania mnie do dwóch uwag :

Londyńczyk zaniepokojony jest możliwością, że 5% społeczeństwa emigracyjnego reprezentowanego w partiach politycznych ma zarządzać Skarbem Narodowym, do którego płaci również 95% bezpartyjnych. Czy Londyńczyk uważa, że większy procent był „udziałowcem" w partiach politycznych w Kraju, które zarządzały, przez uchwalanie budżetu, funduszami państwowymi ?

Druga sprawa to wybory które uważane są przez wszystkich jako najidealniejsze rozwiązanie. Nie zaprzeczając temu chciałbym podkreślić że wybory miałyby rację bytu na emigracji jedynie przy następujących dwóch możliwościach :

1. — Wybrani we wszystkich krajach emigracji przedstawiciele mieliby zagwarantowane fundusze na wyjazd, chyba co najmniej 6-tygodniowy do Londynu aby wziąć osobisty udział w sesji. Pomysł udzielania pisemnych pełnomocnictw, już naturalnie bez udziału wyborców, uważam za chybiony.

Czy tego rodzaju finansowanie wyjazdów w naszych warunkach jest możliwe, mam duże wątpliwości.

2. — W każdym kraju działają niejako sekcje Rady, mającej siedzibę w Londynie, omawiają nadsyłane tematy i przesyłają uchwały do Londynu. Jest to droga bardzo żmudna, nie dająca możliwości przedstawiania wzajemnego argumentów za i przeciw.

Jeżeli weźmiemy jeszcze pod uwagę, że ułożenie programów partyj politycznych — poza skrajnymi : katolicką czy socjalistyczną — sprawi bardzo dużo kłopotów ich przywódcom, bo czyż programy te nie zmalały do jednego celu uzyskania niepodległości i walki z komunizmem, to spostrzeżemy jak trudną sprawą jest kwestia wyborów.

Moim skromnym zdaniem, referendum jest w naszych warunkach środ-

kiem o wiele praktyczniejszym. W sprawach zasadniczych, od czasu do czasu, zasięga się zapomocą referendum opinii ogółu emigracji, która wypowiada swoje zdanie, będące wiążącym dla władz kierujących polityką na emigracji.

Łączę wyrazy szacunku.

Aleksander WASUNG
(Genewa)

◆

Szanowny Panie Redaktorze !

Zabawny, uczony i żarliwy artykuł Jana Tokarskiego pt. Powrót Świętych (nr 84 i 85) utwierdził mnie w przekonaniu, że — za przeproszeniem Ojca Bocheńskiego — prawda jest „względna".

Boć wszystko, co Tokarski mówi o arcyludzkości świętych jest zgodne z rzeczywistością i szlachetne w intencji, ale w sumie daje fałszywy i szkodliwy obraz, skutkiem przerysowania cech nieistotnych a niedorysowania istotnych.

Oczywiście, Tokarski namalował taki obraz w celu pedagogicznym : dla walki z dewocyjną czułostkowością. Popełnił tu jednak pomyłkę polegającą na tym, że owa czułostkowość przestała już dawno być wadą główną katolickiej (z przekonań, nie metryki) inteligencji polskiej i pokutuje jeszcze tylko w sercach pobożnych starszych pań i nielicznych duchownych.

Dlatego ten artykuł spełniłby bardzo dodatnią rolę w jakimś Dzwonku Niedzielnym, ale nie w „Kulturze" za której pośrednictwem dotrze przede wszystkim do nas, do tych „intelektualnych", „walczących", rzekomo nowoczesnych katolików, co się tak kochamy w połajankach, bojkotach, wieszaniu psów, mieszaniu z błotem, ciskaniu gromów i odsądzaniu od czci i wiary — wszystko w imię... niesentymentalnej miłości.

Kto wiele kocha — temu wolno może wierzgnąć czasem i przeciw pokorze, i przeciw skromności, i przeciw uprzejmości, i przeciw słodyczy. Naszym jednak, potwornie samolubnym i oschłym sercom te właśnie cnoty i cnotki trzeba najgoręcej zalecać. Bo inaczej gotowiśmy uwierzyć, że nasze małostkowe gniewy są świętym gniewem, nasza głupia nietolerancja służbą prawdzie i walką z indyferentyzmem, nasza chorobliwa próżność — zdrowym przeświadczeniem o własnej — pożal się Boże — wartości !

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego poważania.

Michał SAMBOR

Londyn.

◆

Szanowny Panie Redaktorze !

P. Jan Tokarski w essayu „Powrót świętych" pisze : „...święty Męczennik kanterburski oddał życie za to, aby Kościół był wolny i od władzy świeckiej niezależny".

Wydaje mi się to odwrotnym przedstawieniem faktów. Zamordowanie św. Tomasza Becketa, podobnie jak zabójstwo św. Stanisława Szczepanowskiego przez Bolesława Śmiałego — to krwawe ilustracje walki, jaką toczyli ówcześni królowie i cesarzowie nie o podporządkowanie sobie Kościoła, ale o to, by władza świecka była wolna i od Kościoła niezależna.

Łączę wyrazy poważania.

H. KLEINERT

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z moim opowiadaniem w październikowym numerze „Kultury" pt. *Kombatantki* prostuję omyłki zaszłe przy przepisywaniu artykułu :

1) łączniczki w kanałach szły co 50 (nie 150) osób jako przewodniczki.

2) Powstańcy z Czerniakowa szli kanałami na Mokotów, a do śródmieścia przebijali się górą — ulicami.

3) Matki poległych w U.S.A. mają odznakę Gold (nie Silver) Star.

Z poważaniem

Zofia WAŃKOWICZOWA

New York.



Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze październikowym „Kultury" Łobodowski prostuje omyłkę, jaka zakradła się do mego artykułu „O roli awangardy", w którym błędnie podałem, iż pierwszym tomem Zagórskiego było „Przyjście wroga". Zagórski istotnie zadebiutował tomem „Ostrze Mostu", ale ukazał się on w roku 1933, jak podałem w mej chronologii poetyckiej tego okresu. „Przyjście wroga" zostało wydane w roku 1934.

Łobodowski uważa swe dwa pierwsze tomy za iuvenilia. Nie mogłem ich jednak pominąć w tym rysie chronologicznym; w przeciwnym razie Łobodowski mógłby mieć do mnie słuszną pretensję.

Sprostowanie Janty w numerze 9 „Kultury", wyjaśniające, iż Gide uważał „Corydona" nie za najlepszą ale za najważniejszą książkę w niczym nie zmienia mej opinii. Jest ono dla Gide'a, raczej obciążające. W okresie, gdy się ona ukazała, było to równoznaczne z wyważaniem otwartych drzwi i byłoby dla Gide'a krzywdą, gdyby potomność miała go ocenić na podstawie tej „najważniejszej" książki.

Łączę wyrazy poważania.

Jan BRZĘKOWSKI

Amélie-les-Bains.



Szanowny Panie Redaktorze !

Jako filister „chudzinowej" Cresovii chętnie wybaczam Miłoszowi jego nienawiść do korporacyj. Wybaczam za jego gorącą miłość do Almae Matris, za to czułe, pełne synowskiego przywiązania wspomnienie o Niej.

Artykuł o Bujnickim świetny. Szczególnie to zakończenie — „Powiedz, że to nie wszystko".

Z niecierpliwością czekam na zapowiedziany hymn na cześć Rożka. Ale nie Alfreda, tylko Adolfa, takie bowiem już paskudne imię temu łacinnikowi, galileuszowi, entuzjaście Owidiusza, Osterwy i innych Offenbachów (pamiętam go w „Baronie Cygańskim") na chrzcie św. nadano.

I nie Zygmunt Nagórski, a Teodor — późniejszy wiceprezydent miasta Wilna, był jednym z założycieli, a później seniorem Klubu Włóczęgów.

Wyrazy głębokiego szacunku łączę.

Bohdan KAWECKI

Buenos Aires.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie dziwię się, że list mój z dnia 12. 10. br. nie został umieszczony w ostatnim numerze *Kultury*, ponieważ o to nie prosiłem. Natomiast byłem nieco zaskoczony wzmianką Redakcji o moim liście, o którym nie wiedziałem, że doszedł do Redakcji, w sprawie artykułów pana Mieroszewskiego w formie jakiegoś *post-scriptum* do listu (ale czy to był list ?) pana Ulatowskiego (str. 154). Szanuję poglądy pana Ulatowskiego, wysoko cenię jego artykuły o sztuce i cieszę się jego przyjaźnią. Ale bynajmniej nie podzielam jego poglądów politycznych, przynajmniej nie w całości, i list mój pokrywał się tylko z niektórymi zastrzeżeniami p. Ulatowskiego — jak to stwierdziłem w ogłoszonym ,,artykule'' z którym Szanowny Pan Redaktor chce mnie związać.

Uwaga o moim liście wydaje mi się niedość, że nieścisła, ale wręcz wprowadzająca czytelnika w błąd.

Poza tym z listu mojego bynajmniej nie wynikało, że list był pisany w Paryżu, czy nawet z Paryża wysłany. Mieszkam na głuchej prowincji i jestem profesorem Kolegium Jezuickiego w Amiens, sam będąc Jezuitą.

Wreszcie, muszę zaprotestować przeciwko porównywaniu z listem p. U. tonu mojego listu, który był zaopatrzony w nagłówek ,,Szanowny Panie Redaktorze'' i napisany w tonie uprzejmym dla Pana i dla ,,Kultury'', której — jak pisałem — pragnę pozostać przyjacielem, mimo rozczarowań, uważanych przez mnie za epizodyczne.

Byłbym Panu naprawdę wdzięczny, ponieważ nazwisko moje ukazało się w Pańskim piśmie, za sprostowanie tych przeoczeń czy omyłek i łączę wyrazy szacunku i poważania.

Ks. Jan M. SZYMUSIAK, T. J.

Amiens.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Z prawdziwym zadowoleniem znalazłem na wstępie ostatniego numeru ,,Kultury'' zestawienie hojnych ofiar pieniężnych na przyszły jej dom. Tym bardziej zaskoczyło mnie zamieszczone o kilkadziesiąt stron dalej Oświadczenie Zespołu. Streszczając rzecz krótko wynika zeń, że należy zarzucić legalizm, że stronnictwa polityczne na uchodźstwie są mało wartym przeżytkiem i że ,,obowiązkiem każdego logicznie myślącego emigranta jest wstrzymać się z płaceniem jakichkolwiek opłat na Skarb Narodowy'' (n.b. czy ,,płacenie opłat'' nie jest wykolejeniem się z kolein poprawnego stylu polskiego ?).

Pragnąłbym w związku z tym równie kategorycznym jak nieoczekiwanym oświadczeniem postawić ,,Kulturze'' parę pytań:

1) Tak nazwana w Oświadczeniu ,,fikcja legalizmu'' czyli innymi słowy ciągłość prawna państwa na obczyźnie stanowi — nawet pomijając moralną stronę zagadnienia — zdaniem wielu poważnych Polaków i cudzoziemców atut niepośledniej miary w rękach naszej emigracji. Czy bezinteresowne wyrzeczenie się tego atutu na skutek zrozumiałego odruchu zniecierpliwienia lub choćby istotnych sporów dzielących czasowo strażników symbolu, byłoby politycznie wskazane ? Wydaje mi się że każdy, kto przemyślał historię ostatniej wojny na pytanie to musi odpowiedzieć negatywnie.

2) Zespół nie może się zgodzić ,,na niekontrolowaną gospodarkę ani nominatów, ani delegatów stronnictw wyznaczanych przez prezesów urzędujących 16-ty rok z mandatu krajowego''.

Czy wolno wiedzieć z kogo się składa i z czyjego mandatu urzęduje oraz feruje tak stanowcze wyroki sam anonimowy Zespół ?

3) Oświadczenie orzeka dalej, że „wpłaty należy podjąć dopiero, gdy Skarb Narodowy zostanie przeorganizowany i oparty na zasadach demokratycznych gwarantujących kontrolę władzom wyłonionym przez płatników na drodze wyborów".

Czyż tego samego kryterium nie należałoby zastosować do ofiar na rzecz domu „Kultury" i do przedpłaty czasopisma ? Gdybym szedł po linii rozumowania Zespołu oświadczyłbym że „każda inicjatywa czy akcja w tym kierunku znajdzie moje pełne poparcie".

4) Jak wiadomo wszystkim Polakom, śledzącym przejawy życia emigracyjnego, finansuje Skarb Narodowy, poza placówkami dyplomatycznymi, chyba niepożądanymi bo stanowiącymi właśnie realne oblicze „fikcji legalizmu" głównie instytucje oświatowe, młodzieżowe, propagandowe jak to biblioteki, szkoły, obozy wakacyjne, rozgłośnie radiowe w Madrycie. Czyż zapewnienie dachu nad głową „Kulturze" ma iść w parze z zaniechaniem wszelkich innych form walki o też ważną, choć pisaną przez małe „k", polską kulturę ?

Pismo św. powiada że „wiele jest przybytków w domu Ojca mego". Wolno każdemu budować swój własny dom czy nawet kapliczkę. Ale nie wolno przy tej sposobności nawoływać do rozbiórki chat czy świątyń okolicznych.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

K. D. MORAWSKI

Nasz pogląd na legalizm formowaliśmy wielokrotnie i nie zamierzamy na tym miejscu powtarzać wszystkich argumentów w tej sprawie. Odnośnie punktów 2) i 3) pragniemy podkreślić, że dopóki Europa nie jest w całości skomunizowana jest rzeczą niepoważną porównywać prywatne *pismo jakim jest „Kultura" z* publiczną *instytucją jaką jest Skarb Narodowy. W wolnym świecie zespół redakcyjny miesięcznika nie musi być ani przez nikogo mianowany ani przez nikogo wybierany a każdy współpracownik sprawuje swoje funkcje jedynie z „mandatu" zaufania redaktora. Te zasady obowiązują w całej prasie zachodniej z wyjątkiem pism komunistycznych.*

Jakkolwiek prawo do anonimu przysługuje po tej stronie „żelaznej kurtyny" zarówno autorom jak i zespołom redakcyjnym, to jednak nazwiska członków Zespołu nie były nigdy tajemnicą i wielokrotnie je podawaliśmy — m. in. w n-rze 12/50 „Kultury", w związku z listem do redakcji p. Jana Chomęckiego, dobrego znajomego ambasadora Morawskiego.

Odnośnie punktu 4) wydaje nam się że żadne z pism polskich nie poświęciło Skarbowi Narodowemu tyle miejsca, uwagi i troski co „Kultura". Nie jest prawdą, że dążymy do zburzenia Skarbu Narodowego. Prawdą jest natomiast, że pragniemy zainicjować akcję, która by zmusiła obecny zarząd tej instytucji, czy jej „opiekunów", do podjęcia elementarnych reform które są niezbędnym warunkiem spopularyzowania idei Skarbu Narodowego i oparcia jego istnienia o solidny fundament.

Na marginesie : Ambasador wymienia w pkt. 4) instytucje, które Skarb Narodowy „głównie" finansuje. Szkoda że nie wymienił pozostałych.

Jerzy GIEDROYC

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Le général DE GAULLE et la Maison « Plon » nous ont autorisé à publier la traduction de larges extraits du premier volume des « Mémoires de Guerre ». Nous avons choisi les pages concernant la Pologne et les Polonais. Mais aussi des passages dont l'actualité est plus profonde pour nous, en tant qu'émigration politique : ceux qui concernent l'attitude d'un homme de grand caractère, qui ne sert que son pays et qui — seul et dépourvu d'atouts — devient, en éxil, l'allié de grandes puissances qui mènent le combat contre l'envahisseur de sa patrie.

Anatol MUHLSTEIN, qui adressa en 1940 une lettre ouverte à ses amis français aux Etats-Unis en les invitant à combattre dans les rangs de la France Libre plutôt que dans des armées alliées étrangères, nous parle de l'ensemble du premier volume des mémoires de de Gaulle.

Fernand TOURRET nous donne une esquisse de technologie atomique.

De Manès SPERBER, une analyse de la situation présente de la littérature française.

Czeslaw MILOSZ nous parle, dans ses « Notes de Lecture » de récentes traductions russes et polonaises de la poésie étrangère, et du poète bilingue polono-français Marian Pankowski.

Dans le « Journal » de Witold GOMBROWICZ, une esthétique, une physiologie, une sociologie de la femme polonaise (non dépourvues d'amertume...).

Juliusz MIEROSZEWSKI étudie la question des armements allemands sous l'angle des intérêts profonds de la Pologne.

La CHRONIQUE ANGLAISE est encore consacrée aux divers aspects de la crise politique de l'émigration polonaise.

Une LETTRE DE POLOGNE nous est parvenue par le détour de la Chine communiste et de l'Inde. Elle est écrite par un intellectuel qui était un marxiste militant avant la guerre. Notre correspondant nous donne une image saisissante de la vie en Pologne. Mais ce qui frappe davantage, c'est une analyse pessimiste, sobre et originale, de la situation mondiale vue de Varsovie. C'est dans un anarchisme actif, vécu et répandu individuellement, que notre correspondant voit l'ultime antidote contre des fléaux qui dépassent la « politique internationale. »

« KULTURA » entreprend une enquête : « *En quelle mesure le système économique et social établi en Pologne de* 1944 *à* 1954 *devrait-il, et pourrait-il être changé en cas d'une libération.* »

Stanislaw ZARZEWSKI donne une analyse économique et politique de l'européanisation de la Sarre.

La REVUE ALLEMANDE contient une étude de bibliographies polonaises en Allemagne après la guerre.

Jan KLONOWICZ note, avec humour, les déboires d'un émigré avec les rouages bureaucratiques d'un Etat en exil.

Une abondante revue de livres polonais et étrangers complète le présent numéro.

ENGLISH SYNOPSIS

General DE GAULLE has authorized us to publish the translation of large extracts from the first volume of his « War Mémoirs ». We have chosen pages concerning Poland and the Poles. But also other extracts, which have an even deeper actuality for us, political exiles : those concerning the attitude of a man of great character who becomes — alone and without any assets — the exiled ally of great powers waging the war against the invader of his country.

Anatol MUHLSTEIN revues the first volume of de Gaulle's mémoirs.

Fernand TOURRET gives an outline of atomic technology.

By Manès SPERBER an analysis of the present situation of french literature.

Czeslaw MILOSZ speaks, in his « Notes of a reader », about recent russian and polish translations of foreign poetry.

The diary of Witold GOMBROWICZ contains a somewhat bitter « profile » of the polish woman...

Juliusz MIEROSZEWSKI studies the question of german rearmament from the point of view of deep polish interests.

The ENGLISH CHRONICLE is once more concerned with the political crisis of the polish emigration.

A LETTER FROM POLAND reached us through China and India. It is written by an intellectual of marxist formation. Our correspondent gives a vivid image of life in Poland, and a surprisingly sober and imaginative picture of the world situation seen from Warsaw.

KULTURA asks its readers to answer the following question : « *In what measure is it desirable and possible to change — in the event of a liberation — the economic and social system established in Poland between* 1944 *and* 1954 *?* »

Stanislaw ZARZEWSKI gives an economic and social analysis of the European status of the Saar.

The GERMAN REVIEW contains a study of polish bibliographies in Germany after the war.

Jan KLONOWICZ notes, humorously, the adventures of a polish émigré with the red tape of a state in exile.

A rich chronicle of books and reviews, polish and foreign, completes the issue.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-(IVe).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 4e trimestre 1954

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 4, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca", Serrano 2076, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: „Vistula" (Australia) PTY Ltd., 7, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vanderkindere, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia** **Barcińska,** r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; **Hanna Lekszycka,** rua Guiarâ 39, vila Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), **Roman Królikowski,** POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **Jamique Trading Co.,** 835 Queen St. W. Toronto 3, Ont.; **St. L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; **St. Zybała,** 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec",** 700 Queen St. W. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomosci", Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk,** Seehammer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan B/IV, Stockholm	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski, „Gryf** Publ.", 615 Henry St., Utica, N.Y.; **L. Dudarew Ossetyński,** 1818 No Sierra Bonita Ave., Hollywood 46, Calif.; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 27, Aberdeen Ave, Cambridge, Mass.; **T. Konopacki,** 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; **A. Pleszczyński.** P.O. Box 750, Santa Barbara, California; **M. Szyprowski,** 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; **K. Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf" Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres : **Jerzy GIEDROYC,** 1, Avenue Corneille, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

Imprimerie RICHARD, Paris-18e

Cena 180 frs.